

Umierając żyjemy

Silverberg Robert



calibre 0.9.43

ROBERT SILVERBERG

UMIERAJĄC

ŻYJEMY

. 1 .

Tak więc muszę znowu pojechać do miasta, na uniwersytet, i skombinować trochę forsy. Nie trzeba wiele gotówki, by utrzymać mnie przy życiu, w zupełności wystarczy około dwustu dolarów miesięcznie, ale ostatnio jestem splukany, a nie mam odwagi jeszcze raz pożyczać od mojej siostry. Niedługo studenci będą potrzebowali prac zaliczeniowych na zakończenie pierwszego semestru - to jest zawsze pewny interes. Znużony, skorodowany umysł Dawida Seliga jest znów do wynajęcia. Powinienem wyciągnąć co najmniej siedemdziesiąt pięć dolarów za pracę w ten śliczny, złoty październikowy ranek. Powietrze jest rześkie i czyste. Front wysokiego ciśnienia przemieszczający się nad Nowym Jorkiem przegania wilgoć i mgły. Przy takiej pogodzie moje gasnące moce rozkwitają na nowo. A więc chodźmy, ty i ja, kiedy poranek rozkwita aż po samo niebo. Do stacji metra Broadway-IRT. Proszę przygotować żetony.

Ty i ja. O kim mówię? Przecież zmierzam do centrum sam. Ty i ja.

Cóż, oczywiście mówię o sobie i o tym stworzeniu, które żyje we mnie, przyczajone w swym gąbczastym leżu, szpiegując nieświadomych niczego śmiertelników. Tajemne monstrum w moim wnętrzu, chory potwór, który umiera jeszcze szybciej niż ja. Yeats napisał kiedyś dialog jaźni i duszy, dlaczego więc Selig, podzielony wewnątrz siebie w sposób, którego biedny Yeats nigdy by nie zrozumiał, nie miałby mówić o swoim niezwykłym, ginącym talencie jak o intruzie uwięzionym w jego czaszce? Dlaczego nie? Więc idźmy ty i ja. W dół korytarza. Naciśnijmy guzik. A teraz do windy. Wewnątrz pachnie czosnkiem. Ci wieśniacy, te roje Portorykańczyków wszędzie zostawiają swoje wyraziste zapachy. Moi sąsiedzi. Kocham ich. W dół. W dół.

Jest godzina 10.43, wschodni czas letni. Wskaźnik temperatury w Central Parku podaje 57°F.

Wilgotność powietrza wynosi 28%, ciśnienie 997 HPs i spada, wiatr północno-wschodni o sile 11 mil na godzinę. Prognoza mówi, że dziś i jutro niebo będzie czyste, a pogoda słoneczna, z maksymalną najwyższą temperaturą 60-65°F. Możliwość opadów wynosi dzisiaj 0%, a jutro 10%. Jakość powietrza określono jako dobrą. David Selig ma lat czterdzieści jeden i wciąż mu ich przybywa. Wzrost trochę wyższy niż średni. Ma smukłą sylwetkę naukowca przywykłego do własnych, chudych obiadków, a jego normalny wyraz twarzy to łagodne, zakłopotane zdziwienie. Dużo mruga. Na pierwszy rzut oka jego wyblakła, niebieska kurtka, robocze bucior i obdarte dzwony, rocznik 69, nadają mu młodzieńczy wygląd, przynajmniej od szyi w dół, ale tak naprawdę wygląda jak jakiś uciekinier z nielegalnego laboratorium, gdzie łysiejące, pokryte meszkiem głowy mężczyzn w średnim wieku są przeszczepiane opornym ciałom dojrzewających chłopców. Kiedy to się stało? W którym momencie jego twarz i włosy zaczęły się starzeć? Rozkołysane kable windy witają go salwami śmiechu, gdy wychodzi ze swojej dwupokojowej nory na dwunastym piętrze. Zastanawia się, czy te zardzewiałe liny mogą być starsze niż on. Urodził się w 1935. Te budynki, jak podejrzewa, mogą pochodzić z 1933 lub 1934 roku. Czcigodny Fiorello H. La Guardia, burmistrz. A może są młodsze, powiedzmy, ledwo przedwojenne. (Czy pamiętasz, Dawidku, rok 1940? Właśnie wtedy zabraliśmy cię na Targi Światowe. To jest tryton, a to perysfera.) Tak czy owak budynki starzeją się. Jak wszystko.

Winda zatrzymuje się ze zgrzytem na siódmym piętrze. Jeszcze zanim otworzą się porysowane drzwi, rozpoznaję szybkie zmysłowe drgania damskiej, hiszpańskiej witalności, tańczące wśród dźwigarów. Oczywiście, istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że osobą zatrzymującą windę jest młoda portorykańska żona - dom jest ich pełen. O tej porze mężowie są w pracy. Jednak pewien jestem, że odczytuję jej psychiczne emanacje, a nie tylko bawię się w przewidywania. Całkiem pewien. Jest niska, krępa, około dwudziestu trzech lat i w zaawansowanej ciąży. Mogę rozróżnić podwójne impulsy: szybkie jak rtęć uderzenia jej płytkiej, zmysłowej psychiki i głuchawe drgania

płodu, mniej więcej sześciomiesięcznego, zamkniętego w jej twardym, wzdętym ciele. Kobieta ma szerokie biodra i płaską twarz o małych błyszczących oczach i cienkich zaciśniętych wargach. Drugie dziecko, brudna dwuletnia dziewczynka trzyma się kciuka matki. Spoglądając na mnie chichocze, a kobieta obdarza mnie krótkim podejrzliwym uśmiechem. Wchodzą do windy. Stoją plecami do mnie. Napięta cisza. Buenos dias, señora. Miły dzień, proszę pani. Co za śliczne dziecko. Ale pozostaję niemy. Nie znam jej. Wygląda tak jak wszyscy w tej dzielnicy i nawet jej myśli to standardowy, odindywidualizowany zestaw: puste rozważania o jarzynach i ryżu, wyniki loterii z tego tygodnia, najpopularniejsze programy telewizyjne na dzisiejszy wieczór. To głupia gęś, ale jest człowiekiem i kocham ją. Jak ma na imię? Może to pani Altagracia Morales, pani Amantina Figureoa, pani Filomena Mercado. Uwielbiam ich imiona. Czysta poezja. Dorastałem wśród pulchnych, ciężkich dziewczuch o pospolitych nazwiskach, jak Sondra Wiener, Beverly Schwartz, Sheila Weisbard. Przepraszam, czy to możliwe, że nazywa się pani Inocencia Fernandez? Pani Clodomira Espinosa? Pani Bonifacia Colon? Może pani Esperanza Dominguez. Esperanza. Nadzieja. Kocham cię, Nadziejo. Źródła nadziei wiecznie bijące w ludzkiej piersi. (Byłem tam w zeszłe święta na walkach byków. Esperanza Springs, Nowy Meksyk. Zatrzymałem się w Holiday Inn. Żartuję.) Parter. Zręcznie daję krok w przód, by przytrzymać drzwi. Urocza, obojętna, ciężarna chiquita nie uśmiecha się do mnie, gdy wychodzi.

Teraz do metra, jeden duży skok, o przecznicę dalej. Tak daleko od centrum szyny są jeszcze ponad ziemią. Wbiegam po trzeszczących, odrapanych schodach i przybywam na peron prawie nie zdyszany. Wynik ascetycznego życia, jak sądzę. Prosta dieta, bez papierosów, prawie bez alkoholu, żadnego kwasu czy meskaliny, żadnych środków dopingujących. O tej godzinie stacja jest w zasadzie pusta. Ale już po chwili słyszę zawodzenie pędzących kół, zgrzyt metalu o metal i równocześnie odbieram potężne uderzenie falangi umysłów, nadciągającej ku mnie z północy w pięciu czy sześciu wagonach zbliżającego się pociągu. Stłoczone dusze pasażerów tworzą jedną

zbitą masę, naciskają na mnie natarczywie. Dygoczą jak galaretowate kawałki planktonu brutalnie ściśnięte w siatce jakiegoś oceanografa w jeden poskładany organizm, w którym gubią się poszczególne indywidualności. Kiedy pociąg wślizguje się na stację, mogę uchwycić poszczególne wybuchy odrębnych jaźni - dzikie ostrze pożądania, jęk nienawiści, przejmujący żal, nagłe i doniosłe wewnętrzne pomrukiwania - które wyrastają ponad chaotyczną całość, tak jak dziwne małe strzępki i zawirowania melodii wznoszą się z mrocznej orkiestralnej plamy w symfonii Mahlera. Moje moce są dzisiaj nad wyraz silne. Tak dobrze odbieram. Najlepiej od kilku tygodni. Z pewnością ważną rolę odgrywa ta niska wilgotność. Nie oszukuję się myślą, że zanikanie moich zdolności zostało powstrzymane. Kiedy po raz pierwszy zacząłem łysieć, był taki szczęśliwy okres, kiedy proces erozji zatrzymał się, a nawet odwrócił i na moim obnażonym czole pojawiły się nowe, śliczne splachetki ciemnego puszków. Lecz po początkowym przypływie nadziei doszedłem do bardziej realistycznych wniosków. Nie była to cudowna restauracja mojego owłosienia, lecz tylko drgnienie hormonów, krótka przerwa w starzeniu, na której nie wolno polegać. I za jakiś czas linia moich włosów znów zaczęła się cofać. To tyle na powyższy temat. Kiedy człowiek wie, że coś w nim obumiera, nie stara się ufać przypadkowym nawrotom witalności. Dzisiaj moc jest silna, ale jutro mogę nie odebrać niczego poza odległym, niepewnym szumem.

Znajduję miejsce w rogu drugiego wagonu, otwieram książkę, by przeczekać podróż do centrum. Znowu czytam Becketta, "Malone umiera"; świetnie pasuje do mojego nastroju, który jak już zauważyliście - zdominowało uzalanie się nad samym sobą.

"Spiesz mi się. To stąd któregoś dnia, kiedy wszystko będzie się uśmiechać i świecić, wyłoni się wielki tabun chmur czarnych i niskich, niezapomniany, zabierając błękit na zawsze. Moja sytuacja jest naprawdę delikatna. Iluż pięknych i ważnych rzeczy nie osiągnę przez obawę, że popadnę w stary błąd, że nie skończę na czas, że będę się cieszyć po raz ostatni, ostatnią falą smutku, bezsilności i nienawiści. Formy są różnorodne, tam gdzie Niezmienne zadawała się bytem

bez formy." O tak, stary, dobry Samuel, zawsze gotów rzucić parę słów posępnego pocieszenia. Gdzieś koło 180 Ulicy podnoszę głowę i dostrzegam dziewczynę siedzącą naprzeciwko, która najwyraźniej mnie obserwuje. Może mieć dwadzieścia parę lat, jest atrakcyjna - zgrabna sylwetka o długich nogach, przyzwoity biust, korona kasztanowatych włosów. Ona też ma książkę, kieszonkowe wydanie "Ulissesa", rozpoznaję okładkę. Lecz powieść leży zapomniana na jej kolanach. Czyżby była zainteresowana mną? Nie czytam jej myśli. Wchodząc do pociągu automatycznie wyciszyłem moje receptory do minimum, sztuczka, której nauczyłem się w dzieciństwie. Jeśli nie zabezpieczam się przed rozproszonym hałasem w pociągach lub innych zamkniętych miejscach publicznych, nie mogę się w ogóle skupić. Nie próbuję śledzić jej sygnałów i tylko zgaduję, co też ona może o mnie myśleć. To gra, w którą często się bawię. "Jak inteligentnie wygląda... Musiał wiele cierpieć, jego twarz jest dużo starsza niż ciało... łagodność w jego oczach... patrzy tak smutno... poeta, naukowiec... Założę się, że jest bardzo uczuciowy... Wkłada całą swoją wzbierającą miłość w fizyczny akt, w pieprzenie... Co czyta? Becketta? To musi być poeta albo pisarz... może ktoś sławny. Nie powinnam być zbyt agresywna. Natarczywość urazi go. Nieśmiały uśmiech, to go weźmie. I tak punkt po punkcie... Zaproszę go na lunch..." Potem, nastrajam się na odbiór jej myśli, żeby sprawdzić dokładność moich intuicyjnych spostrzeżeń. W pierwszej chwili brak sygnału. Moje przeklęte, zanikające moce znowu mnie zawodzą! Ale potem nadchodzi, na początku jednostajny - kiedy łapię niskobrzmiące, tępe przeżuwania otaczających mnie ludzi - i wreszcie wychwytyuję czysty, słodki dźwięk jej duszy. Myśli o lekcji karate, na którą jedzie dzisiaj ranka na 96 Ulicę. Kocha się w instruktorze, krzepkim, dziobatym Japończyku. Spotka się z nim wieczorem. Przez jej mózg przepływa niejasne wspomnienie smaku sake i obraz jego mocnego, nagiego ciała wznoszącego się nad nią. Na mój temat w jej myślach nie ma nic. Jestem po prostu częścią otoczenia, tak jak plan metra na ścianie nad moją głową. Selig, twój egocentryzm zabija cię za każdym razem. Dostrzegam, że ona naprawdę nieśmiało się uśmiecha, ale nie do

mnie. Kiedy napotyka moje spojrzenie, jej uśmiech natychmiast gaśnie. Wracam do książki.

Pociąg serwuje mi długi, ociekający potem, nieplanowany postój w tunelu pomiędzy stacjami na północ od 137 Ulicy. Wreszcie rusza. Zostawia mnie przy 116, koło Uniwersytetu Columbia.

Wspinam się ku słońcu. Pierwszy raz wchodziłem po tych schodach całe ćwierć wieku temu, w październiku 1951. Przerażony maturzysta z trądzikiem, obcięty na jeża, który przyjechał z Brooklynu na rozmowę kwalifikacyjną. Oślepiające światło hali uniwersyteckiej. Egzaminator, taki rozluźniony, dojrzały cóż, musiał mieć dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat. W każdym razie zostałem przyjęty. A potem była to moja stacja, każdego dnia od września 52 roku aż do momentu, gdy opuściłem dom, przeprowadzając się do miasteczka studenckiego. Na środku ulicy stał wtedy żelazny kiosk, oznaczający zejście w głębiny metra. Był umieszczony pomiędzy dwoma pasmami ruchu i studenci o głowach nabitych Kierkegaardem, Sofoklesem, Fitzgeraldem bez końca ginęli, wbiegając między samochody. Teraz kiosk usunięto, a wejścia do metra umieszczono bardziej rozsądnie, na chodnikach.

Spaceruję wzdłuż 116 Ulicy. Po prawej szeroka zieleń Pola Południowego, po lewej płytkie stopnie wiodące do biblioteki. Pamiętam Pole Południowe z czasów, gdy były to tereny sportowe w środku kampusu; brązowy pył na ścieżce do bazy, płotek. Na pierwszym roku grałem tutaj w softball. Szliśmy przebrać się do szatni w hali sportowej, a potem w trampkach, podkoszulkach, w brudnych szarych spodenkach (czuliśmy się niemal nadzy pomiędzy studentami ubranymi w garnitury lub polowe mundury Korpusu Oficerów Rezerwy) przybiegaliśmy tutaj, by przez godzinę trenować. Byłem dobry w softballu. Niezbyt okazałe mięśnie, ale świetny refleks i dobre oko, no i miałem tę przewagę, że znałem myśli przeciwnika. Stał tam, myśląc: "ten facet jest zbyt chudy, by mocno walnąć, dam mu wysoką, szybką piłkę". A ja jestem już na to przygotowany, przerwucam piłkę na lewe pole, obiegając bazy, jeszcze zanim ktokolwiek orientuje się, co się stało. Albo druga strona próbuje jakiejś niezdarnej strategii, coś w rodzaju "uderzaj i pędź", a ja bez wysiłku

przesuwam się, zbieram piłkę i rozpoczynam następną grę. Rzecz jasna, to był tylko softball, a moi kumple, w większości ciepłe kluchy, nie umieli prawie biegać, nie mówiąc już o czytaniu myśli. Mimo to cieszyłem się tym niezwykłym uczuciem, że jestem wyjątkowym sportowcem, i pławiłem się w marzeniach, że gram jako obrońca w drużynie "Dodgersów". Pamiętacie "Dodgersów" z Brooklynu? Gdy byłem na drugim roku, z okazji 200-lecia uniwersytetu Pole Południowe przekopano i zamieniono na trawiasty teren, przecięty asfaltową promenadą, przeznaczony na pokazy i występy. To był rok 1954. Boże, jak dawno temu. Starzeję się... starzeję... Syreny śpiewają, lecz tylko dla siebie. Nie sądzę, żeby zaśpiewały dla mnie.

Wchodzę po stopniach i siadam w odległości piętnastu stóp od brązowego pomnika Alma Mater. To moje biuro, i w słońce, i w deszcz. Studenci wiedzą, gdzie mnie szukać, i kiedy tu jestem, wiadomość rozchodzi się lotem błyskawicy. Jest jeszcze pięć czy sześć osób, które świadczą te same usługi, co ja - głównie absolwenci nie śmierdzący groszem, pechowcy - ale ja jestem najszybszy, najbardziej rzetelny, mam entuzjastycznych zwolenników. Jednakże dzisiaj interes rozkręca się powoli. Siedzę tu już od dwudziestu minut, zaniepokojony, zaglądając do Becketta, gapiąc się na Alma Mater. Parę lat temu jakiś radykalny anarchista podłożył bombę, która wyrwała dziurę w boku posągu, ale teraz nie ma już śladu po uszkodzeniu. Pamiętam, jak mnie zaszokowała ta wiadomość, a potem sam fakt, że byłem zaszokowany. W końcu dlaczego miałbym się przejmować głupkowskim symbolem głupkowatej szkoły? To było chyba w 1969. W neolicie. - Pan Selig?

Zamajaczył nade mną duży, krzepki byczek. Kolosalne ramiona, puciołowata, niewinna twarz. Jest bardzo zakłopotany. Zalicza kompozycję literacką i potrzebuje jak najszybciej tekstu o powieściach Kafki, których nie czytał. (Jest sezon futbolowy, a on jako początkujący skrzydłowy jest bardzo, bardzo zajęty.) Podaję mu warunki, a on godzi się skwapliwie. Kiedy tak stoi, przeglądam jego mózg, oceniając inteligencję, słownictwo, styl. Jest bystrzejszy, niż na to wygląda.

Jak większość z nich. Mogliby swobodnie sami pisać swoje prace, gdyby tylko mieli czas. Robię notatki, szybkie impresje na jego temat, a on odchodzi zadowolony. Potem handel nabiera tempa. Mój byczek przysła kolegę ze swego bractwa, tamten swojego kumpla, ten z kolei przyjaciół z własnego stowarzyszenia, aż łańcuszek wydłuża się tak, że wczesnym popołudniem mam już tyle pracy, ile trzeba. Znam swoje możliwości.

A więc wszystko w porządku. Będę jadał regularnie przez dwa lub trzy tygodnie, nie próbując nadużywać niechętej szczodrobliwości mojej siostry. Judyta będzie szczęśliwa bez moich telefonów. A teraz do domu, podrabiać wypracowania. Jestem dobry, gładki, uczciwy, górnolotny w przekonujący sposób studenta drugiego roku, i potrafię zmieniać styl. Znam się na literaturze, psychologii, antropologii, filozofii -wszystkich humanistycznych przedmiotach. Dzięki Bogu, zachowałem swoje eseje. Nawet po dwudziestu latach z okładem można w nich coś znaleźć. Biorę trzy i pół dolara za stronę maszynopisu, czasem więcej, jeśli mój wywiad doniesie, że klient ma pieniądze. Murowane co najmniej +4, albo zwracam wynagrodzenie. Lecz jeszcze nigdy nie musiałem tego robić...

. 2 .

Kiedy Dawid miał siedem i pół roku, przysparzał tak wielu kłopotów nauczycielowi klasy trzeciej, że posłano go do szkolnego psychiatry, dr. Hittnera, na przebadanie. Była to droga prywatna szkoła przy cichej, zielonej ulicy w części Brooklynu, zwanej Parkowe Zbocze. Panowały tam postępowo-socjalistyczne idee, podszyte lizusowskim, sentymentalnym marksizmem, oraz freudyzm i poglądy Johna Deweya. Psychiatra, specjalista w zaburzeniach typowych dla dzieci pochodzących z klasy średniej, odwiedzał szkołę w każdą środę, aby zajrzeć w duszę aktualnego rozrabiaki. Wreszcie przyszła kolej i na Dawida. Oczywiście, jego rodzice wyrazili zgodę. Byli bardzo zaniepokojeni zachowaniem syna. Wszyscy zgodnie uważali, że jest błyskotliwym dzieckiem. Wyprzedzał swoich rówieśników w niebywały sposób, osiągając w teście

na "czytanie ze zrozumieniem" wynik odpowiedni dla dwunastolatka. Dorośli uważali, że jest bystry w zatrważający sposób. Jednakże w klasie nie dało się go kontrolować. Wiecznie ochrypnięty, niegrzeczny. Program szkolny, beznadziejnie dla niego łatwy, nudził go śmiertelnie. Jego jedynymi kolegami byli klasowi odmieńcy, których okrutnie prześladował. Większość dzieci nienawidziła go, a nauczyciele obawiali się jego nieobliczalności. Pewnego dnia opróżnił szkolną gaśnicę tylko po to, by zobaczyć, czy piana wyleci tak, jak obiecuje to instrukcja. Wyleciała. Kiedy indziej przyniósł niejadowite węże i wpuścił je do auli. Przedrzeźniał kolegów, a nawet nauczycieli ze złośliwą perfekcją.

- Dr Hittner chciałby trochę z tobą porozmawiać - powiedziała mama. - Słyszał, że jesteś wyjątkowym chłopcem i chciałby cię lepiej poznać.

Dawid opierał się, robiąc wiele hałasu wokół nazwiska psychiatry.

- Hitler? Hitler? Nie chcę rozmawiać z Hitlerem!

Była to jesień 1942 i ten dziecinny kalambur był nieunikniony, ale chłopak uczeplił się go z irytującym uporem.

- Dr Hitler chce mnie zobaczyć, chce mnie poznać. Mama tłumaczyła mu:

- Nie, Dawidku, Hittner, z "n" w środku.

W końcu poszedł. Wmaszerował pompatycznie do biura psychiatry, a kiedy dr Hittner uśmiechnął się uprzejmie i rzekł:

- Cześć, Dawidzie - Dawid wyrzucił przed siebie sztywne ramię i wrzasnął:

- Heil!

Dr Hittner odkaszlnął.

- Pomyliłeś się. Ja jestem Hittner, przez "n".

Chyba już wcześniej słyszał takie żarty. Był to wielki mężczyzna z długą, końską twarzą, szerokimi, mięsistymi wargami i wysokim czołem. Wodniste, niebieskie oczy mrugały za

binoklami. Jego skóra była miękka i różowa, o ostrym przyjemnym zapachu. Za wszelką cenę starał się zachowywać po przyjacielsku jak wesoły starszy brat, ale Dawid nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to tylko gra. Odczuwał to wobec większości dorosłych. Uśmiechali się, ale wewnątrz myśleli coś w rodzaju: "Co za przerażający szczeniak, co za wstrętny dzieciak". Nawet jego mama i tata myśleli czasem coś takiego. Nie rozumiał, dlaczego dorośli co innego mówili, a zupełnie co innego myśleli, ale zdążył się do tego przyzwyczaić. To było coś, co musiał uwzględniać i akceptować.

- Pobawmy się w gry, dobrze? - rzekł dr Hittner.

Z kieszeni marynarki tweedowego garnituru wydobył małą plastikową kulę na metalowym łańcuszku. Pokazał ją Dawidowi. Potem szarpnął łańcuszek i kulka rozpadła się na osiem lub dziewięć różnokolorowych kawałków.

- A teraz obserwuj, jak ją składam - powiedział lekarz. Jego grube palce sprawnie złożyły kulkę. Potem rozbił ją jeszcze raz i przesunął w stronę Dawida.

- Teraz ty. Potrafisz ją poskładać?

Dawid pamiętał, że lekarz najpierw wziął biały kawałek w kształcie E i w odpowiednie żłobki zaczepił niebieskie D. Następna powinna być literka w kolorze żółtym, ale Dawid nie pamiętał, co należy z nią zrobić. Siedział przez chwilę, zaniepokojony, aż dr Hittner usłużnie wyświetlił mu myślowy obraz właściwego ruchu. Dawid wykonał go. Reszta była już łatwa. Jeszcze parę razy się zgubił, ale zawsze potrafił wyciągnąć odpowiedź z mózgu doktora. Dlaczego on sądzi, że mnie bada, dziwił się Dawid, jeśli daje mi tyle wskazówek? Co chce udowodnić? Kiedy kulka była gotowa, Dawid zwrócił ją.

- Może chciałbyś ją zatrzymać?

- Nie jest mi potrzebna - odparł Dawid, ale mimo to schował ją do kieszeni.

Bawili się jeszcze w parę innych gier. Jedna składała się z wielu małych obrazków wielkości kart

do gry, na których były rysunki zwierząt, ptaków, drzew i domów. Dawid miał ułożyć je tak, by tworzyły historyjkę, a potem opowiedzieć ją doktorowi. Rozrzucił je więc bezładnie po stole i przechodząc od jednej do drugiej, opowiadał:

- Kaczor idzie do lasu, i widzisz, tam spotyka wilka, więc zmienia się w żabę, przeskakuje ponad wilkiem prosto w pysk słonia, tylko że ucieka mu przez pupę i wpada do jeziora, a kiedy się wynurza, spotyka piękną księżniczkę, która mówi: Chodź do domu, a ja dam ci piernika, ale on potrafi czytać w jej myślach i wie, że to wstrętna czarownica, która...

Inna gra zawierała skrawki papieru z dużymi atramentowymi plamami.

- Czy któraś z tych plam przypomina ci jakiś rzeczywisty przedmiot? - pytał doktor.

- Tak - odparł Dawid. - To jest słoń, widzisz, tu ma ogon, a tu wszystko pogniecione, a tutaj ma pupę, a tamtędy robi siusiu.

Odkrył już, że dr Hittner słucha bardzo uważnie, gdy mowa o pupciach i siusiakach, więc starał się dostarczyć mu wiele interesującego materiału, odnajdując te rzeczy w każdym atramentowym obrazku. Ta gra; choć tak głupia dla Dawida, była najwyraźniej ważna dla psychiatry, który robił notatki o wszystkim, co Dawid mówił. Kiedy lekarz pisał, chłopiec badał jego umysł. Większość słów była dla niego niezrozumiała, jednak niektóre rozpoznawał, ponieważ używała ich jego matka. Były to "dorośle" nazwy, określające niektóre części ciała, na przykład: penis, pochwa, pośladki, odbytnica. Było oczywiste, że dr Hittner je uwielbia, więc Dawid zaczął je stosować.

- To jest orzeł porywający owieczkę i ulatujący w górę. Tu na dole jest penis orła, a tam jest odbytnica owieczki. Na następnym obrazku jest mężczyzna i kobieta, oboje goli, i mężczyzna próbuje wetknąć penis do pochwy kobiety, ale on nie pasuje i... Dawid patrzył, jak pióro lekarza fruwa po papierze. Uśmiechnął się do niego i wziął następny obrazek.

Potem bawili się w gry słowne. Doktor coś mówił i prosił, żeby Dawid powiedział pierwsze słowo, jakie przychodzi mu na myśl. Ale chłopiec uznał, że znacznie ciekawiej będzie mówić

pierwsze słowo, które przychodzi na myśl doktorowi. A oto jak wyglądała gra:

- Ojciec.
- Penis.
- Matka.
- Łóżko.
- Dziecko.
- Martwe.
- Woda.
- Brzuch.
- Tunel.
- Łopata.
- Trumna.
- Matka.

Czy to były właściwe odpowiedzi? I kto wygrał tę grę? Dlaczego dr Hittner był taki zdenerwowany?

Wreszcie przestali, bawić się w gry i zaczęli rozmawiać.

- Jesteś bardzo rozgarniętym chłopczykiem - rzekł psychiatra. - Nie muszę się martwić, że cię zepsuję mówiąc to, bo ty sam dobrze o tym wiesz. Kim chcesz zostać, gdy dorośniesz?

- Nikim.
- Nikim?
- Chcę tylko bawić się, czytać dużo książek i pływać.
- A jak zarobisz na utrzymanie?
- Jak będę potrzebował, to dostanę pieniądze od ludzi.
- Kiedy będziesz wiedział, jak to się robi, to zdradź mi ten sekret - rzekł dr Hittner. - Czy jesteś

szczęśliwy w szkole?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nauczyciele są zbyt surowi. Praca zbyt głupia. Dzieci mnie nie lubią.

- Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, czemu cię nie lubią?

- Bo jestem od nich inteligentniejszy - rzekł Dawid - ponieważ ja... - Ojej. O mało co nie powiedział: ponieważ wiem, co myślą. Tego nie wolno nikomu zdradzić. Dr Hittner czekał na dokończenie zdania. - Ponieważ sprawiają dużo kłopotu w klasie.

- Ale dlaczego to robisz, Dawidzie?

- Nie wiem. Myślę, że coś mi to daje.

- Może gdybyś nie był tak kłopotliwy, ludzie bardziej by cię lubili. Czy chcesz, żeby cię lubiano?

- Nie zależy mi. Nie jest mi to potrzebne.

- Każdy potrzebuje przyjaciół, Dawidzie.

- Mam kolegów.

- Pani Fleischer mówi, że nie masz ich zbyt wielu, że ich często bijesz i zasmucasz. Dlaczego bijesz swoich kolegów?

- Bo ich nie lubię. Bo są głupi.

- A więc tak naprawdę, to nie są twoi przyjaciele, jeśli tak o nich myślisz.

- Mogę się bez nich obyć. Najlepiej bawię się, jak jestem sam - odparł Dawid, wzruszając ramionami.

- A w domu, czy jesteś szczęśliwy?

- Myślę, że tak.

- Czy kochasz swoich rodziców?

Cisza. Umysł doktora wysłał sygnał wielkiego napięcia. To było ważne pytanie. Daj dobrą odpowiedź. Taką, jakiej oczekuje.

- Tak.

- Czy żałujesz, że nie masz brata lub siostry?

Teraz nie było wahania:

- Nie.

- Naprawdę? Lubisz być całkiem sam?

Dawid przytaknął.

- Najlepsze są popołudnia. Gdy wracam ze szkoły i w domu nie ma nikogo. Czy ja będę miał małego brata lub siostrę?

Doktor odkaszlnął.

- Nie wiem. To zależy od twoich rodziców, czyż nie?

- Ale pan nie powie im, żeby mi takiego załatwili? Tak, to znaczy mógłby im pan powiedzieć, że dobrze by mi zrobiło, gdybym miał kogoś takiego, i potem oni pójdą i zrobią. A ja naprawdę nie chcę.

Nagle Dawid uświadomił sobie, że wpędził się w kłopoty.

- Dlaczego sądzisz, że mógłbym powiedzieć twoim rodzicom, że przydałby ci się brat lub siostra? - zapytał cicho doktor, tym razem bez uśmiechu.

- Nie wiem. To była tylko taka myśl... - którą znalazłem w twojej głowie, doktorze. A teraz chcę już się stąd wydostać. Nie chcę już z tobą więcej rozmawiać.

- Hej, tak naprawdę, to ty się nie nazywasz Hittner, no nie? Przez "n". Założę się, że znam twoje prawdziwe nazwisko. Heil!

. 3 .

Nigdy nie potrafiłem przesłać swoich myśli do czyjejś głowy. Nawet w czasach, gdy moc była

we mnie najsilniejsza, nie potrafiłem niczego przekazać. Umiałem tylko odbierać. Być może są wokół ludzie, którzy mają taki dar, którzy mogą przesyłać myśli nawet osobom pozbawionym jakichś szczególnych zdolności odbioru, niemniej ja nigdy do nich nie należałem. Tak więc zostałem skazany na egzystencję najobrzydliwszej ropuchy w towarzystwie - podsłuchiacza, podglądacza. Stare angielskie przysłowie mówi: Ten kto podgląda, może ujrzeć swoje zmartwienie. Tak. W tamtych latach tak zależało mi na nawiązaniu kontaktu z ludźmi, że do siódmych potów próbowałem dotrzeć do nich swoimi myślami. Siadywałem w klasie, gapiąc się na tył jakiejś dziewczęcej głowy, i myślałem usilnie w jej kierunku: Halo, Aniu, tu mówi Dawid Selig, czy mnie słyszysz? Czy mnie słyszysz? Kocham cię, Aniu. Odbiór. Bez odbioru. Ale Ania nigdy mnie nie usłyszała, i nurt jej myśli toczył się jak rozlana szeroko rzeka, niezmacony istnieniem Dawida Seliga.

Tak więc, nie mam możliwości, by mówić do innych umysłów, mogę je tylko szpiegować. Natężenie, z jakim ta moc objawiała się we mnie, zawsze było zmienne. Nigdy nie miałem nad tym zbytnej kontroli, poza umiejętnością zmniejszania intensywności doznań. Potrafiłem też do pewnego stopnia lepiej się dostrajać. W zasadzie musiałem przyjmować to, co ku mnie napływało. Najczęściej wychwytywałem myśli najbliższe powierzchni, tuż przed ich wypowiedzeniem. Trafiały do mnie czysto, jak podczas rozmowy, dokładnie tak, jakby ktoś rzeczywiście je wymówił. Ale dźwięk głosu był inny. Z pewnością nie pochodził on ze strun głosowych. Nie pamiętam, żebym nawet w dzieciństwie pomylił zwykłą rozmowę z przesyłanymi myślami. Ta zdolność do odczytywania powierzchniowych myśli zawsze była mniej więcej taka sama. Do dziś potrafię wyprzedzić czyjeś wypowiedzi, szczególnie gdy jestem z osobą, która ma zwyczaj wcześniejszego formułowania zdań w głowie.

Do dziś umiem także przewidywać czyjeś intencje, na przykład zamiar wymierzenia prawego sierpowego w moją szczękę. Metody dowiadywania się tych rzeczy są różne. Czasem mogę

uchwycić dobitne słowne stwierdzenie: Zaraz walnę go prawym sierpowym w szczękę. Jeśli zdarzy się, że tego dnia moja moc dociera do głębszych warstw, odbieram serię niewerbalnych instrukcji, które są wysyłane do mięśni i o ułamek sekundy wyprzedzają ruch ramienia zadającego ciosy. Nazwijcie to językiem ciała na telepatycznej długości fal.

Następną rzeczą, do jakiej jestem zdolny, chociaż bardzo rzadko, jest wniknięcie w najgłębsze pokłady umysłu, tam gdzie mieszka dusza, jeśli zechcecie tak to ująć. Tam świadomość leży zanurzona w mrocznej cieczy niejasnych, podświadomych zjawisk. Tam czają się nadzieje, lęki, wrażenia, namiętności, dążenia, pamięć, poglądy filozoficzne, prawa moralne, pożądania, smutki, cały ten worek na śmieci pełen zdarzeń i postaw, które określają osobowe "ja". Z reguły coś z tego przecieka do mnie nawet podczas najbardziej powierzchownego kontaktu. Chcąc nie chcąc otrzymuję pewną ilość informacji o kolorycie danej duszy. Ale czasami - teraz już prawie nigdy - wczepiam się w żywe mięso, w całą osobę. I w tym jest ekstaza. Elektryzujące poczucie kontaktu. Połączone oczywiście z przejmującym poczuciem winy z powodu tak dogłębnego poznania. Czy można być w jeszcze większym stopniu podglądaczem?

Tak się składa, że język jest uniwersalny. Powiedzmy, że zaglądam w myśli pani Esperanzy Dominguez i odbieram hiszpańskie trajkotanie. Trudno mi wtedy powiedzieć, o czym ona myśli, ponieważ nie znam dobrze hiszpańskiego. Jednak, kiedy uda mi się dostać do głębi jej osobowości, rozumiem wszystko, co do mnie dociera. Umysł może rozumować po hiszpańsku, baskijski, węgiersku lub fińsku, ale dusza myśli w bezsłownym języku, dostępnym dla każdego wścibskiego, myszującego dziwaka, który napatoczy się, by podglądać jej tajemnicę.

Zresztą to bez znaczenia. Te sprawy coraz mniej mnie dotyczą.

. 4 .

Paul F. Bruno

Kompozycja Lit. 18

15 października 1976

Powieści Kafki

W świecie sennych koszmarów wykreowanym w "Procesie" i "Zamku" tylko jedno jest pewne - główny bohater, znacząco określany przez inicjał K., został z góry skazany na frustrację. Cała reszta jest niejasna i nierzeczywista. W czynszowych kamienicach pojawiają się sale sądowe, zagadkowi strażnicy pozerają cudze śniadanie, mężczyzna uważany za Sordiniego nazywa się Sortini. Główny fakt jest jednak bezsporny - K. przegrywa w swoich próbach zyskania łaski.

Obie powieści mają ten sam temat i podobną strukturę, w obu K. poszukuje łaski i zostaje postawiony wobec faktu, że nie zostanie mu ona udzielona. ("Zamek" jest nie dokończony, ale jego konkluzja wydaje się przejrzysta.) Kafka wprowadza swoich bohaterów w wir akcji na dwa różne sposoby. W "Procesie" Józef K. jest pasywny, aż do chwili nieoczekiwanego powrotu strażników, kiedy wydarzenia wstrząsają nim i zmuszają do działania. W "Zamku" K. jest od początku pokazany jako bohater aktywny, który podejmuje wszelkie możliwe próby dotarcia ze wsi do tajemniczego zamku. Jednak nie czyni tego sam z siebie, lecz zostaje wezwany, nie stanowi więc źródła akcji i z tego punktu widzenia, wydaje się równie pasywny, jak Józef K. Różnica polega na tym, że "Proces" rozpoczyna się we wcześniejszym punkcie strumienia czasu, właściwie w najwcześniejszym możliwym momencie. "Zamek" przestrzega antycznej reguły, która początek akcji umiejscawia in median res - K. odebrał już wezwanie i usiłuje dotrzeć do zamku.

Obie książki rozpoczynają się szybką akcją. Józef K. zostaje aresztowany w pierwszym zdaniu "Procesu", a jego odpowiednik - K. - już na pierwszej stronie przybywa do miejsca, które według niego jest ostatnim przystankiem przed wizytą na zamku. Od tego momentu obaj bohaterowie daremnie walczą, by osiągnąć swój cel. (W "Zamku" chodzi po prostu o to, by wejść na szczyt wzgórza; w "Procesie" K. najpierw próbuje pojąć naturę swojej winy, potem wpadając w rozpacz

chce uzyskać uniewinnienie, choć bez zrozumienia.) Obaj w toku akcji coraz bardziej oddalają się od tego. "Proces" osiąga swój punkt kulminacyjny we wspaniałej scenie w katedrze - to chyba najbardziej wstrząsający fragment ze wszystkich powieści Kafki. Bohaterowi pozwolono zrozumieć, że jest winny i nigdy nie dostąpi przebaczenia. Następny rozdział opisujący egzekucję Józefa K. to tylko oczywista konsekwencja poprzednich wydarzeń. "Zamek", mniej kompletny niż "Proces", nie posiada punktu odpowiadającego scenie w katedrze (może Kafka nie potrafił takiego znaleźć?) i dlatego jest artystycznie mniej satysfakcjonujący niż krótszy, bardziej intensywny, ściślej skonstruowany "Proces".

Pomimo ich powierzchownej "nieartystyczności" obie powieści są zbudowane według fundamentalnego, trzyczęściowego rytmu tragedii, który krytyk Kenneth Burke zdefiniował jako - cel, napiętność, poznanie. "Proces" skrupulatniej zachowuje ten schemat niż niekompletny "Zamek". Cel - osiągnięcie uniewinnienia - jest ukazywany poprzez tę tak niszczącą i bolesną napiętność, jakiej może podlegać tylko fikcyjny bohater. Ostatecznie, kiedy Józef K. zostaje odarty z początkowego pełnego buntu, zaufania do samego siebie, zredukowany do przerażonej, nieśmiałej istoty i w sposób oczywisty gotów jest skapitulować wobec siły sądu - wtedy nastąpić powinien finałowy moment poznania.

Osobą, która doprowadza K. do punktu kulminacyjnego, jest klasyczna kafkowska postać: tajemniczy włoski znajomy, który po raz pierwszy odwiedza miasto i ma rozległe układy, dzięki czemu jest kimś ważnym dla banku. Spotykamy tu motyw, który przewija się przez całą twórczość Kafki: niemożność porozumienia między ludźmi. Chociaż Józef K. spędza pół nocy studiując włoski, by przygotować się do wizyty cudzoziemca, ten posługuje się dziwnym, południowym dialektem, którego Józef nie rozumie. Potem - końcowy efekt komiczny - obcy przechodzi na francuski, równie trudny do zrozumienia, a jego sumiasty wąs udaremnia wysiłki Józefa, który próbuje czytać z ruchu warg.

Kiedy K. dociera do katedry, zaproszony przez Włocha (który - co nas nie dziwi - nie stawia się na czas), napięcie rośnie. Józef wędruje przez zimny, pusty i ciemny budynek, oświetlony tylko migającymi z daleka promykami świateł. Na zewnątrz coraz szybciej zapada noc. Potem wzywa go ksiądz i opowiada alegorię o odzwierciedleniu. Ale dopiero gdy opowieść się kończy, dochodzimy do wniosku, że w ogóle jej nie rozumiemy. To nie jest prosta historyjka, jak się wydawało na początku. Teraz odsłania się jej złożoność i skomplikowana budowa. Józef i ksiądz długo nad nią dyskutują na wzór dwóch rabinów omawiających fragment Talmudu. Powoli jej implikacje stają się jasne i zarówno my, jak i Józef rozumiemy, że dostrzeże on "blask, jaki bije od wejścia do prawa", gdy jest już za późno.

Strukturalnie w tym momencie powieść się kończy. Józef uzyskał ostatecznie świadomość tego, że uniewinnienie jest niemożliwe, wina dowiedziona, i nie dostąpi on łaski. Jego poszukiwanie jest skończone. Ostateczny element tragicznego rytmu, poznanie, w wyniku którego kończy się napiętność, zostaje osiągnięte.

Wiemy, że Kafka planował dalsze rozdziały ukazujące rozwój procesu Józefa K. w jego różnych stadiach, prowadzących do egzekucji. Biograf autora, Max Brod, mówi, że książka może być przedłużana w nieskończoność. To prawda, natura winy Józefa K. nigdy nie pozwoliłaby mu dotrzeć do Sądu Najwyższego, podobnie jak drugi K. może wędrować aż do skończenia czasu, nigdy nie wchodząc do zamku. Jednak strukturalnie powieść kończy się w katedrze; to, co Kafka zamierzał jeszcze powiedzieć, niczego już nie dodałoby do samopoznania Józefa. Scena w katedrze potwierdza fakt, który znaleźliśmy od samego początku - uniewinnienia nie ma. Tym odkryciem akcja kończy się.

"Zamek", o wiele dłuższy i luźniej skonstruowany, nie posiada siły "Procesu". Rozwija się powoli. Cierpienie K. nie jest jasno zdefiniowane, a on sam nie stanowi silnej osobowości, tak interesującej z psychologicznego punktu widzenia, jak bohater "Procesu". Józef K., gdy tylko

dostrzega niebezpieczeństwo, bierze sprawę w swoje ręce; K. natomiast szybko staje się ofiarą biurokracji. Droga bohatera w "Procesie" biegnie od początkowej bierności, poprzez aktywność, z powrotem do pasywnej rezygnacji, co następuje po epifanii w katedrze. W "Zamku" K. nie przechodzi tak ostrych zmian. Już od pierwszych stron jest aktywny, ale szybko gubi się w sennym koszmarze labiryntu podzamkowej wioski i coraz bardziej popada w poniżenie. Józef K. to postać niemal heroiczna, podczas gdy K. jest ledwo patetyczny.

Obie książki prezentują próbę opowiedzenia tej samej historii. Mówią o człowieku pozbawionym problemów egzystencjalnych, który nagle znajduje się w sytuacji bez wyjścia i po próbach uzyskania łaski, zdolnej go uwolnić, poddaje się. Z dzisiejszego punktu widzenia "Proces" to zdecydowanie większy sukces artystyczny. Jest dobrze skonstruowany, a autor przez cały czas kontroluje materiał. "Zamek" natomiast, a raczej fragment, który posiadamy, to potencjalnie znacznie ważniejsza powieść. Może się w niej zmieścić wszystko, co znamy z "Procesu", i jeszcze dużo więcej. Ale, jak sądzę, Kafka rzucił pracę nad "Zamkiem", ponieważ uznał, że nie ma wystarczających wiadomości, by ją kontynuować. Trudno byłoby mu uchwycić świat "Zamku", z szerokim brueghelowskim obrazem wsi w tle, z taką samą sprawnością, z jaką pokazał miejski świat "Procesu". W "Zamku" brakuje pośpiechu. Nie rozmyślamy zbyt nad zagładą K., ponieważ jest ona nieunikniona. Józef K. walczy z bardziej namacalnymi siłami i aż do końca mamy złudzenie, że jego zwycięstwo jest możliwe. "Zamek" jest też zbyt ciężki - załamuje się pod własnym ciężarem, jak symfonia Mahlera. Można się zastanawiać, czy Kafka w ogóle posiadał pomysł na zakończenie powieści. Może nigdy nie chciał jej zamykać, każąc K. wędrować po coraz szerszych okręgach. Jego bohater nie miał osiągnąć nawet tragicznej świadomości faktu, że nigdy nie dotrze do zamku. Chyba tu leży przyczyna braku przejrzystej formy tej powieści; Kafka odkrył, że prawdziwa tragedia K., archetypicznego bohatera-ofiary, to nie jego finałowe poznanie własnej klęski, ale to, że K. nigdy nie zbliży się nawet do tej wiedzy. Mamy tutaj do czynienia z tragicznym

rytmem, który przewija się przez całą literaturę, uformowanym, by lepiej zobrazować kondycję współczesnego człowieka (odrażającą dla Kafki). Józef K., który w zasadzie osiąga jakiś rodzaj łaski, uzyskuje też prawdziwy wymiar tragiczny. K. po prostu coraz bardziej tonie. Być może według Kafki jest on symbolem współczesnego człowieka, do tego stopnia przygniecionego ogólną tragedią czasów, że nie jest zdolny przeżyć tragedii na poziomie jednostki. K. - to postać patetyczna, Józef K. - tragiczna. Ten drugi jest znacznie bardziej interesujący, lecz autor lepiej chyba rozumiał sytuację tego pierwszego. A dla jego historii nie istnieje żadne zakończenie, może tylko banalny finał, jakim jest śmierć.

Całkiem nieźle. Sześć bitych stron maszynopisu po trzy i pół dolara każda. To daje mi lekko dwadzieścia jeden dolarów za niecałe dwie godziny roboty, a temu krzepkiemu skrzydłowemu, panu Paulowi F. Bruno przyniesie pewne +4 u profesora Schmitza. Jestem o tym przekonany, ponieważ identyczny tekst, różniący się zaledwie paroma drobnymi stylistycznymi kwiatkami, dostał 4 u bardzo wymagającego profesora Dupee w maju 1955 roku. Dzisiaj po dwóch dekadach inflacji akademickich ideałów wymagania są niższe. Bruno może nawet załapać - 5 za tę pracę o Kafce. Jest w niej właściwy rodzaj uczciwej inteligencji z odpowiednią dla studenta mieszaniną wyrafinowanej wnikliwości i naiwnego dogmatyzmu. W 1955 Dupee określił ten esej jako "czysty i pełen siły". Jego notka widnieje jeszcze na marginesie. No dobrze. Teraz czas na małe chow mein, najlepiej z bułeczką. Potem wezmę się do tekstu "Odyseusz jako symbol społeczeństwa" albo może "Ajschylos i arystotelesowska koncepcja tragedii". Przy tych pracach nie będę mógł skorzystać z moich starych wypracowań, ale tematy nie powinny być zbyt trudne. Ty stary blagierze, moja maszyno do pisania, pomagaj mi teraz i zawsze.

. 5 .

Aldous Huxley uważał, że ewolucja zaplanowała nasze mózgi jako filtry odsiewające ogromną ilość materiału, który nie jest przydatny w naszej codziennej walce o chleb. Wizje, mistyczne

doświadczenia, zjawiska parapsychologiczne, takie jak telepatia wszystko to wlewałoby się teraz do waszego wnętrza razem z tymi linijkami, które czytacie. Jednak broni nas aktywność "mózgowej zastawki redukującej", jak to nazwał Huxley w małej książeczce zatytułowanej "Pień i niebo". Bogu niech będą dzięki za tę redukującą zastawkę. Gdybyśmy jej nie wykształcili, byłibyśmy skazani na ciągnące się bez przerwy sceny niebywałego piękna, wewnętrzne przeżycia o zatykającej dech wspaniałości i na zawstydzający. absolutnie uczciwy kontakt umysłowy z naszymi bliźnimi. Szczęśliwie praca tej zastawki chroni nas - większość z nas przed takimi rzeczami i możemy swobodnie wieść nasze życie, drogo sprzedając to, co kupione tanio.

Jednakże niektórzy z nas rodzą się z popsutymi zastawkami. Mam na myśli artystów, takich jak Bosch czy El Greco. Ich oczy widziały świat inaczej niż nasze. Myślę o wizjonerskich filozofach, ekstazykach i o tych, co osiągnęli nirwanę. A także o żalonych, wścibskich pasożytach, które mogą czytać w myślach. My wszyscy jesteśmy mutantami. Genetyczne dziwadła.

Niemniej Huxley wierzył, że skuteczność zastawki można nadwerężyć poprzez różne sztuczne środki, dając w ten sposób zwykłemu śmiertelnikom dostęp do pozazmysłowych informacji zazwyczaj odbieranych tylko przez paru wybrańców. Uważał, że efekt ten dają psychodeliczne narkotyki. Według niego meskalina wpływa na system enzymatyczny regulujący funkcje mózgu i w ten sposób: "obniża wydajność umysłu jako instrumentu, który ukierunkowuje nasze myśli na problemy codziennego życia na powierzchni naszej planety. To... zdaje się, pozwala na wniknięcie do świadomości pewnej kategorii zdarzeń umysłowych, zwykle odrzucanych, jako że nie posiadają znaczenia dla naszego przetrwania. Podobne wtargnięcie informacji biologicznie nieużytecznych, ale wartościowych z artystycznego, a czasem duchowego punktu widzenia może zdarzyć się w wyniku choroby lub zmęczenia, może być wywołane postem lub okresem odosobnienia w absolutnej ciszy i ciemności".

Mówiąc o sobie, Dawid Selig bardzo mało wie o psychodelicznych narkotykach. Przeżył tylko

jedno doświadczenie tego rodzaju i nie zaliczało się ono do szczęśliwych. Było to latem 1968, kiedy mieszkał z Toni.

Chociaż Huxley wysoko cenił psychodeliki, nie traktował ich jako jedynej drogi do przeżyć wizyjnych. Można je osiągnąć także przez post i fizyczne umartwienie. Pisał o mistykach, którzy "regularnie używali bicza z powiązanej w supły skóry lub nawet żelaznego pręta. Te biczowania były ekwiwalentem całkiem poważnej operacji chirurgicznej bez znieczulenia, a ich wpływ na reakcje chemiczne w organizmie penitenta - znaczny. Kiedy bicz opadał, uwalniały się duże ilości histaminy i adrenaliny, powstałe w ten sposób rany zaczynały ropieć (jak działa się prawie zawsze przed erą mydła) i przeróżne toksyczne substancje powstałe w wyniku rozkładu białka dostawały się do krwiobiegu. Ale histamina wywołuje szok, a szok uderza w umysł nie mniej niż w ciało. Co więcej, duże ilości adrenaliny mogą spowodować halucynacje, a niektóre z produktów jej rozkładu dają symptomy podobne do objawów schizofrenii. Jeśli wziąć pod uwagę toksyny z ran, to zakłócają one działanie enzymów regulujących pracę mózgu i obniżają jego efektywność jako narzędzia, które umożliwia przetrwanie w świecie, gdzie zwyciężają tylko biologicznie najbardziej przystosowani. To wyjaśnia słowa Proboszcza z Ars, który mówił, że w dniach, gdy biczował się bezlitośnie, Bóg nie odmawiał mu niczego. Innymi słowy, kiedy wyrzuty sumienia, pogarda dla samego siebie, strach przed piekłem uwalniają adrenalinę, kiedy jakiś zabieg chirurgiczny uwalnia adrenalinę i histaminę, a z zainfekowanych ran proteiny dostają się do krwi, wydajność mózgowej zastawki redukującej jest mniejsza i pewne nieznane przejawy Psychiki-w-Ogóle (wliczając w to zjawiska parapsychologiczne, wizje i jeśli się jest do tego etycznie i filozoficznie przygotowanym, także doświadczenia mistyczne) przenikną do świadomości ascety".

Wyrzuty sumienia, pogarda dla siebie, lęk przed piekłem. Post i modlitwa. Bicze i łańcuchy. Ropiejące rany. Przypuszczam, że każdy ma swoją własną podróż, zgadzam się na to. Kiedy zamiera we mnie moc, a święty dar przygasa, bawię się myślą o wskrzeszeniu go sztucznymi

środkami. Kwas, meskalina, psylocybina? Nie, nie chciałbym w to znowu wchodzić. Umartwienie ciała? To chyba przestarzałe, jak kruczata lub noszenie sztylp. Coś, co nie pasuje do roku 1976. Zresztą wątpię, czy potrafiłbym daleko zajść w samobiczowaniu. Co pozostaje? Post i modlitwa? Mógłbym pościć. Modlić się? Do kogo? Do czego? Czułbym się jak głupiec. Dobry Boże, obdarz mnie znów mocą. Święty Mojżeszu, pomóż proszę. Bzdura. Żydzi nie modlą się o przysługi, bo wiedzą, że nikt nie odpowie. A więc co pozostaje? Wyrzuty sumienia, pogarda dla siebie, lęk przed piekłem. Te trzy już posiadałem i nie przyniosło mi to pożytku. Musimy znaleźć inny sposób, by przywrócić moc do życia. Wymyślić coś nowego. Może biczowanie mózgu. Tak. Spróbuję czegoś takiego. Wyciągnę przysłowiowe kije samobije i zrobię to. Biczowanie obolałego, słabnącego, rozedrganego, zanikającego umysłu. Zdradzieckiego i znieawidzonego.

. 6 .

Lecz dlaczego Dawid Selig pragnie powrotu swojej siły? Czemu nie pozwala jej uwiędnąć? Zawsze była dla niego przekleństwem. Odcięła go od ludzi, skazała na życie bez miłości. Zostaw to w spokoju. Niech uschnie. Niech uschnie. A z drugiej strony, czym jesteś bez mocy? Bez tego chwiejnego nieprzewidywalnego kontaktu z nimi. Czy w ogóle będziesz mógł do nich dotrzeć? Twoja moc łączy cię z ludzkością na dobre i na złe - to jedyny sposób, jaki znasz. Nie zniesiesz tej straty. Przyznaj się. Ten twój dar- kochasz go i nienawidzisz. Boisz się rozpaczliwie jego braku bez względu na to, co ci uczynił. Będziesz walczył o każdy jego okrucuch, chociaż wiesz, że bitwa jest przegrana. A więc walcz. Przeczytaj jeszcze raz Huxleya. Spróbuj kwasu, jeśli starczy ci odwagi. Próbuj biczowania. Przynajmniej spróbuj pościć. W porządku, post. Wyrzucę chow mein. Wyrzucę maślane bułeczki. Wkręcmy czystą kartkę w maszynę do pisania i pomyślmy o Odyseuszu, symbolu społeczeństwa.

. 7 .

Wsluchuję się w srebrny dzwoneczek telefonu. Już późno. Kto to dzwoni? Może Aldous Huxley

spoza grobu dodaje mi odwagi? Doktor Hittner z jakimś ważnym pytaniem odnośnie do siusiania? Toni, żeby mi powiedzieć, że jest w pobliżu z tysiącem pastylek wystrzałowego kwasu i że może przyjść? Na pewno. Na pewno. Z wahaniem gapię się na telefon. Moja siła nawet w najlepszych momentach nie była w stanie spenetrować świadomości Amerykańskiej Kompanii Telekomunikacyjnej. Przy piątym dzwonku wzdychając podnoszę słuchawkę i słyszę słodki kontrakt mojej siostry Judyty.

- Nie przeszkadzam? - typowe zagajenie.

- Cicha noc w domowych pieleszach. Piszę "na murzyna" pracę semestralną z "Odysei". Masz jakieś świetne pomysły?

- Nie dzwoniłeś od dwóch tygodni.

- Byłem splukany. Po tej scenie, jaką urządziłaś ostatnim razem, nie chciałem poruszać tematu pieniędzy, a ostatnio tylko o tym mogłem myśleć i mówić. Więc nie dzwoniłem.

- Bzdura - rzekła. - Nie byłam na ciebie zła.

- Wyglądałaś na wściekłą jak zaraza.

- Nie myślałam tak naprawdę. Czemu uważasz, że mówiłam serio? Bo krzyczałam? Naprawdę myślisz, że uważam cię za... za... jak ja cię nazwałam?

- Chyba leniwym pasożytem.

- Leniwy pasożyt. Cholera. Byłam wtedy zdenerwowana, Dawidzie. Miałam problemy osobiste, w dodatku zaczęła mi się miesiączka. Uniosłam się. Wykrzyczałam po prostu pierwszą bzdurę, jaka mi przyszła do głowy. Ale dlaczego sądziłeś, że tak myślę? Od kiedy uważasz za prawdę to, co ludzie gadają?

- Twoje myśli też to mówiły, Judytko.

- Naprawdę? - Jej głos był nagle cichy i skruszony. Jesteś pewien?

- To było jasne i głośne.

- O Jezu, Dawidku, miej serce. W złości mogłam myśleć wszystko, ale pod gniewem - pod spodem - musiałeś widzieć, że tak nie myślę. Że cię kocham, że nie chcę się ciebie pozbyć. Jesteś wszystkim, co mam, ty i dziecko.

Jej miłość jest dla mnie niestrawna, i ten sentymentalizm też mi nie smakuje. Mówię:

- Nie odbieram już wiele tego, co pod spodem, Judyto. Niewiele do mnie dociera. A zresztą, nie ma się o co spierać. Jestem leniwym pasożytem. I pożyczyłem od ciebie o wiele więcej, niż możesz dać. Wielki brat, czarna owca, czuje się wystarczająco winny. Niech mnie diabli, jeśli kiedykolwiek poproszę cię o pieniądze.

- Winny? Ty mówisz o winie, kiedy ja...

- Nie - ostrzegłem ją. - Nie zaczynaj wycieczek na temat winy, Judytko. Nie teraz.

Jej wyrzuty sumienia z powodu niedawnego chłodu w stosunku do mnie śmierdziały jeszcze bardziej niż jej nowo odkryta miłość.

- Nie czuję się na siłach, by dzisiaj rozdzielać porcję win i przewin.

- Dobrze. Dobrze. Więc z pieniędzmi sobie teraz radzisz?

- Mówiłem ci. Piszę na maszynie te prace. Przeżyję.

- Może wpadniesz jutro na obiad?

- Nie, raczej popracuję. Mam dużo tekstów do napisania. To ruchliwy okres. - Bylibyśmy tylko we dwoje. I oczywiście mały, ale położę go wcześniej spać. Tylko ty i ja. Moglibyśmy pogadać.

Mamy tyle spraw do obgadania. Czemu nie wpadniesz, Dawidku? Nie musisz harować dzień i noc.

Ugotuję coś, co lubisz. Zrobię spaghetti z ostrym sosem. Cokolwiek. Zaproponuj coś.

Prosi mnie, ta lodowata siostra, która przez dwadzieścia pięć lat nie dała mi niczego prócz nienawiści. Wpadnij i pozwól mi pobawić się w mamusię, Dawidku. Pozwól mi być kochającą siostrzyczką, braciszku.

- Może pojutrze wieczorem. Zadzwońię.

- Jutro nie ma szans?
- Nie sądzę. - W słuchawce cisza. Ona nie chce mnie błagać. Więc mówię w sam środek tej piszczącej ciszy: - Co u ciebie słyszę, Judyto? Spotykasz się z kimś ciekawym?
- Z nikim się nie spotykam. - Jej głos jest ostry jak brzytwa. Od rozvodu minęło dwa i pół roku, śpi, z kim popadnie. Ma trzydzieści jeden lat i coraz bardziej gorzknieje.
- Mam dosyć mężczyzn. Może zrezygnuję z nich na zawsze. Nawet jeśli nigdy nie będę już się pieprzyć, to mam to gdzieś. Zduszam w sobie ponury śmiech.
- A co stało się z tym agentem z biura podróży, z którym się spotykałaś? Z Mickeyem?
- Miał na imię Marty. To było oszustwo. Obwioził mnie po całej Europie za 10% opłaty. Inaczej nigdy nie byłoby mnie na to stać. Po prostu go wykorzystałam.
- I co dalej?
- Czuję się przez to cholernie głupio. Zerwałam z nim w zeszłym miesiącu. Nie byłam w nim zakochana. Chyba nawet go nie lubiłam.
- Ale grałaś w to wystarczająco długo, żeby załatwić najpierw wycieczkę do Europy?
- Jego to nic nie kosztowało. Ja miałam iść z nim do łóżka, a on wypełnić formularz. A tak w ogóle, to co ty chcesz powiedzieć? Że jestem kurwą?
- Judytko...
- Dobrze, jestem kurwą. Ale przynajmniej teraz próbuję wyjść na prostą. Masa świeżego soku z pomarańczy i tony dobrej lektury. Właśnie czytam Prousta, czy uwierzysz? Teraz skończyłam "W stronę Swanna", a jutro...
- Judytko, mam jeszcze dzisiaj trochę pracy.
- Przepraszam. Nie chcę przeszkadzać. A więc wpadniesz na obiad w tym tygodniu?
- Pomyślę o tym. Dam ci znać.
- Czemu ty mnie tak nienawidzisz, Daw?

- To nieprawda. Zdaje się, że mieliśmy już skończyć tę rozmowę.

- Nie zapomnij zadzwonić - mówi. Tonący łapie się brzytwy.

. 8 .

Toni. Teraz powinienem opowiedzieć wam o Toni.

Mieszkałem z nią przez siedem tygodni podczas pewnych wakacji osiem lat temu. To najdłuższy okres, jaki z kimś spędziłem, wykluczając moich rodziców i siostrę, od których odszedłem tak szybko, jak tylko było to możliwe. No, i mnie samego, z którym nigdy nie mogę się rozstać. Toni była jedną z dwóch wielkich miłości mego życia. Druga to Kitty. Ale o niej opowiem przy innej okazji.

Czy potrafię zrekonstruować Toni? Spróbujmy paru szybkich, szkicowych kresek. Miała dwadzieścia cztery lata. Wysoka i dziewczęca, pięć stóp i sześć albo nawet siedem cali wzrostu. Szczupła. Zwinna i niezgrabna jednocześnie. Długie nogi, długie ramiona, cienkie nadgarstki i kostki. Błyszczące, czarne włosy, idealnie proste, spływające na ramiona. Ciepłe, ruchliwe, brązowe oczy, bystre i kpiące. Dowcipna, inteligentna dziewczyna, może nie tak dobrze wykształcona, ale za to wyjątkowo mądra. Twarz niezbyt ładna według konwencjonalnych norm. Zbyt duże usta, za duży nos, zbyt wyraźne kości policzkowe. Wszystko to tworzyło jednak pełną seksu, atrakcyjną całość, tak że wiele głów obracało się, gdy wchodziła do pokoju. Wielkie, ciężkie piersi. Uwielbiam piersiaste kobiety. Czasami potrzebuję jakiegoś przytulnego miejsca, by złożyć moją skołataną głowę. Tak często i tak bardzo zmęczoną. Moja matka miała rozmiar 32 A - żadnych mięciuchnych poduszczek. Nawet gdyby chciała, nie mogłaby mnie ukołysać. Zresztą nie chciała. (Czy kiedykolwiek wybaczę jej, że pozwoliła mi wymknąć się z jej łona? Na miłość boską, daj spokój, Selig, okaż trochę synowskiego miłosierdzia.)

Zaledwie dwa razy zaglądnąłem w umysł Toni. Tego dnia, kiedy po raz pierwszy ją spotkałem, i parę tygodni później. I jeszcze trzeci raz - w dniu zerwania. Ale to był czysty (i zgubny) przypadek.

Druga próba też była do pewnego stopnia niezamierzona. Tylko przy pierwszym spotkaniu zrobiłem to rozmyślnie. Gdy zdałem sobie sprawę, że ją kocham, bardzo starannie wystrzegalem się podsłuchiwania jej myśli. Ten, kto podgląda, może ujrzeć swoje zmartwienie. Tej lekcji nauczyłem się już w młodości. Nie chciałem, żeby Toni podejrzewała, że posiadam taką moc. To moje przekleństwo. Obawiałem się, że mogę ją odstraszyć.

Wykonując jedno z całej serii moich dziwacznych zajęć, pracowałem tego lata dla pewnego znanego pisarza i wyszukiwałem dane do grubej książki, dotyczącej politycznych machinacji z okresu powstawania państwa izraelskiego. Osiem godzin dziennie przedzierałem się przez trzewia Biblioteki Kolumbijskiej, robiąc Fiszki ze starych gazet. Toni była młodszym wydawcą w firmie, która chciała opublikować tę książkę. Spotkałem ją pewnego popołudnia w eleganckim apartamencie pisarza przy East End Avenue. Przyniosłem właśnie naręcze notatek na temat mów Trumana z kampanii 1948 roku. Toni dyskutowała nad cięciami, których należało dokonać w pierwszych rozdziałach. Uderzyło mnie piękno tej dziewczyny. Od miesięcy nie byłem z kobietą. Automatycznie uznałem, że jest kochanką pisarza. Mówiono mi, że pieprzenie się z wydawcą to normalna praktyka na tym poziomie pisarskiej profesji. Jednak mój stary instynkt podglądacza wkrótce poddał mi właściwą odpowiedź. Spenetrowałem szybko jego umysł. Przypominał staw pełen niespełnionych tęsknot. Pragnął jej aż do bólu, a ona w najmniejszym stopniu nie odwzajemniała jego uczuć. Potem sięgnąłem do jej myśli. Zanurzyłem się głęboko w ciepły, żyzny ił. Szybko zorientowałem się w otoczeniu. Bombardowały mnie luźne, oderwane strzępy autobiografii: rozwód, trochę dobrego i trochę złego seksu, dni na uniwersytecie, wycieczka na Karaiby - wszystko to (jak zwykle) chaotycznie wirowało wokół mnie. Podążyłem dalej, szukając interesującej mnie informacji. Nie, nie spała z pisarzem. Fizycznie był dla niej zerem. (Dziwne. Według mnie reprezentował ujmujący typ przystojnego romantyka, o ile tak zdecydowanie heteroseksualna istota, jak ja mogła to ocenić.) Co ciekawe, nie lubiła nawet jego pisarstwa. Nagle,

przeoglądając dalej jej myśli, dowiedziałem się czegoś znacznie bardziej zaskakującego. Zdaje się, że wywierałem na niej wrażenie. Uchwyciłem wyraźne zdanie: Ciekawe, czy ma czas dziś wieczorem? Patrzyła na starzejącego się faceta, czcigodnego trzydziestotrzylatka z początkami łysiny, i nie był on dla niej odpychający. Tak mnie to poruszyło (wspaniałość jej czarnych oczu, uroda jej długich nóg - dla mnie), że natychmiast wycofałem się z jej umysłu.

- Mam te notatki o Trumanie - powiedziałem memu pracodawcy. - Nadejdzie jeszcze parę rzeczy z Biblioteki Trumana w Missouri.

Zlecił mi nowe zadania. Rozmawialiśmy o nich przez parę minut, a potem zacząłem zbierać się do wyjścia. Rzuciłem jej szybkie, ostrożne spojrzenie.

- Niech pan poczeka - rzekła. - Ja już kończę. Możemy pojechać do miasta razem.

Literat utkwiał we mnie wzrok pełen trującej zawiści. O Boże, znów mnie wyleją! Ale on grzecznie nas pożegnał. W windzie staliśmy osobno, ja w jednym kącie, Toni w drugim, oddzieleni rozedrganym murem napięcia i tęsknoty. Walczyłem ze sobą, by nie śledzić jej myśli. Byłem przerażony, bałem się. Nie, nie tego, że mogę otrzymać negatywną odpowiedź. Obawiałem się potwierdzenia. Na ulicy też stanęliśmy osobno. Chwila wahania. Wreszcie powiedziałem, że biorę taksówkę do Upper West Side (ja, taksówkę, przy osiemdziesięciu pięciu dolarach na tydzień!) i że mogę ją gdzieś podrzucić. Mieszkała przy 105 na West End. Na szczęście blisko. Kiedy taksówka zatrzymała się przed jej domem, zaprosiła mnie na drinka. Trzy pokoje, konwencjonalnie umeblowane głównie książki, płyty, dywaniki, plakaty. Chciała nalać wina, ale ja chwyciłem ją, przyciągnąłem do siebie i pocałowałem. Drżała w moich ramionach, a może to ja drżałem? Trochę później, gdy siedzieliśmy nad miseczkami chińskiej zupy w "Wielkim Szanghaju", powiedziała, że wyprowadza się za parę dni. Mieszkanie należało do jej współlokatora, chłopaka, z którym zerwała trzy dni wcześniej. Nie miała się gdzie podziać.

- Mam tylko jeden marny pokój - rzekłem. - Ale za to z podwójnym łóżkiem.

Nieśmiałe uśmiechy, moje, jej. A więc wprowadziła się. Nie łudziłem się, że jest we mnie zakochana, naprawdę nie. I nie zamierzałem o to pytać. Nawet jeśli jej uczucie nie było miłością, mnie zadowalało. Na nic więcej nie mogłem mieć nadziei i w głębi duszy kochałem ją. Potrzebowała przystani wśród burzy, a ja byłem w stanie jej to ofiarować. Jeśli znaczyłem dla niej tylko tyle trudno. Niech tak będzie. Nadchodził czas zbierania owoców.

Przez pierwsze dwa tygodnie spaliśmy niewiele. Nie, nie pieprzyliśmy się bez przerwy, choć i tego było dużo. Rozmawialiśmy. Byliśmy dla siebie czymś nowym. To zwykle najlepszy okres dla każdego związku - gdy można dzielić się całą przeszłością, wyrzucać z siebie wszystkie problemy i słowa same napływają na język. (No, może nie wszystko jej opowiedziałem. Jedyna rzecz, jaką zataiłem, to najważniejsza sprawa mego życia, która ukształtowała całą moją osobę.) Mówiła o swoim małżeństwie - wczesnym, około dwudziestki, krótkim i pustym - i o tym, jak żyła przez ostatnie trzy lata po rozwodzie. Szereg przypadkowych mężczyzn, ucieczka w okultyzm i psychoterapię, a od niedawna zaangażowanie w karierę zawodową. Szalone tygodnie.

* * *

Nadszedł nasz trzeci tydzień. Moje drugie spojrzenie w jej mózg. Parna, lipcowa noc. Pełna tarcza księżyca rzucała przez żaluzje zimne światło do wnętrza naszego pokoju. Toni siedziała na mnie okrakiem (jej ulubiona pozycja) i jej ciało, bardzo blade, jaśniało w głębokiej ciemności białą poświatą. Jej długi, smukły kształt unosił się daleko nade mną. Twarz na wpół ukryta w zwisających, niesfornych włosach. Oczy przymknięte, rozchylone wargi. Piersi, widziane z dołu wydawały się jeszcze większe niż w rzeczywistości. Kleopatra w świetle księżyca. Kołysała się i dygotała ogarnięta coraz większą ekstazą. Jej piękno i dziwna obcość tak mną zawładnęły, że nie mogłem się oprzeć pokusie pragnąłem oglądać ją w momencie szczytowania, oglądać całą. Zburzyłem więc tak pracowicie wzniesioną barierę i w chwili najwyższego uniesienia mój umysł dotknął jej duszy. Z wulkaniczną intensywnością nadbiegła ku mnie fala jej rozkoszy. W umyśle

Toni nie było nawet śladu myśli na mój temat. Tylko buchająca z każdego nerwu, czysta zwierzęca rozkosz. Widziałem to już u innych kobiet, przed i po Toni. W chwili orgazmu są jak wyspy - samotne w pustce przestrzeni, świadome tylko swoich ciał i być może tego twardego rdzenia, o który uderzają. Jest to dziwnie bezosobowe zjawisko, niezależne od natężenia rozkoszy. Tak było i z Toni. Nie oponowałem. Wiedziałem przecież, czego się spodziewać, i nie czułem się oszukany ani odrzucony. Prawdę mówiąc, połączenie naszych dusz w tak wspaniałym momencie przyspieszyło moją własną ekstazę. Potem straciłem kontakt z Toni. Takie mocne przeżycia niszczą delikatne więzy telepatii. Po tym wszystkim doskwierało mi trochę sumienie, ale nie czułem się całkowicie winny. Mimo wszystko, jakież magiczny urok miało wspólne przeżywanie tej chwili! Być świadkiem jej radości - nie tylko bezmyślnego skurczu mięśni, ale i lśniącego światła, co rozbłysło w ciemnym krajobrazie jej duszy. Kulminacja piękna i zachwytu, olśnienie, którego się nie zapomina. I którego się nie da niestety powtórzyć. Jeszcze raz utwierdziłem się w postanowieniu, by zachować czystość naszego związku i nie wykorzystywać nieuczciwie mojej przewagi nad Toni. Po prostu trzymać się z dala od jej głowy.

* * *

Pomimo to parę tygodni później znowu wkroczyłem w świadomość Toni. Przez przypadek. Przez przeklęty, obrzydliwy przypadek. Ten trzeci raz to była moja klęska, moje nieszczęście. Katastrofa.

. 9 .

Wczesną wiosną 1945 roku, kiedy Dawid ukończył dziesięć lat, kochający rodzice sprawili mu młodszą siostrzyczkę. Dokładnie tak to określili. Matka, przybierając najcieplejszy ze swoich uśmiechów, przytuliła go i rzekła specyficznym (tak jak się mówi do inteligentnych dzieci) tonem: - Dawidku, ja i tata mamy dla ciebie cudowną niespodziankę. Sprawimy ci małą siostrzyczkę. Rzecz jasna nie było żadnej niespodzianki. Dyskutowali nad tym od miesięcy, może od lat,

zakładając błędnie, że ich inteligentny syn niczego nie pojmuje. Nie sądzili, że jest w stanie połączyć oderwane fragmenty rozmów lub przypisać właściwe znaczenie zaimkom "ono" lub "on". I naturalnie czytał ich myśli. W tamtych dniach jego moc była czysta i mocna. Obłożony albumami znaczków i książkami o pozaginanych stronach leżał wieczorami w sypialni, bez wysiłku odbierając wszystko, co płynęło z oddalonego o piętnaście metrów pokoju rodziców. Coś w rodzaju nie kończącej się audycji radiowej bez reklam. Mógł słuchać radiostacji WJZ, WHN, WEA, WOR, ale najczęściej odbierał WPMS - Wielmożnych Paula i Martę Selig. Nie mieli dla niego tajemnic. Podśluchiwał bez przerwy, bez żadnego skrępowania. Przedwcześnie dojrzały, wprowadzony we wszystkie tajemnice, całymi dniami medytował surową, gorącą materię małżeńskiego życia. Kłopoty finansowe, momenty słodkiego rozkochania, chwile pełnej winy nienawiści skierowanej przeciwko nużącemu partnerowi, udręki i radości seksu, wspólne rozkosze i osobne rozczarowania, tajemnice nieudanych orgazmów i erekcji, a w myślach matki przerażająca koncentracja na prawidłowym rozwoju Dziecka. Z umysłów rodziców wypływały strumienie żywej, fermentującej piany, a on spijał ją do ostatniej kropli. Czytanie w ich duszach było jego grą, zabawą, religią, wreszcie zemstą. Nigdy na to nie wpadli. Ciągłe węszył, ciągle chciał się upewnić, że tak jest. I rzeczywiście tak było. Nawet im się nie śniło o jego zdolnościach. Myśleli, że jest po prostu wyjątkowo inteligentny i nie kwestionowali sposobu, w jaki dowiadywał się tylu niesamowitych rzeczy. Gdyby odkryli prawdę, być może udusiliby go w kołysce. Na szczęście nie mieli o tym najmniejszego pojęcia. A więc rok po roku bezpiecznie podglądał ich. W miarę jak coraz więcej rozumiał, pogłębiały się jego spostrzeżenia.

Wiedział, że dr Hittner, zawiedziony i zbity z tropu przez dziwnego syna Seligów, uważał za najlepsze wyjście dla całej rodziny drugie dziecko. Rodzeństwo - to było słowo, jakiego użył. Dawid musiał wyszukać jego znaczenie, traktując głowę psychiatry jak słownik. Rodzeństwo, brat lub siostra. O, zdradziecki skurczybyk o końskiej szczęce. Dawid prosił tylko o tę jedną rzecz, lecz

oczywiście dr Hittner go nie posłuchał. Ale czegoż innego można się było spodziewać? Myśl o rodzeństwie przez cały czas tkwiła w mózgu dr. Hittnera. Pewnej nocy, badając umysł matki, Dawid natknął się na tekst listu psychiatry. "Jedynak to dziecko emocjonalnie zubożone. Bez różnorodnych kontaktów z rodzeństwem nie ma on możliwości poznawania najlepszych sposobów kształtowania współżycia z rówieśnikami. Oprócz tego jest obciążony niebezpiecznie rozwijającym się stosunkiem do rodziców - staje się dla nich partnerem, a nie dzieckiem." Niezawodne panaceum dr. Hittnera - liczne rodzeństwo. Tak jakby w dużych rodzinach nie występowały neurozy.

Dawid zdawał sobie sprawę z wysiłków rodziców, którzy z zapamiętaniem wypełniali polecenia psychiatry. Nie było czasu do stracenia. Chłopiec rósł, samotny, pozbawiony możliwości uczenia się, jak współżyć z rówieśnikami. Więc noc po nocy biedne, wiekowe ciała Paula i Marty podejmowały wyzwanie. W pocie czoła zmuszali się do coraz większych cudów pożądania, lecz co trzydzieści dni krew miesięczki przynosiła złą nowinę - tym razem żadnego rodzeństwa. Aż wreszcie ziarno wzeszło. Nawet nie wspomnieli o tym Dawidowi, być może wstydząc się wobec ośmiolatka, że zdarza się im taka rzecz jak stosunek płciowy. Ale on wiedział. Wiedział, dlaczego wzbiera ciało jego matki i czemu rodzice ciągle powstrzymują się od wyjaśnień. Wiedział nawet, że dziwny atak choroby matki (wrostek robaczkowy) w lipcu 1944 to w rzeczywistości było poronienie. Umiał właściwie zdefiniować tragiczny wyraz ich twarzy. Znał opinię lekarza Marty, który uważał ciążę w wieku trzydziestu pięciu lat za zbyt ryzykowną i doradzał raczej adopcję. Jego ojca bardzo uraziła ta sugestia. "Co? Wpuścić do domu bękarta, którego wyrzuciła jakaś siksa?" Biedny stary Paul, całymi tygodniami spędzał bezsenne noce, nawet żonie nie przyznając się do przyczyny swego zdenerwowania. Nieświadomie całą winę zrzucił na wścibskiego syna. Brak poczucia bezpieczeństwa, irracjonalna niechęć. "Dlaczego miałbym wychowywać cudzego szczeniaka tylko dlatego, że ten psychiatra uznał to za korzystne dla Dawida? Nie wiadomo, co za paskudztwo sprowadzę do domu. Jak pokocham dziecko, które nie jest moje? Jak mogę mu

wmawiać, że jest Żydem, skoro być może zrobił je jakiś irlandzki pokurcz, jakiś włoski czyścibut albo stolarz?"

Wszystkowiedzący Dawid czuwał. Wreszcie Selig senior zakomunikował swoje, ostrożnie sformułowane obawy żonie, mówiąc: "Może Hittner się myli, może to tylko taki okres w życiu Dawida, a drugie dziecko niczego tu nie zmieni". Wskazywał na nowe koszty, zmiany, jakie nastąpią w ich życiu - nie są już młodzi, osiągnęli pewną stabilizację i teraz znowu dziecko, wstawanie o czwartej rano, płacze, pieluchy. Dawid w cichości gratulował ojcu tych poglądów; no, bo komu potrzebny ten intruz, całe to rodzeństwo, ten wróg ciszy i spokoju. Matka broniła się rozpaczliwie, cytując list Hittnera i odpowiednie fragmenty ze swojej bogatej biblioteki poświęconej psychologii dziecka. Przytaczała przerażającą statystykę przypadków neurozy, nieprzystosowania, nocnego moczenia i homoseksualizmu wśród jedynaków.

Gdzieś koło Bożego Narodzenia ojciec krzyczy: "Dobrze, dobrze, zgadzam się na adopcję! Ale nie wezmę byle czego. To musi być żydowskie dziecko!" Długie zimowe tygodnie trwało objeżdżanie agencji adopcyjnych, udawanie wobec Dawida, że te wycieczki na Manhattan to tylko zwykłe, nieszkodliwe wyprawy po zakupy. Nie dawał się oszukać. Jak ktokolwiek mógłby oszukać to wszechwiedzące dziecko? Wystarczyło, że zajrzał w ich oczy i już wiedział, że "kupowali" braciszka. Jedyłą jego pociechą była myśl, że nie znajdą nikogo odpowiedniego. Ciągle jeszcze trwała wojna. Jeśli trudno było kupić samochód, to samo mogło zdarzyć się z dziećmi. Przez wiele tygodni wydawało się, że tak jest w istocie. Dzieci nie było zbyt dużo, a nawet jeśli jakieś się znalazło. z reguły coś poważnie przeszkadzało w adopcji - niewystarczająco żydowskie pochodzenie, zbyt delikatne zdrowie, cherlawy wygląd lub niewłaściwa płeć. Na adopcję oczekiwało paru chłopców, ale Paul i Marta zdecydowali, że sprawią Dawidowi małą siostrzyczkę. To bardzo utrudniło sprawę, ponieważ ludzie nie oddają tak łatwo dziewczynek jak chłopców. Niemniej pewnej spowitej w śnieg marcowej nocy Dawid odkrył w umyśle matki potężną nutę

triumfu. Właśnie wróciła z jeszcze jednej wyprawy "na zakupy". Przyglądając się uważniej, doszedł do wniosku, że poszukiwania są zakończone. Znalazła śliczną malutką czteromiesięczną dziewczynkę. Jej dziewiętnastoletnia matka była nie tylko Żydówką pełnej krwi, ale nawet studentką opisaną przez agencję jako "wyjątkowo inteligentna", co nie uchroniło jej jednak przed zapłodnieniem przez młodego, przystojnego kapitana lotnictwa, takiego Żyda, który powrócił do domu na urlop w lutym 1944 roku. Pomimo wyrzutów sumienia nie zamierzał ożenić się z ofiarą swych pożądań i wypełniał właśnie żołnierski obowiązek na Pacyfiku, gdzie - wedle życzeń rodziców dziewczyny - powinien zginąć co najmniej z dziesięć razy. Zmusili ją, by oddała dziecko do adopcji. Dawid zastanawiał się, dlaczego matka nie przywiozła dziecka z sobą już tego popołudnia, ale szybko dowiedział się, że czekało ich jeszcze kilka tygodni załatwiania formalności. Dopiero gdzieś w połowie kwietnia jego matka obwieściła: "Dawidku, tatuś i ja mamy dla ciebie cudowną niespodziankę".

Nazwali ją Judyta Hanna Selig po niedawno zmarłej matce jej przybranego ojca. Dawid natychmiast ją znienawidził. Obawiał się, że wniosą niemowlę do jego sypialni, ale nie; ustawili kołyskę w swoim własnym pokoju. Jednakże krzyki dziewczynki napępiały całe mieszkanie nie kończącym się ochrypniętym zawodzeniem. Ilość hałasu, jaki potrafiła z siebie wydobyć, była wręcz nieopisana. Paul i Marta poświęcali jej praktycznie cały swój czas, zabawiając ją, karmiąc, zmieniając pieluszki. Ale Dawid nie protestował. Dzięki temu byli bez przerwy zajęci i czuł się o wiele swobodniej. Nie lubił przebywania z Judytą. Nie widział nic uroczonego w jej tłusciutkich nóżkach, loczkach i dołeczkach na buzi. Kiedy patrzył, jak ją przewijają, odnajdywał w sobie zainteresowanie badacza, obserwując jej mały różowy tyłeczek, tak obcy jego doświadczeniom. Ale szybko zaspokoił swoją ciekawość. "A więc mają szparkę zamiast siusiaka. No dobrze, i co z tego?" Ogólnie rzecz biorąc odbierał Judytę jako irytujący zgrzyt. Robiła tyle hałasu, że nie mógł sprawnie czytać myśli, co było jego jedyną przyjemnością. Dom był bez przerwy pełen krewnych i

przyjaciół składających kurtuazyjne wizyty nowemu dziecku, a ich głupie, konwencjonalne umysły nasycaly przestrzeń tępyimi myślami, które jak młoty waliły w czułą świadomość Dawida. Od czasu do czasu starał się penetrować umysł niemowlęcia, ale w środku nie znajdowało się nic prócz mętnych, bezkształtnych i zamglonych wrażeń. Bardziej opłacalnym wysiłkiem było badanie mózgów psów lub kotów. Ona chyba w ogóle nie myślała. Wszystko, co z niej wyciągał, to uczucie głodu, senności i niejasnej, choć rozkosznej ulgi, kiedy moczyła pieluszkę. Mniej więcej w dziesięć dni po jej przybyciu Dawid postanowił zabić ją przy pomocy telepatii. Gdy rodzice na chwilę gdzieś odeszli, wślizgnął się do ich pokoju. Zagląjąc w kołyskę siostry, skoncentrował wszystkie swoje siły i próbował wyssać jej nieufirmowany umysł. Gdyby tylko potrafił wyciągnąć z dziecka iskrę intelektu, wessać świadomość, a w łódeczku pozostawić tylko pustą, bezmózgą skorupę - wtedy z pewnością by umarło. Starał się wczepić pazurami w duszę Judyty. Wpatrywał się w jej oczy. Otworzył swoją moc jak najszerzej, wchłaniając całą aktywność dziecka i zwiększając presję do maksimum. "Chodź... chodź... twój umysł przelewa się we mnie... chwytam go, chwytam go całego! Uchwyciłem cały twój mózg." Niewzruszona jego zaklęciami Judyta dalej gaworzyła machając rączkami. Wpatrzył się z jeszcze większą intensywnością, podwajając siłę koncentracji. Jej uśmiech zadrżał i zniknął. Brewki ściągnęły się w wyrazie zaskoczenia. Czyżby wiedziała, że ją atakuje? A może tylko reagowała na dziwaczne miny, jakie stroił. "Chodź... chodź... twój umysł przelewa się we mnie..."

Przez chwilę wydawało mu się, że odniósł sukces. Lecz znenacka rzuciła mu lodowate, złowrogie spojrzenie, pełne nieopisanej wściekłości, tym bardziej przerażające, że pochodziło od niemowlęcia. Przestraszony wycofał się, obawiając się nagłego kontrataku. W sekundę później znowu gaworzyła. Pokonała go. Dalej jej nienawidził, ale już nigdy nie odważył się jej skrzywdzić. Judyta, gdy tylko dorosła na tyle, by zrozumieć pojęcie nienawiści, świetnie zdawała sobie sprawę z uczuć brata i odpowiadała mu tym samym. Okazało się, że potrafi to znacznie lepiej niż

on. O tak, była ekspertem w nienawiści.

. 10 .

Tematem tego rozdziału będzie Moja Pierwsza Wyprawa w Krainę Kwasu. Prawdę mówiąc, nie była to moja wyprawa, lecz Toni. LSD nigdy nie przeszło przez mój przewód pokarmowy. Byłem tylko autostopowiczem na tej wycieczce i w pewnym sensie jestem nim do dziś. Pozwólcie, że o tym opowiem.

Wydarzyło się to latem 1968 roku. Wszystko wtedy szło źle. Czy pamiętacie jeszcze rok 1968?

Właśnie wtedy otworzyły się nam oczy i dostrzegliśmy, że cały ten interes rozpada się na kawałki.

Myszę o amerykańskim społeczeństwie. Tak dobrze nam znana, silna świadomość schyłku i

nieuniknionego upadku wywodzi się chyba z tego roku. Świat wokół nas stał się metaforą

gwałtownego narastania entropii, która zachodziła w naszych duszach a przynajmniej w mojej

duszy.

Tamtego lata w Białym Domu siedział Lyndon Baines MacBird, który po swoim ustąpieniu

kończył w marcu kadencję. Bob Kennedy nadział się na kulę z wyrytym na niej własnym

imieniem. To samo przydarzyło się człowiekowi o nazwisku Martin Luther King. Żadne z tych

zabójstw nie było niespodzianką. Dziwiło raczej to, że nastąpiły tak późno. Czarni podpalali

miasta, pamiętacie? Palili własne dzielnice. Zwyczajni, przeciętni ludzie zaczęli nawet do pracy nosić

dziwaczne ciuchy - obcisłe koszulki, spodnie-dzwony i minispódniczki. Włosy wydłużyły się

nawet u osób, które skończyły dwadzieścia pięć lat. To był rok baków i wąsów a la Buffalo Bill.

Senator Gene McCarthy - z Minnesoty? Wisconsin? - starając się o nominację partii

demokratycznej do wyborów prezydenckich cytował poezję, ale można było iść o zakład, że

zebrani w Chicago demokraci przyznają ten zaszczyt Hubertowi Horatio Humphreyowi. (A czy ten

zjazd nie był wspaniałym świętem amerykańskiego patriotyzmu?) W tym samym czasie w drugim

obozie Rockefeller rywalizował z Tricky Dickiem, ale wszyscy wiedzieli, jak to się skończy. W

miejscu, którego na pewno nie pamiętacie, zwanym Biafra dzieci umierały z niedożywienia. Oddziały Rosjan wkroczyły do Czechosłowacji, jeszcze raz demonstrując poczucie braterstwa. W miejscu zwanym Wietnam, którego pewnie wolelibyście nie pamiętać, działając na rzecz pokoju i demokracji zrzucaliśmy napalm na wszystko, co było w zasięgu wzroku, a niejaki porucznik William Calley przeprowadził likwidację ponad stu straszliwie niebezpiecznych staruszków, kobiet i dzieci w Mylai. Ale o tym jeszcze nie wiedzieliśmy. Książki, które każdy z nas czytał, to "Couples", "Myra Breckinridge", "The Confessions of Nat Turner" i "Money Game". Nie pamiętam już ówczesnych filmów. "Easy Rider" nie został jeszcze nakręcony, natomiast "Absolwent" był od roku już na ekranach. Być może wtedy narodziło się "Dziecko Rosemary". Tak, to brzmi dobrze. 1968 był z pewnością diabelskim rokiem. To wtedy wielu ludzi w średnim wieku, przedstawicieli klasy średniej, zaczęło świadomie używać określeń "skręt" i "trawka", zamiast "marihuana". Niektórzy nie tylko mówili, ale i palili. (Na przykład ja, ostatecznie nawrócony w wieku trzydziestu trzech lat.) Zobaczmy, co jeszcze. Prezydent Johnson mianował Abe Fortasa Naczelnym Sędzią Sądu Najwyższego w miejsce Earla Warrena. Gdzie jesteś teraz, sędzio Fortas, kiedy tak cię potrzebujemy? Możecie wierzyć lub nie, ale właśnie tego lata rozpoczęły się rozmowy pokojowe w Paryżu. Później wydawało się, że trwają one od początku wszechrzeczy, tak wieczne i trwałe jak Wielki Kanion i Partia Republikańska. Lecz to nieprawda, zaczęły się w 1968 roku. Denny McLain właśnie przygotowywał się do serii zwycięstw w rozgrywkach sezonowych. Myślę, że był on jedyną ludzką istotą, dla której ten rok warto było przeżyć. Ale jego drużyna nie dostała Mistrzostwa Świata. (Nie, co ja mówię. "Tygrysy" wygrały 4 do 3. Ale gwiazdą był Mickey Lolich, nie McLain.) Taki to był rok. O Boże, przegapiłem cały kawał historii. Wiosną 1968 roku wybuchły rozruchy na uczelni. Radykalni studenci okupowali kampus (Kirk musi odejść!), zajęcia zawieszono (Zamknąć uczelnię!), odwołano egzaminy końcowe. Nocami staczaliśmy potyczki z policją. Rozbito wiele dobrych, studenckich czaszek i sporo krwi wysokiej jakości ściekło do

ryszczoków. Jakże to dziwne, że właśnie te sprawy wyrzuciłem z pamięci, przecież były to jedyne wydarzenia, w których osobiście brałem udział. Stojąc na rogu Broadwayu i 116 Ulicy, obserwując plutony zimnookich blacharzy jadących w kierunku Biblioteki Butlera. (Blacharze - tak określaliśmy policjantów, zanim zyskali u nas miano świń, co miało miejsce nieco później tego roku.) Trzymając rękę wysoko w geście V-dla-pokoju i razem z najlepszymi wywrzaskując idiotyczne slogany. Kuląc się w holu Hali Fernalda, kiedy niebiesko umundurowana brygada pałkarzy ruszyła do boju. Debatując nad taktyką ze strzępobrodym neohitlerowskim gauleiterem, który w końcu napluł mi w twarz i nazwał śmierdzącym, liberalnym szpiclem. Przyglądając się, jak słodkie dziewczyny z Uniwersytetu Barnarda rozdierają bluzki i trzęsą gołymi piersiami przed nosem podnieconych, rozgorączkowanych gliniarzy, skandując jednocześnie soczyste anglosaksonizmy, o których dziewczętom studiującym za moich, dawno minionych czasów nawet się nie śniło. Obserwując grupę młodych, włochatych mężczyzn rytualnie sikających na stertę notatek i dokumentacji jakiegoś nieszczęśliwego asystenta piszącego doktorat. To właśnie wtedy zrozumiałem, że nie ma już nadziei dla rodzaju ludzkiego, skoro nawet najlepsi z nas wpadają w berserkerski szal z powodu miłości, pokoju i równości wszystkich ludzi. W te mroczne noce zagłębiałem się do wielu umysłów, znajdując wszędzie histerię i obłąd. Wreszcie, pełen rozpacz, uświadomiłem sobie, że żyję w świecie, gdzie dwa odłamy lunatyków walczą o kontrolę nad domem wariatów. Po pewnych wyjątkowo burzliwych zamieszkach uciekłem, by zwymiotować w parku Riverside i zostałem zniecka okradziony (ja, zniecka!) przez zręcznego czternastoletniego czarnego rabusia, który z uśmiechem uwolnił mnie od dwudziestu dwóch dolarów.

W 1968 mieszkalem w pobliżu uniwersytetu w rozpadającym się hotelu przy 114 Ulicy, gdzie wynajmowałem jeden średniej wielkości pokój z kuchnią i możliwością korzystania z łazienki. Karaluchy gwarantowane bez dodatkowej opłaty. Jako student w latach 55-56 mieszkalem w tym

samym miejscu. Nawet wtedy budynek chylił się ku upadkowi. A po dwunastu latach stał się obrzydliwą speluną. Tak jak gdzie indziej znajdowano niedopałki papierosów, tutaj podwórko zasłane było stosami połamanych igieł do zastrzyków. Czasami miewam dziwne, może masochistyczne pomysły. Nie chciałem pozbywać się fragmentów mojej przeszłości, niezależnie od tego, jak były paskudne, i szukając mieszkania wybrałem ten hotel. Poza tym był tani - 14,50 na tydzień - a ja musiałem być blisko uniwersytetu z powodu mojej pracy. Robiłem notatki do tej książki o Izraelu. Czy jeszcze nadążacie za mną? Mówiłem o mojej wyprawie w krainę kwasu, kiedy to podróżnikiem była w rzeczywistości Toni.

Dzieliliśmy nasz obskurny pokój przez prawie siedem tygodni. Trochę maja, cały czerwiec i trochę lipca. Tłuste i chude dni, fale upałów i ulewne deszcze, nieporozumienia i przeprosiny. To był szczęśliwy okres, chyba najszczęśliwszy w moim życiu. Kochałem Toni i myślę, że ona mnie też. Nie zaznałem zbyt wiele miłości. Nie mówię tego, by prosić o litość, po prostu obiektywnie i chłodno stwierdzam pewien fakt. Moja natura wpływa negatywnie na zdolność kochania i wzbudzania miłości. Człowiek w takim położeniu, szeroko otwarty na najskrytsze myśli innych, naprawdę nie ma wielu szans doświadczyć uczucia. Z trudnością też obdarza miłością, ponieważ jego zaufanie do bliźnich jest znikome - zna za dużo ich małych, brudnych sekretów. Niezdolny, by dawać, nie potrafi też brać. Jego dusza, stwardniała w osamotnieniu i egoizmie, staje się trudno dostępna, niełatwo więc go pokochać. Pętla się zaciesnia, a ofiarą jest on sam.

Mimo wszystko kochałem Toni, starając się nie zagłębiać w nią zbyt głęboko. Nie wątpiłem, że moja miłość jest odwzajemniana. Zresztą, co to jest miłość? Lubiliśmy swoje towarzystwo.

Podniecaliśmy się nawzajem w imponującym stopniu. Nigdyśmy się sobą nie znudzili. Nasze ciała odzwierciedlały bliskość dusz ja nie miewałem kłopotów z erekcją, ona z lubrykacją, a współzycie doprowadzało nas do ekstazy. Nazwałbym to wszystko parametrami miłości.

W piątek, w siódmym tygodniu naszej znajomości, Toni wracając z biura przyniosła w torebce

dwa małe kwadraciki bibułki. W środku każdego znajdowała się biała, niebieskozielona plamka.

Patrzyłem na nie przez chwilę nic nie pojmując.

- Kwas - rzekła w końcu.

- Kwas?

- No, wiesz. LSD. Dał mi to Teddy.

Teddy był jej szefem, naczelnym wydawcą. No cóż, LSD. Wiedziałem. W 1957 czytałem to, co napisał Huxley o meskalinie. Byłem uwiedziony i zafascynowany. Przez całe lata flirtowałem z psychodelicznymi doświadczeniami. Kiedyś zgłosiłem się nawet jako ochotnik do programu badań nad LSD, prowadzonego przez Kolumbijskie Centrum Medyczne. Ale spóźniłem się. A potem narkotyk stał się modny, pojawiły się potworne opowieści o samobójstwach, psychozach, nieudanych "odjazdach". Znajac swą delikatność uznałem, że najmądrzej będzie zostawić kwas innym. Ale nadal byłem go ciekaw. A teraz na ręce Toni leżały te dwa kwadraciki bibułki.

- To podobno dynamit - powiedziała. - Absolutnie czysty, laboratoryjna jakość. Teddy już wypróbował pastylki z tego rzutu i mówi, że jest dobrze spreparowany, bez żadnych domieszek, katalizatorów czy innych świństw. Myślę, że fajnie byłoby zafundować sobie jutro "odjazd" i odespać to w niedzielę.

- Obydwoje?

- Czemu nie?

- Myślisz, że to bezpieczne, żebyśmy oboje naraz stracili świadomość?

Rzuciła mi dziwne spojrzenie.

- To kwas tak działa?

- Nie wiem. Słyszałem wiele przerażających historii.

- Nigdy tego nie próbowałeś?

- Nie - odparłem. - A ty?

- No cóż, ja też nie. Ale obserwowałam znajomych podczas takiego odlotu.

Poczułam ukłucie zazdrości na myśl o życiu, jakie wiodła, zanim się poznaliśmy.

- Nie tracą świadomości, Dawidzie. Jak coś się czasami pokręci, to przez godzinę są na dzikim haju, ale najczęściej siedzą tak przytomni i spokojni jak... chociażby Aldous Huxley. Możesz sobie wyobrazić oszalałego Huxleya? Jak ślini się i bełkocze, jak rozwała meble?

- A co powiesz o tym facecie, który na kwasie zabił teściową? Albo ta dziewczyna, co wyskoczyła z okna?

Toni wzruszyła ramionami.

- Oni byli niezrównoważeni - powiedziała wyniośle. Uważam, że już wcześniej planowali morderstwo lub samobójstwo i kwas tylko popchnął ich do tego. Ale to nie znaczy, że to spotka ciebie lub mnie. A może dawki były zbyt duże albo do narkotyku czegoś domieszano. Kto wie? To zdarza się raz na milion. Mam przyjaciół, którzy brali kwas pięćdziesiąt, sześćdziesiąt raty i nigdy nie mieli żadnych kłopotów.

Zaczynała się niecierpliwić. W głosie pojawiły się mentorskie tony. Jej szacunek dla mnie wyraźnie malał wobec moich staropanieńskich wątpliwości. Byliśmy na krawędzi przepaści.

- O co chodzi, Dawid? Boisz się?

- Myślę, że to niemądrze brać kwas we dwójkę. Zwłaszcza że nie wiemy, dokąd nas to zaprowadzi.

- Wspólny "odjazd" jest najpiękniejszą rzeczą, jaką może zrobić dwoje zakochanych ludzi - obwieściła.

- Ale to ryzykowne. Po prostu nic o tym nie wiemy. Posłuchaj, przecież jeśli zechcesz, możesz skombinować więcej kwasu, no nie?

- Chyba tak.

- A więc dobrze. Zróbmy to rozsądnie, krok po kroku. Nie ma pośpiechu. Jutro ty masz odlot, a

ja patrzę. A w niedzielę odwrotnie. Jeśli się nam spodoba ta zabawa, następnym razem lecimy we dwójkę. W porządku, Toni? Może być?

Ale nie było w porządku. Widziałem, że chce coś powiedzieć, znaleźć jakieś argumenty, obiekcje, ale powstrzymała się i wycofała. Zdecydowała nie robić z tego problemu. Chociaż nigdy nie wchodziłem w jej umysł, twarz Toni odzwierciedlała każdą kolejną myśl aż nadto wyraźnie.

- W porządku - rzekła miękko. - To niewarte sprzeczeki.

W sobotę rano nie jadła śniadania. Powiedziano jej, że najlepiej brać na czczo. Kiedy ja już zjadłem, usiedliśmy w kuchni. Jeden z kwadracików bibułki niewinnie leżał pomiędzy nami na stole. Udawaliśmy, że go nie ma. Toni wyglądała trochę jak zwierzątko w pułapce. Nie wiedziałem, czy martwiła się tym, że nie chciałem jej towarzyszyć, czy też niepokoił ją sam pomysł "odjazdu". Nie padło zbyt wiele słów. Toni wypełniła popielniczkę ponurym kopcem na wpół wypalonych papierosów. Od czasu do czasu uśmiechała się nerwowo. Od czasu do czasu brałem ją za rękę i uśmiechałem się zachęcająco. Podczas tej wzruszającej sceny wokół nas kręcili się lokatorzy, z którymi dzieliliśmy kuchnię na tym piętrze hotelu. Najpierw Eloise, smukła czarna dziewczyna. Potem panna Theotokis, pielęgniarka ze szpitala Św. Łukasza, o smutnej, nachmurzonej twarzy. Pan Wong, mały, pulchny, tajemniczy Chińczyk, który zawsze chodził w białym. Aitken, uczelniany kujon z Toledo, jego trupio blady współlokator, Donaldson. Paru z nich skinęło nam głową, ale nikt nie powiedział ani słowa, nawet "dzień dobry". W tym miejscu przyjęło się udawanie, że sąsiedzi są niewidzialni. Stary, dobry, nowojorski zwyczaj. Około wpół do jedenastej Toni powiedziała:

- Przynies mi trochę soku pomarańczowego, dobrze? Wyjąłem z lodówki pojemnik oznaczony moim nazwiskiem i nalałem pełną szklanekę. Mrugając do mnie z szerokim uśmiechem zwinęła bibułkę i z fałszywą brawurą wepchnęła ją do ust. Przełknęła popijając sokiem.

- Ile czasu minie, nim coś poczujesz? - spytałem.

- Około półtorej godziny.

Okazało się, że wystarczy pięćdziesiąt minut. Byliśmy z powrotem w naszym pokoju. Drzwi zamknięte. Słabe, trzeszczące dźwięki Bacha dochodziły z przenośnego gramofonu. Próbowałem czytać. Toni też, ale strony obracały się bardzo wolno. Nagle podniosła oczy i rzekła:

- Zaczynam czuć się trochę zabawnie.

- Jak zabawnie?

- Jak na rauszu. Delikatna senność. Jakieś delikatne klucie w karku.

- Przynieść ci coś? Szklankę wody? Sok?

- Nie, dziękuję. Dobrze się czuję. Naprawdę.

Uśmiech, nieśmiały, lecz prawdziwy. Wyglądała na lekko zaniepokojoną, ale nie bała się. Miała ochotę na tę podróż. Odłożyłem książkę i obserwowałem Toni uważnie. Poczułem przyływ opiekuńczości, prawie żałując, że nie mam okazji tego wykorzystać. Nie życzyłem jej nieudanego "odlotu", chciałem tylko, żeby mnie potrzebowała.

Zdawała mi sprawozdania z rozwoju wypadków. Kwas działał na jej system nerwowy.

Notowałem, póki nie powiedziała, że skrzypienie ołówka ją rozprasza. Ściany wyglądały jak wklęsła powierzchnia bitej śmietany, wady tynku zyskały niezwykłą fakturę i złożoność. Kolory miały nienaturalną ostrość. Światło słoneczne wpadające przez brudne okna rozszczepiało się na wszystkie barwy widma, rozsiewając ich okruchy po podłodze. Muzyka (przygotowałem koło gramofonu zestaw ulubionych płyt Toni) docierała do niej z nową intensywnością. Trudno jej było uchwycić linię melodyczną - odnosiła wrażenie, że talerz zatrzymuje się co chwila. Za to sam dźwięk miał jakąś nieopisywalną gęstość. To ją fascynowało. Słyszała też dziwny świst - jak gdyby odgłos powietrza muskającego jej policzki. Mówiła o przemożnym poczuciu obcości. "Jestem na jakiejś innej planecie" - powtórzyła dwa razy. Wyglądała na wzruszoną, podnieconą i szczęśliwą. Wspominałem straszne historie o wywołanych kwasem upadkach w otchłanie piekieł, bolesnych

doświadczeniach umęczonych włóczęgów, z lubością opisywanych przez pilnych, anonimowych reporterów "Time'a" lub "Life'u". A wszystko ku uciesze tłumów. Prawie płakałem z ulgi, widząc, że moja Toni przetrwa tę podróż bez szwanku. Obawiałem się najgorszego, ale ona dawała sobie radę. Oczy miała przymknięte, twarz triumfującą i pogodną, oddech głęboki i spokojny. Moja Toni zagubiła się gdzieś w tajemniczych królestwach transcendencji. Prawie się już nie odzywała, ledwie co kilka minut przerywając ciszę, by niewyraźnie wymruczeć coś bezsensownego. Od chwili gdy doniosła o swoich pierwszych odczuciach, minęło mniej więcej pół godziny. Razem z głębią jej oddalenia rosła moja miłość. Odporność na kwas, oczywisty dowód silnej osobowości, zachwycała mnie. Podziwiam silne kobiety. Planowałem już mój własny "odjazd" na niedzielę. Dobierałem tło muzyczne, próbując wyobrazić sobie interesujące deformacje rzeczywistości, jakich doświadczę. Czekałem niemalże na porównanie moich notatek z zapiskami Toni. Było mi wstyd mojego tchórzostwa, które pozbawiło mnie przyjemności przeżywania tego razem z ukochaną. Ale co się dzieje? Co dzieje się z moją głową? Skąd to nagłe uczucie dławienia? Czemu serce tak wali? Skąd suchość w gardle? Ściany uginają się, powietrze jest ciężkie i materialne, moje prawe ramię nagle wydłużyło się co najmniej o trzydzieści centymetrów w stosunku do lewego. Właśnie takie efekty minutę wcześniej opisywała Toni. Czemu to odczuwam? Drzę. Mięśnie ud dygoczą własnym rytmem. Czy to się nazywa "hafem" przez kontakt? Wystarczyło, że byłem tak blisko Toni - czyżby dmuchnęła na mnie cząsteczkami LSD? Czy przez nieuwagę nawdychałem się skażonego powietrza?

- Drogi Dawidzie - powiedział z zadowoleniem mój fotel - jak możesz być tak głupi? Przecież to oczywiste, że odbierasz te zjawiska prosto z jej mózgu.

Oczywiste? Czy to takie oczywiste? Rozważam tę możliwość. Czyżbym odczytywał myśli Toni nieświadomie? Najwyraźniej tak. Dawniej sprawne dostrojenie się do czyjegoś umysłu wymagało ode mnie nieco (niezbyt wiele) wysiłku. Ale kwas wzmocnił chyba sygnały Toni i chcąc nie chcąc

odbierałem je. Czy mogło być inne wyjaśnienie? Działała jak radio, nadając swoją audycję, a ja w jakiś sposób wszedłem na jej częstotliwość, pomimo wszelkich szlachetnych deklaracji o poszanowaniu jej prywatności. I teraz dziwna substancja kwasu przewyciężyła odległość między nami, infekując także i mnie.

Czy powinienem wycofać się z jej mózgu?

Działanie kwasu wytrąca mnie z równowagi. Spoglądam na Toni, a ona przeobraża się na moich oczach. Małe czarne znamię na jej policzku, blisko kącika ust rozbłyskuje wirem jaskrawych kolorów - czerwień, błękit, fiolet, zieleń. Jej wargi są zbyt pełne, usta zbyt szerokie. I te wszystkie zęby. Nie kończące się rzędy zębów, jak u rekina. Czemu nigdy wcześniej nie dostrzegłem tej drapieżnej jamy ustnej? Toni przeraża mnie. Jej szyja wydłuża się, ciało skraca się i zapada w głąb. Piersi skaczą jak niezmordowane koty pod tak dobrze mi znanym czerwonym swetrem. Zresztą on też przybrał złowieszczy i niesamowity purpurowy odcień. Chcąc uciec spojrzałem w okno. Przez brudne szyby biegnie drobny ścieg pęknięć, których nigdy wcześniej nie zauważyłem. Za moment z pewnością nastąpi implozja i okno obsypie nas ognistym deszczem szklanych odłamków.

Budynek po drugiej stronie ulicy przykucnął w nienaturalny sposób. W zmienionych formach czai się groźba. Nawet sufit mnie atakuje. Nad głową słyszę stłumione walenie w bęben. Odgłosy kroków mojego sąsiada - tłumaczę sobie - i już widzę kanibali przygotowujących obiad. Czy na tym polega "odjazd"? Czy to właśnie robi nasza młodzież, ochoczo i radośnie, dla rozrywki? Muszę się wyłączyć, bo inaczej całkiem oszaleję. Chcę wyjść. Cóż, łatwo powiedzieć. Mam swoje sposoby powstrzymywania sygnałów, blokowania napływu informacji. Ale tym razem wszystko wysiadło. Wobec siły kwasu jestem bezradny. Próbuję zamknąć się przed nieznanymi, przykrymi wrażeniami, ale one wchodzą we mnie bez przeszkód. Jestem szeroko otwarty na wszystko, co emanuje z Toni. Zostałem schwytyany. Wchodzę coraz głębiej. To jest "odjazd". Zły "odjazd". Fatalny "odjazd". Jakie to dziwne - Toni dobrze się bawiła. Tak to przynajmniej

wyglądało dla postronnego obserwatora. Więc dlaczego ja, przypadkowy autostopowicz, tak źle to znoszę?

Spływa we mnie wszystko, co wypełnia umysł Toni. Oglądanie czyjejś duszy to dla mnie nie nowina, ale ten transfer przekracza moje dotychczasowe doświadczenie. Modulowana narkotykiem informacja nadchodzi ku mnie upiornie wykoślawiona. Przymuszony oglądać wnętrze Toni, uczestniczę w jakimś święcie demonów. Czy to możliwe, żeby było w niej tyle mroku? Wcześniej niczego podobnego nie dostrzegłem. Tak jakby kwas odsłonił pewien poziom koszmaru, przedtem niedostępny. Paraduje przede mną jej przeszłość. Krzykliwe obrazy skąpane w dzikim świetle. Kochankowie, kopulacje, obrzydliwości. Rwący strumień krwi miesięcznej, a może ta purpurowa rzeka jest czymś znacznie bardziej złowieszczy? Widać grudki bólu. Co to jest? Okrucieństwo wobec innych, wobec siebie? Spójrzcie, jak ona oddaje się tej armii monstrualnych mężczyzn! Przesuwają się mechanicznie potworny legion. Ich sztywne członki rozsiewają czerwone światło. Zanurzają się w nią jeden po drugim i widzę, jak z jej ud tryska światło, gdy w nią wchodzi. Ich twarze to maski. Nie znam żadnego z nich. Ale czemu nie ma mnie w tym szeregu? Gdzie jestem? Gdzie ja jestem? Och, tam! Z boku, nieważny, nic nie znaczący. Czy ta rzecz, to ja? Naprawdę, ona tak mnie widzi? Włochaty nietoperz-wampir, zwinięty w kłębek, przykurczony krwiopijca? A może to tylko obraz Dawida Seliga powstały w moim własnym umyśle tańczy teraz pomiędzy nami jak odbicia we fryzjerskich lustrach? Boże, pomóż mi. Może przesyłam do jej mózgu mój własny stan ducha, potem z powrotem go odczytuję i jeszcze winię ją za przechowywanie cudzych koszmarów?

Jak przerwać to połączenie? Wstaję. Otumaniony zataczam się na miękkich nogach. Pokój wiruje. Gdzie są drzwi? Klamka ucieka przede mną. Rzucam się w jej kierunku.

- Dawid? - jej głos wibruje w nieskończoność. - Dawid, Dawid, Dawid, Dawid, Dawid, Dawid...

- Trochę świeżego powietrza - mruczę. - Wyjdę tylko na minutę.

Ale to nic nie pomaga. Wstrętne obrazy przechodzą wraz ze mną przez drzwi. Opieram się o spoconą ścianę. Przywieram do tej migotliwej podpory. Chińczyk dryfuje korytarzem jak duch. Daleko, daleko słycać dzwonek telefonu. Drzwi lodówki trzaskają i trzaskają, i jeszcze raz trzaskają. Chińczyk znowu przepływa korytarzem w tym samym kierunku. Klamka od drzwi ucieka. Wszechświat zwija się wokół siebie, zamykając mnie w pętli czasu. Entropia rośnie. Zielona ściana broczy zieloną krwią. Głos podobny do kłującego ostu mówi: "Selig? Źle się czujesz?" To Donaldson. Ten śmieć. Jego twarz to czaszka. Ręka na moim ramieniu ma palce szkieletu. "Jesteś chory?" - pyta mnie. Potrząsam głową. Donaldson pochyla się ku mnie i tylko parę cali dzieli jego puste oczodoły od mojej twarzy. Przez dłuższą chwilę wpatruje się we mnie badawczo.

- Chłopie, ty masz "odjazd"! - mówi. - Mam rację? Słuchaj, jeśli dzieje się coś dziwnego, to zjedź do nas na dół, mamy trochę rzeczy, które ci pomogą.

- Nie, nie ma sprawy.

Wracam do mojego pokoju. Drzwi nagle miękkie i gąbczaste nie chcą się zamknąć. Pcham je obiema rękami, przytrzymując w miejscu tak długo, aż usłyszę trzask zasuwki. Toni siedzi tak, jak ją zostawiłem. Jest zaniepokojona. Jej twarz przypomina monstrualny przedmiot - czysty Picasso. Odwracam się ze wstrętem. - Dawid?

Jej głos jest popękany i szorstki, tak jakby ogarniał dwie oktawy na raz, a pomiędzy najniższym i najwyższym tonem tkwi gruba warstwa waty szklanej. Rozpaczliwie macham rękoma, próbując ją uciszyć, ale Toni mówi dalej, martwi się o mnie, chce wiedzieć, co się dzieje, czemu biegam tam i z powrotem. Każdy dźwięk jest dla mnie torturą. Ciągłe odbieram jej wizje. Ten włochaty nietoperz o długich zębach dalej nosi moją twarz. Patrzy spode łba z kąta jej czaszki. Toni, myślałem, że mnie kochasz. Toni, myślałem, że daję ci szczęście. Padam na kolana na inkrustowany brudem dywan. Ma już chyba milion lat; wypłowiały, cienki, wytarty, kawałek

plejstocenu. Toni podchodzi do mnie zatroskana. Pochyliła się ku mnie. Ona, "na kwasie", dba o dobre samopoczucie swego wstrzemięźliwego kompana, który w tajemniczy sposób też ma "odjazd".

- Nie rozumiem, Dawidzie - szepcze. - Ty płaczesz. Masz całą twarz w plamach. Czy powiedziałam coś złego? Przestań, Dawidzie, proszę. Miałam taki świetny "odjazd"... A teraz... nic nie rozumiem...

Nietoperz. Nietoperz. Rozkłada gumowe skrzydła, obnaża żółte kły. Gryzie. Ssie. Pije.

Wykrztuszam parę słów:

- Ja... też... mam... "odjazd ...

Moja twarz wtłoczona w dywan. Zapach kurzu w suchych nozdrzach. Przez mój mózg pełzną trylobity. W jej mózgu pełza nietoperz. Z korytarza dobiega przenikliwy śmiech. Telefon. Drzwi od lodówki trzask, trzask, trzask! Na górze tańczą kanibale. Sufit uciska moje plecy. Mój głodny mózg rabuje duszę Toni. Ten, kto podgląda, może ujrzeć swoje zmartwienie.

- Wziąłeś tę drugą porcję? - pyta Toni. - Kiedy?

- Nie wziąłem.

- To jak możesz mieć "odjazd"?

Nie odpowiadam. Kurczę się, zwijam w kłębek, obciekam potem, jęczę. To jest zejście prosto w piekło. Huxley mnie ostrzegął. Nie chciałem, żeby Toni brała kwas. Nie chciałem oglądać tego wszystkiego. Teraz rozgromiono moje obronne wojska. Ona ogarnia mnie. Przenika.

Toni mówi: - Czy ty czytasz w moich myślach, Dawidzie?

- Tak - żałosne, ostateczne wyznanie. - Czytam twoje myśli.

- Co ty powiedziałeś?

- Powiedziałem, że czytam w twoim umyśle. Widzę każdą myśl, każde doświadczenie. Widzę siebie, tak jak ty mnie odbierasz. O Chryste, Toni, Toni. To takie okropne!

Szarpie mnie, próbuje mnie podnieść, zmusić, bym na nią spojrział. W końcu wstaje. Jej twarz jest przeraźliwie blada, oczy nieruchome. Żąda wyjaśnień. Co jest z tym czytaniem myśli?

Naprawdę to powiedziałem, czy to wytwór jej umysłu zamroczonego narkotykiem? Naprawdę to powiedziałem, mówię jej. Pytałaś, czy czytam w twoich myślach i powiedziałem, że tak, mówię.

- Nigdy o nic takiego nie pytałam - obruszyła się. - Przecież słyszałam to pytanie.

- Ale ja nie...

Drżymy. Obydwoje. Jej głos jest bezbarwny.

- Chcesz mnie zbić z tropu, Dawidzie? Nie rozumiem. Dlaczego mnie krzywdzisz? Czemu mnie dręczysz? To był dobry "odjazd". Dobry!

- Nie dla mnie.

- Ty niczego nie brałeś.

- To nie ma znaczenia.

Obrzuca mnie wzrokiem świadczącym o kompletnym niezrozumieniu. Zrywa się i z płaczem pada na łóżko. W jej mózgu wśród groteskowych kształtów, narkotycznych wizji wybuchają ostre uczucia: strach, żal, ból, gniew. Myśli; że rozmyślnie ją krzywdzę. Co bym nie powiedział i tak już za późno. Pogardza mną. Jestem dla niej wampirem, pijawką. Wie, na czym polega mój dar.

Między nami otwiera się ostateczna przepaść i już nigdy nie pomyślimy o sobie bez wstydu i złości. Wybiegam z pokoju i korytarzem docieram tam, gdzie mieszkają Aitken i Donaldson.

- Zły "odjazd" - mruczę. - Przepraszam za kłopot, ale...

* * *

Zostałem z nimi przez resztę popołudnia. Dali mi środek uspokajający i delikatnie sprowadzili z wyżyn kwasu na ziemię. Psychodeliczne obrazy docierały do mnie z mózgu Toni jeszcze przez godzinę. Tak jakby łączyła nas nierozzerwalna nić pępowiny. Ale później ku mojej uldze kontakt zaczął się rwać, i nagle z niemal słyszalnym cmoknięciem wszystko ucichło. Rozpłomienione

fantomy nie dręczyły już dłużej mojej duszy. Kolory, wymiary i faktury wróciły do normalnego stanu. I przede wszystkim zniknęła moja bezlitośnie ujawniona podobizna. Kiedy nareszcie zostałem sam w moim mózgu, prawie się rozplakałem, świętując odzyskanie wolności. Ale łzy nie popłynęły. Siedziałem w bezruchu, sącząc Bromo-Seltzer. Czas mijał. Prowadziliśmy z Aitkenem i Donaldsonem cichą, cywilizowaną rozmowę o Bachu, sztuce średniowiecznej, Richardzie Nixonie, narkotykach i wielu innych rzeczach. Ledwo ich znałem, a jednak gotowi byli poświęcić swój czas, by złagodzić ból kogoś obcego. Wreszcie poczułem się trochę lepiej. Przed szóstą, dziękując im wylewnie, udałem się do mego pokoju. Toni nie było. Mieszkanie wydało mi się dziwnie odmienione - z półek zniknęły książki, ze ścian obrazki. Do połowy opróżniona szafa stała otworem. Byłem tak wykończony, że dopiero po paru minutach zorientowałem się, co się wydarzyło. Najpierw sądziłem, że to napad, włamanie, uprowadzenie. Potem uświadomiłem sobie prawdę. Toni się wyprowadziła.

. 11 .

W powietrzu czuć dzisiaj zbliżającą się zimę. Mróz delikatnie szczypie w policzki. Niezdrowe, pokryte plamami niebo zamykają niskie, ciężkie chmury. Wczoraj padało. Deszcz zdierał z drzew pożółkłe liście. Teraz leżą wdeptane w chodnik Szkolnej Promenady. Ich koniuszki szaleńczo dygoczą na ostrym wietrze. Wszędzie pełno kałuż. Sadowiąc się u stóp masywnej zielonej postaci Alma Mater, najpierw rozpostarłem płachty gazet, wybrane fragmenty dzisiejszego wydania "The Columbia Daily Spectator". Kładę je na mokrych i zimnych kamiennych stopniach. Dwadzieścia dziwnych lat temu, będąc głupim, ambitnym studenciakiem marzyłem o karierze dziennikarskiej. Jakie to sprytne - dziennikarz, który czyta w myślach! "Spec" był wtedy ważną częścią mego życia. Teraz zaledwie chroni przed wilgocią mój tyłek.

A więc siedzę. Godziny urzędowania. Na moich kolanach spoczywa gruba tekturowa teczka obwiązana wielką, gumową opaską. Wewnątrz znajduje się pięć starannych maszynopisów

spiętych miedzianymi spinaczami: produkt moich pracowitych tygodni. "Powieści Kafki", "Shaw jako twórca tragedii", "Koncepcja założeń a priori w syntezie", "Odyseusz jako symbol społeczeństwa", "Ajschylos i arystotelesowska koncepcja tragedii". Zużyte akademickie bzdury. Ich gównianą beznadziejność potwierdza zachwycona aprobata tych bystrych młodych ludzi, którzy pozwalają, by stary uniwersytecki wyga przepisywał je dla nich bez końca. Dzisiaj mija termin oddania prac. Być może wezmę też parę nowych zamówień. Za piętnaście jedenasta. Niedługo zjawią się moi klienci. W tym czasie robię przegląd paradujących przechodniów. Studenci pędzą na wykłady, ściskając pod pachami sterty książek. Włosy powiewają na wietrze, piersi podskakują. Wszyscy wyglądają zatrważająco młodo, nawet brodaci. Szczególnie ci brodaci. Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że każdego roku przybywa na świecie młodych ludzi? Ich plemię zawsze się rozrasta, podczas gdy stare przyki spadają z drugiego końca krzywej. Ja też szybko posuwam się w kierunku grobu. Dzisiaj nawet profesorowie wydają mi się młodzi. Wielu ludzi po doktoracie jest młodszych ode mnie o piętnaście lat. Czy to nie straszne? Wyobraźcie sobie dzieciaka urodzonego w 1950 roku, który ma już tytuł doktora. W 1950 goliłem się trzy razy na tydzień, masturbowałem się w każdą środę i sobotę. Byłem gorącym, żydowskim wyrostkiem, wysokim na pięć stóp i dziewięć cali, z ambicjami, smutkami, z dość dużą wiedzą. Byłem kimś. A dzisiejsi doktoranci leżeli wtedy w kołyskach - bezzębne, pokryte śliską mazią płodową noworodki o pomarszczonych twarzyczkach, świeżo wypchnięte z łona. Jak udało im się tak szybko porobić doktoraty? Te niemowlęta wyprzedziły mnie, kiedy wlokłem się wzdłuż szlaku. Rozczulam się nad samym sobą i coraz bardziej nuży mnie moje własne towarzystwo. Chcąc się trochę rozerwać, próbuję zajrzeć w umysły przechodniów, wyciągnąć z nich, co się da. Pobawić się w moją starą grę, jedyną, jaką znam. Selig podglądacz, wampir dusz, rabujący intymność niewinnych ludzi, by zaspokoić swe chłodne serce. Ale nic z tego. Dzisiaj mam w głowie pełno waty. Docierają do mnie tylko stłumione pomruki bez słoty, bez treści. Żadnych błysków

osobowości, żadnych wizji jądra duszy. To jeden ze złych dni. Wszystkie informacje zmieniają się w identyczne, niezrozumiałe dźwięki. Entropia triumfuje. Przypomina mi to panią Moor z książki Forstera. Szukała objawień w echach jaskiń Marabar, ale jedyną odpowiedzią był jednakowy, monotonny hałas, zawsze ten sam, bezkształtny, pochłaniający wszystkie inne dźwięki huk: Bumm. Suma i esencja najwspanialszych dążeń ludzkiego rodzaju: Bumm. Umysły błyskające wokół mnie na Szkolnej Promenadzie przesyłają mi za ledwie: Bumm. Być może tylko na to zasługuję. Miłość, strach, wiara, grubiaństwo, głód, samozadowolenie - wszystkie rodzaje wewnętrznego monologu, cały ten gwar dochodzi do mnie jednym wielkim: Bumm. Muszę popracować nad ulepszeniem odbioru. Jeszcze nie jest zbyt późno, by wypowiedzieć wojnę entropii. Stopniowo pocąc się, walcząc, wydrapując konkrety poszerzam pole, przywracam moją percepcję do życia. Tak. Tak. Wracaj do życia. Wstawaj, ty żałosny szpiclu. Oddaj mi moją własność. Moc kotłuje się w moim wnętrzu. Bełkot nieco się uspokaja. Odnajduję drobne strzępy oderwanych, lecz sensownych myśli. "Neurotyczka, ale jeszcze nie całkiem psychiczna. Muszę zobaczyć się z szefem wydziału i powiedzieć mu, żeby to poparł. Bilety do opery, ale ja muszę. Pieprzenie to frajda, pieprzenie jest bardzo przyjemne, ale istnieje jeszcze coś więcej. To tak jakbym stał na wysokiej trampolinie tuż przed skokiem." To szkicowe, chaotyczne trajkotanie nie mówi mi nic prócz tego, że moja moc jeszcze nie całkiem umarła i to mnie zadowala. Wyobrażam sobie ją jako coś w rodzaju robaka owiniętego wokół mego mózgu, biednego zmęczonego robaka, pomarszczonego, skurczonego. Jego błyszcząca niegdyś skóra, teraz pełna wrzodów, pokryta jest włóchatymi, łuszczącymi się plamami. Ten obraz wymyśliłem całkiem niedawno, ale nawet wcześniej, w szczęśliwszych czasach, traktowałem moc jako rzecz odrębną, jako intruza, mieszkańca mego mózgu. On i ja. On i ja. Dyskutowałem o tym z Nyquistem. (Czy on też wpadł w podobne tarapaty? Może nie. Ktoś, kogo kiedyś znałem, niejaki Tom Nyquist, mój dawny przyjaciel. Miał podobnego gościa we wnętrzu swej czaszki.) Nyquistowi nie podobały się moje poglądy. "Chłopie, to czysta

schizofrenia, zakładanie takiej dwoistości. Twoja moc to ty. Ty jesteś swoją mocą. Dlaczego próbujesz wyalienować się z własnego mózgu?" Prawdopodobnie miał rację, ale teraz i tak jest o wiele za późno. Moc i ja - to się już nie zmieni, póki śmierć nas nie rozłączy.

A oto mój klient, byczkowaty skrzydłowy, Paul F. Bruno. Twarz ma obrzmiałą i czerwoną, nie uśmiecha się. Sobotnie bohaterstwo kosztowało go chyba parę zębów. Ściągam gumową opaskę i wręczam mu "Powieści Kafki".

- Sześć stron - mówię. Wcześniej dał mi dziesięć dolarów zaliczki. - Jesteś mi winien jeszcze jedenaście dolców. Chcesz najpierw przeczytać?

- Jest to przynajmniej dobre?

- Nie będziesz żałował.

- Trzymam cię za słowo.

Zdobywa się na bolesny, skrzywiony uśmiech. Wyciąga gruby portfel i kładzie mi na dłoni zielone papierki. Wślizguję się szybko w jego umysł, tylko po to, by sprawdzić, czy moja moc znów działa. Szybka psychiczna wędka - łowię tuż przy powierzchni: zęby wybite podczas meczu futbolowego, słodka zemsta w sobotnią noc w siedzibie bractwa, ważne plany zdobycia jakiejś dziewczyny po meczu w następny weekend. W odniesieniu do obecnej transakcji wyczuwa winę, zakłopotanie, nawet trochę złości. Cóż, typowa wdzięczność goja. Chowam pieniądze do kieszeni. Chłopak obdarza mnie krótkim skinieniem głowy i wpycha "Powieści Kafki" pod potężne ramię. Zawstydzony pośpiesznie zbiega ze schodków, idąc w kierunku Hali Hamiltona. Jego masywne plecy oddalają się. Znad College'u Hudsona podnosi się nagły złośliwy podmuch zachodniego wiatru i przenika mnie do szpiku kości.

Bruno zatrzymał się przy zegarze słonecznym zaczepiony przez smukłego, czarnego studenta o wzroście prawie siedmiu stóp. Z pewnością to jakiś koszykarz. Czarny ma na sobie błękitną kurtkę uniwersyteckiej reprezentacji, zielone tenisówki i obcisłe, żółte, rurowate spodnie. Same jego nogi

mają chyba pięć stóp. Rozmawiają przez chwilę. Bruno wskazuje na mnie palcem. Czarny potakująco kiwa głową. Najwyraźniej szykuje mi się nowy klient. Bruno znika, a jego znajomy truchtem biegnie przez chodnik i po stopniach w górę. Jest bardzo ciemny. Jego skóra ma prawie purpurowy odcień, ale rysy odznaczają się kaukaską ostrością - wystające kości policzkowe, dumny orli nos, cienkie zacięte wargi. Jest niesłychanie przystojny, wygląda jak chodzący posąg, idol. Być może w ogóle nie ma murzyńskich genów. To jakiś Etiopczyk albo współziomek twórców egipskich papirusów. Mimo to dźwiga czarną jak noc masę włosów skręconych w ogromne, wojownicze afro, mniej więcej na stopę szerokie, wykwinicie ścieniowane. Nie zdziwiłyby mnie wcale pocięte policzki albo nozdrza przekute kością. Kiedy się zbliża, mój lekko uchylony mózg łapie ogólną zewnętrzną aurę jego osobowości. Wszystko można przewidzieć. Według szablonu. Przypuszczałem, że jest drażliwy, buńczuczny, podejrzliwy, wrogi, i właśnie nadchodzi ku mnie taki miszmasz: przemożne fizyczne samozadowolenie, chorobliwa duma rasowa, napady podejrzliwości w stosunku do innych, szczególnie białych. W porządku, znany schemat. Na chwilę wyjrzało zza chmur słońce i padł na mnie wydłużony cień. Czarny kołysał się leciutko na piętach.

- To ty nazywasz się Selig? - pyta.

Potakuję.

- Yahya Lumumba - mówi.

- Przepraszam?

- Yahya Lumumba. - Z jego oczu (błyszcząca biel skonstrastowana z błyszcząca purpurą) bije furia. Z niecierpliwego tonu wnioskuję, że podał mi swoje imię albo przynajmniej pseudonim, którego używa. Jego głos sugeruje też, że jest to imię, które zna każdy mieszkaniec kampusu. No tak, ale co ja wiem o uniwersyteckich gwiazdach koszykówki. Mógłby i pięćdziesiąt razy trafić podczas gry do kosza, a ja i tak nigdy bym o nim nie usłyszał.

- Słyszałem, że piszesz prace zaliczeniowe, człowieku - mówi.

- To prawda.

- Masz dobre rekomendacje od mojego kumpla Bruna. Ile bierzesz?

- Trzy i pół dolara za stronę. W maszynopisie, podwójny odstęp.

Rozważa sprawę. Potem pokazuje sporo zębów i mówi:

- Co to za pieprzone naciąganie?

- W ten sposób zarabiam na życie, panie Lumumba. Nienawidzę samego siebie za to płazie, tchórzliwe "pan". - To daje około dwudziestu dolarów za przeciętną pracę. Uczciwa robota wymaga dużo czasu, prawda?

- Dobra, dobra - wypracowane wzruszenie ramion. Okay, nie będę się z tobą kłócił, człowieku.

Jestem w potrzebie. Wiesz coś o Europydesie?

- Eurypidesie?

- No, przecież mówię. - Znęca się nade mną tym Europydesem, używając murzyńskiego dialektu z przesadnym manieryzmem. - Taki grecki kocur, który pisał sztuki.

- Wiem, o kogo chodzi. Jaki jest temat pańskiej pracy, panie Lumumba?

Wyciąga strzępy notesu z kieszeni na piersi i odstawia scenę żmudnych poszukiwań.

- Nasz profesorek pragnie, żebyśmy porównali wątek Elektry u Europydesa, Sofoklesa i Ejsk...

Ajsk...

- Ajschylosa?

- Dobra, u niego. Od pięciu do dziesięciu stron. Ma być gotowe na dziesiątego listopada. Możesz to połączyć?

- Sądzę, że tak - mówię, sięgając po pióro. - Nie powinno być żadnych kłopotów. Tym bardziej że u mnie w fiszkach figuruje moja własna praca, rocznik 52, na ten sam odwieczny, człowieczy temat.

- Potrzebuję trochę informacji o tobie do nagłówka - dokładnie przeliterowane imię i nazwisko, nazwisko profesora, numer kursu.

Podaje mi swoje dane. Notując otwieram bramy umysłu, by jak zwykle przejrzeć jego wnętrze i ustalić rodzaj języka odpowiadający typowi osobowości. Czy będę w stanie spreparować esej, który sugerowałby autorstwo Lumumby? Byłoby interesującym technicznym sprawdzianem pisanie w żargonie czarnych szpanerów, gdzie wszystko jest chłodne, efekciarskie i wstrętne, a każda linijka śmieje się prosto w tłustą, białą gębę profesora. Myślę, że dałbym radę. Ale czy o to chodzi Lumumbie? Czy nie pomyśli, że przejmując murzyński slang szydę z niego, że naśladuję go tak, jak on, być może, naśladuje profesora? Muszę znać odpowiedź. Wpuszczam moje węzowe macki poprzez wełnisty skalp prosto w szarą galaretę. Do diabła, wielki, czarny człowieku. Już w pierwszym momencie odbieram intensywniejszą wersję osobowości, której ogólny obraz Lumumba bezustannie emituje - nadmierna duma rasowa, brak zaufania do białych, zachwyty nad własnym smukłym, długonogim i muskularnym ciałem. Ale to zaledwie płytkie poglądy - standardowe wyposażenie jego mózgu. Jeszcze nie dotarłem do poziomu konkretnych myśli. Nie przedostałem się do właściwego Yahyi Lumumby, niepowtarzalnej jednostki, której styl muszę sobie przyswoić. Wchodzę głębiej. Odczuwam nagły wzrost temperatury psychicznej, napływ ciepła, jak górnik, który pięć mil pod ziemią ryje tunel ku ogniom magmy ukrytej w jądrze ziemi. Wnętrze tego człowieka bezustannie wrze. Odblask wzburzonej duszy sugeruje ostrożność, ale ponieważ nie uzyskałem jeszcze niezbędnych danych, idę dalej, aż nagły strumień stopionej lawy jego świadomości uderza we mnie ze straszliwą siłą.

"Pieprzone żydowskie jajogłowe gówno Boże jak ja nienawidzę tej małej łysej mamuśki naciąga mnie trzy pięćdziesiąt za stronę powinienem go wyżydzić wybić mu zębole krwiopijca wyzyskiwacz od Żyda by tyle nie wziął założę się specjalna cena dla czarnuchów na pewno już ja go użydę to dobre użydzić go na cacy powinienem wybić mu zęby chwycić go za gardło i wcisnąć

gębą w śmieci a co gdybym sam napisał ten pierdolony esej pokazał mu ale cholera nie dam rady to cały pieprzony kłopot o matko nie dam rady. Europydes Sofokles Ejskilus kto do cholery coś o nich wie zresztą mam inne sprawy na głowie ten mecz z Rudgersami w hali jeden na jednego podaj piłkę ty durny palancie to jest to to jest coś dla Lumumby i patrzajcie narody faulowali go jak strzelał ale teraz dochodzi do linii wielki godny zaufania rozluźniony siedem stóp dziesięć cali wzrostu zdobywca wszystkich rekordów uniwersyteckich kozłuje piłką raz dwa łapie strzał! Lumumba ma dzisiaj znów swój wielki dzień ludzie Europydes Sofokles Ejskilus po co do cholery miałbym coś o nim wiedzieć czy pisać co dobrego mogą przynieść czarnemu te stare greckie pierdoły na co mogą się przydać w życiu czarnego przydać przydać przydać nie mnie chyba tylko Żydom cholera co oni mogą wiedzieć czterysta lat niewolnictwa my mamy w głowach co innego mam mu zapłacić dwadzieścia dolców bo nie jestem wystarczająco dobry by sam to napisać kto powiedział że muszę co to da dlaczego dlaczego dlaczego..."

Ryczący piec martenowski. Gorąco zwala z nóg. Już wcześniej spotykałem gwałtowne umysły, o wiele groźniejsze niż ten, ale byłem wtedy młodszy, silniejszy i bardziej wytrzymały. Nie mogę poradzić sobie z tą erupcją. Jego obrzydzenie skierowane w moją stronę potęguje jeszcze pogarda dla samego siebie - w końcu to on potrzebuje mojej pomocy. Stoi jak słup nienawiści. Moja biedna, osłabiona moc nie może tego znieść. Działa coś w rodzaju automatycznych bezpieczników chroniących mnie przed przeładowaniem - psychiczne receptory wyłączają się. To zupełnie nowe doświadczenie, i bardzo dziwne - zrzucanie nadmiernego ładunku, tak jakby odpadały części ciała, uszy, jądra i cała reszta, nie zostawiając nic prócz nagiego torsu.

Moje ssawki zanikają, umysł Yahyi Lumumby wymyka się i nie mam już do niego dostępu.

Chcąc nie chcąc znajduję się w pozycji odwrotnej; oddalam się od jego wnętrza, czując już tylko powierzchniowe emanacje, a potem nawet i one gasną. Pozostaje szara, strzępiasta wydzielina oznaczająca obecność Lumumby. Różnice zacierają się, wszystko ogarnia mgła. Bumm. Znowu

wróciliśmy do punktu wyjścia. Dzwoni mi w uszach, to artefakt nagłej ciszy, głośniejszy jak piorun.

Nowe stadium mojego upadku. Nigdy jeszcze mój uścisk nie okazał się tak słaby, nigdy nie ześlizgnąłem się tak nagle z czyjegoś umysłu. Podnoszę wzrok, oszołomiony, rozdygotany - cienkie wargi Lumumby są ciasno zaciśnięte. Gapi się na mnie z niesmakiem, nie mając pojęcia o tym, co się właśnie wydarzyło.

- Chciałbym dziesięć dolarów zaliczki, resztę dopłaci pan, jak dostarczę pracę. - Mój głos brzmi słabo. Czarny informuje mnie chłodno, że nie może dać mi dzisiaj pieniędzy. Najbliższego czeku ze stypendium spodziewa się na początku przyszłego miesiąca. Mówi, że muszę zrobić to na wiarę. Albo bierzesz, człowieku, albo nie.

- A może wyłuskasz piąta? - pytam. - Jako zaliczkę. Sama wiara nie wystarczy. Mam jeszcze wydatki.

Wlepia we mnie wzrok. Wyprostowuje się na całą wysokość. Wygląda, jakby miał dziewięć lub dziesięć stóp wzrostu. Bez słowa wyciąga z portfela pięciodolarowy banknot, gniecie go i w pogardzie ciska mi na kolana.

- Masz tu być 9 listopada rano.

Spoglądam za nim, kiedy kroczy wyniośle. Europydęs, Sofokles, Ejskilus. Siedzę w oszołomieniu, drżący, nadsłuchując dzwonów ciszy. Bumm. Bumm. Bumm.

. 12 .

W dniach przepojonych klimatem dostojewszczyzny Dawid Selig lubił myśleć o swojej mocy jak o przekleństwie, potwornej karze za jakiś niewyobrażalny grzech. Coś w rodzaju znamienia Kaina. Ten wyjątkowy dar przysporzył mu z pewnością masy kłopotów, ale gdy wracał mu wreszcie zdrowy rozsądek, wiedział, że nazywanie mocy przekleństwem było czystą (choć wygodną) melodramatyczną bzdurą. Był to naprawdę boski dar. Doprowadzał go do ekstazy. Bez mocy był niczym głupek - z nią stawał się bogiem. Czy tak wygląda przekleństwo? I czy to było takie

straszne? Jest coś zabawnego w spotkaniu dwóch gamet - w tym momencie przeznaczenie woła: "Słuchaj, synu Seligów! Bądź bogiem!" Czy tego chcielibyście uniknąć? Podobno w wieku mniej więcej osiemdziesięciu ośmiu lat Sofokles wyraził swoje zadowolenie z tego, że żyje dłużej niż jego fizyczne namiętności. "Wreszcie uwolniłem się od tyrana" - mówił mądry i szczęśliwy Grek. Czy możemy jednak wnioskować, że gdyby Zeus pozwolił mu żyć jeszcze raz i samemu wybierać swój los, optowałby za wieczną impotencją? Nie oszukuj się, Dawidku. Nieważne, jak bardzo telepatia spieprzyła twoje życie (a spieprzyła je całkiem nieźle). Bez niej nie wytrzymałbyś nawet minuty. Ponieważ moc obdarowuje najwyższym uniesieniem.

Moc obdarowuje rozkoszą. Oto cały wywód w jednym; krótkim zdaniu. Śmiertelnicy rodzą się w dolinie łez i szukają wyjścia na wszystkie możliwe sposoby. Niektórzy w pogoni za przyjemnością zmuszeni są zwrócić się w stronę narkotyków, seksu, pijaństwa, telewizji, filmów, kart, gry na giełdzie lub na wyścigach, ruletki, bicza i łańcuchów, kolekcjonowania pierwszych edycji, karaibskich podróży, chińskich buteleczek z pachnidłami, poezji staroangielskiej, gumowych kombinezonów, zawodowego futbolu, czegokolwiek. Ale nie on, nie przeklęty Dawid Selig. Wszystko, co musiał robić, to usiąść gdzieś spokojnie, otworzyć jak najszerszej swoje receptory i wchłaniać fale myśli przynoszone przez telepatyczny wiatr. Bez żadnego wysiłku przewędrował setki życiowych dróg. Zappełniał swój skarbiec łupem z tysiąca dusz. Ekstaza. Oczywiście, czas ekstazy już minął.

Najlepszy pod tym względem był okres między czternastym a dwudziestym piątym rokiem życia. Wcześniej był jeszcze zbyt naiwny i nieufarmowany, żeby docenić informacje, które pochłaniał. Później, postępujące zgorzknienie, cierpki smak samotności, zniszczyły w nim zdolność do radosnych odczuć. Ale między piętnastym a dwudziestym piątym rokiem życia - ach!

Wszystko było wtedy bardziej wyraziste. Życie biegło jak sen na jawie. W świecie Dawida nie było murów - mógł pójść wszędzie, zobaczyć wszystko. Ostry smak istnienia. Nurzał się w

obfitych falach ponadzmysłowych doznań. Dopiero po czterdziestce uświadomił sobie, jak bardzo w czasie tych lat zmalała ostrość i zasięg jego widzenia. Moc zaczęła dostrzegalnie słabnąć dopiero koło trzydziestki, ale prawdopodobnie działa się już tak od dłuższego czasu, przez cały okres dojrzałości Dawida. Jego zdolności zanikały tak powoli, że długo trwał w nieświadomości. Zmiana miała charakter nieodwracalny - raczej jakościowy niż ilościowy. Teraz nawet w dobre dni sygnały nie osiągały już tej intensywności, którą pamiętał z młodych lat. W tych odległych czasach moc przynosiła mu nie tylko urywki wewnętrznego dialogu, pomieszane strzępki duszy, lecz także rozjarzony wszechświat barw, faktur i zapachów; świat odbierany przez nieskończoną liczbę obcych zmysłów. Świat uwięziony i odtwarzany ponownie na szklanym, przejrzystym, sferycznym ekranie w mózgu Dawida.

* * *

Na przykład. Leży w kłującym snopku sierpniowego siana, w ciepłym, brueghelowskim krajobrazie. Jest rok 1950 i Dawid trwa w zawieszeniu pomiędzy piętnastymi a szesnastymi urodzinami. Przed chwilą minęło południe. Jakieś dźwięki - sam mistrz Beethoven - VI Symfonia dyskretnie paruje banieczkami słodkich fletów i rozbawionych pikulin. Słońce tańczy po bezchmurnym niebie. Lekki wiatr czesze wierzby rosnące na skraju pola. Drżą młode kolby kukurydzy. Szemrze strumyk. Wysoko leci szpak.

Słyszy cykady. Słyszy buczenie komara i patrzy ze spokojem, jak owad cichnie na jego nagiej, bezwłosej, lśniącej od potu piersi. Jego stopy są bose. Ma na sobie tylko obcisłe, wyblakłe dżinsy. Miejski chłopak na wsi.

Farma mieści się w Catskills, dwanaście mil na północ od Ellenville. Należy do Schiele'ów, ponurego plemienia Teutonów, produkujących jaja i różne rodzaje warzyw, którzy każdego lata uzupełniają swoje dochody, wynajmując letni domek jakiejś rodzinie miejskich Żydów tęskniących za wiejskim zaciszem. Tego lata lokatorami są Sam i Aneta Stein z Brooklynu wraz z córką

Barbarą. Steinowie zaprosili na tydzień swoich bliskich przyjaciół, Paula i Martę Selig z synem Dawidem i córką Judytą. (Sam Stein i Paul Selig opracowują plan, zmierzający nieuchronnie do opróżnienia kont i zniszczenia przyjaźni między dwoma rodzinami. Chcą stworzyć spółkę i działać jako hurtownicy części zamiennych do telewizorów. Paul Selig zawsze wchodzi w niemądre interesy.) Dzisiaj mija trzeci dzień wizyty i tego popołudnia Dawid w tajemniczy sposób został sam. Jego ojciec wybrał się z Samem Steinem na całodzienną wędrowkę. W beztróskiej ciszy okolicznych wzgórz będą omawiać szczegóły wspólnego przedsięwzięcia. Ich żony, razem z pięcioletnią Judytą, pojechały spenetrować sklep z antykami w Ellensville. W domu nie pozostał nikt prócz Schiele'ów o zaciśniętych wargach, krzątających się ponuro wokół swoich nie kończących się obowiązków. Jest też szesnastoletnia Barbara Stein, szkolna koleżanka Dawida. Chodzi razem z nim już od trzeciej klasy. Chcąc nie chcąc Dawid i Barbara zmuszeni są razem spędzić dzień. Steinowie i Seligowie żywią nieśmiałą nadzieję, że między ich pociechami rozwinię się romans. Ale to bardzo naiwne. Barbara, dorodna i naprawdę piękna, ciemnowłosa, długonoga dziewczyna o gładkiej skórze i wyszukanych manierach jest tylko o sześć miesięcy starsza, ale w rozwoju społecznym wyprzedza go o cztery lata. Nie można powiedzieć, że go nie lubi - raczej uważa go za dziwne, kłopotliwe, obce i odpychające stworzenie. Nie wie o jego wyjątkowym darze - nikt nie wie, dobrze o to zadbał - ale obserwuje go z bliska od siedmiu lat i czuje, że jest w nim coś podejrzanego. Barbara to przeciętna dziewczyna, której przeznaczeniem jest wczesne małżeństwo (z lekarzem, prawnikiem, pracownikiem firmy ubezpieczeniowej) i mnóstwo dzieciaków. Szanse na romans pomiędzy nią a kimś o tak dziwnej i ciemnej duszy jak Dawid są bardzo nikłe. Chłopak świetnie zdaje sobie z tego sprawę i nie jest bynajmniej zaskoczony czy zdziwiony, kiedy późnym rankiem dziewczyna znika.

- Jeśli ktoś by pytał - mówi - powiedz, że poszłam powłóczyć się po lesie.

Niesie kieszonkowe wydanie antologii poezji, ale nie oszuka tym Dawida. Wie, że Barbara

korzysta z każdej okazji, by połączyć się z dziewiętnastoletnim Hansem Schiele.

Tak więc pozostawiono go własnemu losowi. Nie szkodzi. Zna sposoby, żeby się zabawić. Przez chwilę łązi po farmie, gapiąc się na kurnik i kombajn, wreszcie opada na trawę w cichym zakątku na brzegu pola. Czas na gry umysłowe. Leniwie zarzuca swoją sieć. Moc budzi się i wylatuje, szukając jakiejś emanacji. Co znajdzie? Co znajdzie? O, jest jakiś kontakt. Głodny mózg Dawida złapał w sidła czyjś umysł - mały, brzęczący, niewyraźny, ciasny. To pszczoła. Dawid nie ogranicza się do kontaktów z ludźmi. Rzecz jasna, pszczoła nie wysyła słownych czy też myślowych sygnałów. Jeżeli nawet myśli, to chłopiec nie potrafi tego odczytać. Ale może dostać się do głowy owada. Intensywnie odczuwa, jak to jest: być takim małym skrzydlatym, zwartym i wibrującym. Jakże s u c h y jest wszechświat pszczół - bezkrwisty, odwodniony, jałowy. Dawid wzbija się w górę. Opada. Omija nadlatującego ptaka, ogromnego jak skrzydlaty słoń. Zanurza się głęboko w sztywny, obsypany pyłkiem pąk. Znow ulatuje w górę. Ogląda świat siatkowatymi oczami pszczoły. Pejzaż pęka na tysiąc kawałków, tak jakby patrzył przez strzaskane szkło. Podstawowym kolorem jest szarość, ale na krawędziach przedmiotów czają się dziwne poblaski - peryferyjne błękity i czerwienie, które w żaden sposób nie odpowiadają kolorom, jakie zna. Rezultat, jak mógłby powiedzieć dwadzieścia lat później, przypomina narkotyczne wizje. Niemniej, umysł pszczoły jest bardzo ograniczony i Dawid szybko się nudzi. Nagle opuszcza owada i kieruje swoje macki w stronę stodoły. Wpada w duszę kury. Ptak właśnie składa jajko. Rytmiczne wewnętrzne skurcze, przyjemne i bolesne zarazem. Jakby uwalniała się od ogromnej kupy. Szaleńcze gdakanie, słodkawy odór kurnika, ostry i gryzący. Niejasne odczucie, że wokół jest zbyt wiele słomy. Dla tego ptaka świat jest ciemny i monotony. J u ż, j u ż. Oooch!

Rozkoszne podniecenie! Jajko wyslizguje się z ciała i bezpiecznie ląduje w słomie. Kura cichnie, zaspokojona, wyczerpana. Dawid opuszcza ją w tym wzniosłym momencie. Przedziera się w głąb pobliskiego lasu, znajduje umysł człowieka, wchodzi do wnętrza. O ile bogatsze i bardziej

intensywnie jest zjednoczenie z przedstawicielem własnego gatunku. Osobowość chłopca miesza się z tą cudzą jaźnią, której właścicielką okazuje się Barbara Stein, leżąca w ramionach Hansa Schiele. Naga, spoczywa na dywanie zeszłorocznych liści. Rozłożyła nogi, zamknęła oczy. Jej skóra jest mokra od potu. Palce Hansa wbijają się w miękkie ciało jej ramion, a jego szorstki od jasnego zarostu policzek trze o jej twarz. Ciało Hansa rozgniata ją swoim ciężarem, spłaszcza piersi, wyciska z płuc powietrze. Wchodzi w nią stałym, jednostajnym ruchem, a kiedy jego długi, sztywny członek wgłębia się powoli i cierpliwie, wibrujące wrażenia rozchodzą się z jej lędźwi coraz szerszymi kręgami, słabnąc w miarę upływu czasu. Poprzez jej mózg Dawid odbiera uderzenia twardego penisa o śliskie wnętrze pochwy. Słyszy przyspieszone bicie serca. Zauważa, że pięty Barbary wbijają się w łydki Hansa. Jest świadom jej własnej wilgoci ciekącej po udach i pośladkach. A teraz odczuwa pierwsze, oszałamiające skurcze orgazmu. Dawid walczy, by pozostać z Barbarą, ale wie, że to niemożliwe. Utrzymanie się w umyśle kogoś przeżywającego takie uniesienie, to jak próba okiełznania najdzikszego konia. Jej miednica dygocze i wznosi się, paznokcie desperacko drapią plecy kochanka, głowa wykręca się w bok. Usiłuje zaczerpnąć powietrza i w momencie wybuchu rozkoszy katapultuje Dawida ze swego rozbuchanego mózgu. Chłopiec odbywa krótką podróż prosto we flegmatyczną duszę Hansa Schiele, który nieświadomie udostępnia dziewiczemu świadkowi informacje na temat: jak to jest, gdy się dmucha taką dziewczynę jak Barbara Stein. Pchnięcie, pchnięcie, pchnięcie, pchnięcie, mięśnie jej wnętrza zaciskają się wokół nabrzmiałego członka i nagle, prawie natychmiast nadchodzą pierwsze ukłucia orgazmu. Dawid, żądny wiedzy, wyęteża wszystkie siły, mając nadzieję utrzymać kontakt z Hansem nawet w tym zamęcie, ale nic z tego. Wylatuje na zewnątrz, kołysze się bezwładnie, świat miga wokół w rozmazanych smugach barw, póki - hop! - nie znajduje nowego sanktuarium. Tutaj wszystko tchnie spokojem. Prześlizguje się przez ciemne, chłodne otoczenie. Nie czuje ciężaru swego ciała - jest smukły, długi i zwinny. Umysł ma niemal pusty, ale biegnie przezeń słaby,

chłodny i drżący strumyk doznań niższego rzędu. Dawid wszedł w świadomość ryby, prawdopodobnie pstrąga. Przesuwa się tuż przy dnie bystrego potoku, upajając się elegancją swoich ruchów i rozkosznym dotykiem czystej i lodowatej wody omywającej płetwy. Niewiele widzi i jeszcze mniej czuje - informacje dochodzą do niego w formie leciutkich uderzeń w łuski, drobnych odchyłeń i zakłóceń. Z łatwością reaguje na każdy sygnał, teraz skręca, by ominąć pazur skały, teraz macha płetwami, by wyszukać szybszy prąd wody. Sytuacja fascynuje go, ale pstrąg jako taki jest nudnym kompanem i Dawid w dwie, najwyżej trzy minuty definiuje istotę "pstrągowości", a potem przy pierwszej okazji gładko przerzuca się w bardziej złożony umysł. Trafia w osobowość starego, sękatego George'a Schiele, ojca Hansa, który pracuje w odległym kącie pola kukurydzy. Dawid nigdy jeszcze nie zaglądał do jego duszy. Stary George, dobrze po sześćdziesiątce, to ponura i surowa postać. Rzadko się odzywa i sztywno, z uporem krząta się przez cały dzień po obejściu, a jego twarz o ciężkich, opadających policzkach jest zawsze ściągnięta lodowatym grymasem. Dawid zastanawia się czasami, czy nie był on zatrudniony w jakimś obozie koncentracyjnym, choć wie, że Schiele'owie przybyli do Ameryki już w 1935. Farmera otacza tak nieprzyjemna aura, że do tej pory Dawid trzymał się od niego z daleka. Ale teraz jest tak znudzony pstrągiem, że wskakuje w Schiele'a, przelatuje przez gęstą warstwę niezrozumiałych niemieckich mamrotów i ląduje na dnie tej farmerskiej duszy, tam, gdzie spoczywa jej sekret. Zdumienie - stary Schiele jest mistykiem, ekstatykiem! Nie ma tu żadnego mroku, żadnej ciemnej, luterańskiej mściwości. To czysty buddyzm. Na szeroko rozstawionych nogach stoi Schiele w żywej glebie swoich pól, opierając się na motyce. I jednoczy się ze wszechświatem. Bóg wypełnia jego duszę. Mężczyzna łączy się w jedno z wszelkimi rzeczami. Niebo, drzewa, ziemia, słońce, rośliny, potok, owady, ptaki - wszystko jest częścią niepodzielnej całości, i Schiele żyje w głębokiej harmonii ze Wszystkim. Jak to możliwe? Jak taki nieprzystępny, bezbarwny człowiek może w głębi duszy cieszyć się tego rodzaju doznaniem? Wczujcie się w jego radość! Zalewa go potok wrażeń! Pieśń

ptaka, światło słońca, zapach kwiatów i skib przewróconej gleby, klekotanie zielonych kolb kukurydzy, łaskotanie potu spływającego po szcerwieniastej, żylastej szyi, ruch planety, wełnisty, niedojrzały zarys księżyca dążącego do pełni - tysiące olśnień spowija tego człowieka. Dawid dzieli jego uniesienie. Klęczy w jego duszy pełen poszanowania i bojaźni. Świat jest potężnym hymnem. Schiele otrząsa się z zadumania, podnosi motykę, opuszcza ją. Napinają się węzłaste mięśnie, metal wchodzi w ziemię i wszystko jest tak, jak być powinno, spełnia się boski plan. Czy to tak wędruje Schiele przez swoje dni? Czy możliwe jest takie szczęście? Dawid ze zdziwieniem czuje, że oczy ma pełne łez. Ten prosty człowiek, ten ograniczony człowiek żyje w łasce.

Owładnięty nagłą, gorzką zazdrością Dawid pochmurnieje. Uwalnia swój umysł, wiruje zdążając w stronę lasu. Zapada znów w Barbarę Stein. Dziewczyna leży lepka od potu, wyczerpana. Przez jej nozdrza Dawid chwytą zapach kwaśniejącego nasienia. Barbara pociera dłońmi ciało, odklejając kawałeczki liści i trawy. Leniwie dotyka wiotczających sutków. Jej umysł pracuje wolno, jest prawie tak pusty, jak mózg pstrąga jakby seks wysał jej osobowość. Dawid przenosi się do głowy Hansa, ale i tu nie dzieje się lepiej. Dysząc ciężko po wysiłku, leży obok Barbary. Jest apatyczny i zniechęcony. Jego energia uleciała i opuściło go pożądanie. Spoglądając sennie na dziewczynę, którą właśnie posiadał, świadom jest głównie zapachu potu i nieładu potarganych włosów. Przez górne piętra jego umysłu przebiega rozmarzona myśl (angielski miesza się z niezdarnym niemieckim) o dziewczynie z pobliskiej farmy, która chętnie zrobi dla niego coś ustami, coś, czego Barbara odmawia. Hans zobaczy się z tamtą w sobotę wieczorem. Biedna Barbara, myśli Dawid i zastanawia się, co powiedziałyby na marzenia Hansa. Chłopak leniwie próbuje połączyć ich mózgi, wstępując do obu naraz w nadziei, że myśli przepłyną pomiędzy nimi, ale źle obliczył rozpiętość swych skrzydeł i po chwili, utrzymując jeszcze ciągle kontakt z Hansem, odnajduje się w duszy starego, pogrążonego w ekstazie Schiele'a. Ojciec i syn, starość i młodość, kapłan i profań. Przez moment Dawid wytrzymuje podwójny kontakt. Drży. Jest porażony świadomością kompletności

Świata.

* * *

Tak to wtedy wyglądało - nie kończąca się podróż, błyskotliwy wojaż. Ale moc usycha. Czas odbiera barwę najlepszym wizjom. Świat szarzeje. Niszczy nas entropia. Wszystko płowieje. Wszystko mija. Wszystko umiera.

. 13 .

Ciemne, nieporządne mieszkanie Judyty wypełniają ostre zapachy. Słyszę, jak moja siostra kręci się po kuchni wrzucając do garnka przyprawy: pikantne chili, oregano, estragon, goździki, czosnek, sproszkowaną musztardę, olej sezamowy, curry, i Bóg wie co jeszcze. Płonie ogień i kociołek bulgocze. Powstaje jej sławetne spaghetti z pikantnym sosem, złożony produkt o tajemniczym pochodzeniu - trochę meksykańskiej inspiracji, fragmenty rodem z Seczuanu i Madrasu, a reszta to pomysły Judyty. Moja nieszczęsna siostrzyczka nie jest typową kurą domową, ale te kilka potraw, które serwuje, przyrządza znakomicie, jej spaghetti zaś celebrytują już na trzech kontynentach. Jestem pewien, że są mężczyźni, którzy idą z nią do łóżka za prawo uczestniczenia w jej posiłkach. Niespodziewanie przyszedłem za wcześnie, pół godziny przed umówionym czasem, i przyłapałem Judytę nieprzygotowaną, nawet nieubraną. Mam więc teraz chwilkę dla siebie, podczas gdy ona pichci obiad.

- Zrób sobie drinka! - krzyczy do mnie. Idę do kredensu i nalewam do szklanki ciemnego rumu, potem z kuchni biorę kostki lodu. Podniecona Judyta, w podomce i opasce na włosach, w szalonym tempie wiruje wokół mnie, z zapartym tchem wybierając przyprawy. Ona wszystko robi z maksymalną szybkością.

- Przyjdę do ciebie za dziesięć minut - łapie oddech, sięgając po młynek do pieprzu. - Czy mały ci przeszkadza?

Myśli o moim siostrzeńcu. Ma na imię Paul na cześć mojego ojca, niech mu ziemia lekka będzie,

ale ona nigdy go tak nie nazywa. Mówi tylko - dzieciak, mały. Ma cztery lata. Dziecko rozwiedzionych rodziców, skazane na taką samą nerwową egzystencję jak jego matka.

- Nie, wcale mi nie przeszkadza - zapewniam ją i wracam do pokoju. Jesteśmy w jednym z tych starych, wielkich mieszkań West Side'u, przestronnym i wysokim. Panuje tu aura pewnej intelektualnej elegancji, głównie dlatego, że w podobnych domach w sąsiedztwie mieszka tak wielu krytyków, poetów, dramaturgów i choreografów. Gigantyczny pokój dzienny z licznymi oknami, które wychodzą na West End Avenue, tradycyjna jadalnia, duża kuchnia, sypialnia pani domu, pokój dziecięcy, służbówka, dwie łazienki. A wszystko dla Judyty i jej dzieciaka. Czynnosc jest kosmiczny, ale Judyta może sobie na to pozwolić. Dostaje dobrze ponad tysiąc dolarów miesięcznie od eks-męża, i sama nieźle zarabia jako wydawca i tłumacz. Oprócz tego ma mały dochód z pakietu akcji zapobiegliwie wybranych dla niej parę lat temu przez kochanka z Wall Street. Zakupiła je za swoją część spadku po naszych rodzicach, którzy zaoszczędzili zdumiewająco dużą sumę. (Mój udział poszedł w całości na spłacenie narosłych długów. Wszystko zniknęło jak śnieg w czerwcu.) Mieszkanie umeblowano trochę w stylu Greenwich Village lat sześćdziesiątych, a trochę na wzór miejskiej elegancji lat siedemdziesiątych - czarne lampy stojące, szare wyplatane krzesła, czerwone kasetony na książki, tanie grafiki i pokryte woskiem butelki Chianti, a obok skórzane kanapy, ceramika Indian Hopi, psychodeliczne sitodruki, stoliczki do kawy o szklanych blatach i gigantyczne donice z kaktusami. Klawesynowa sonata Bacha rozbrzmiewa z głośników wartych chyba z tysiąc dolarów. Hebanowo czarna, błyszcząca jak lustro podłoga lśni pomiędzy puszystymi, grubymi dywanikami. Sarta książek w połamanych papierowych okładkach zapełnia jedną ścianę. Naprzeciwko stoją dwie, surowe, nie otwarte skrzynki - wino świeżo nadesłane z jej winiarni. Moja siostra wie tutaj wygodne życie. Wygodne i załosne.

Dzieciak nieufnie wodzi za mną oczami. Siedzi w odległości dwudziestu stóp, obracając w

rękach jakąś skomplikowaną, plastikową zabawkę, i nieustannie mnie obserwuje. Chłopiec jest ciemny, smukły i czujny jak jego matka. Wyniosły i chłodny. Między nami nie ma miłości - byłem kiedyś w jego głowie i wiem, co o mnie myśli. Dla niego jestem jednym z wielu mężczyzn w życiu jego matki. Prawdziwy wujek niewiele różniący się od niezliczonych zastępczych wujków spędzających tu noce. Przypuszczam, że uważa mnie za jednego z kochanków matki, który po prostu pojawia się częściej niż inni. Zrozumiały błąd. Lecz o ile pozostałych odrzuca, ponieważ konkurują z nim o matczyną miłość, na mnie spogląda chłodno, myśląc, że jestem przyczyną jej bólu. Nie lubi mnie z jej powodu. Jakże przenikliwie rozwikłał budowaną przez lata sieć wzajemnych uprzedzeń i napięć, które kształtują i określają mój związek z Judytą. A więc jestem wrogiem. Zniszczyłby mnie, gdyby mógł.

Sączę drinka, słucham Bacha, nieszczercze uśmiecham się do dziecka, wdycham aromat spaghetti. Moja moc milczy. Nie chcę jej tu używać, zresztą i tak jej potencjał jest dzisiaj bardzo słaby. Po jakimś czasie Judyta wyłania się z kuchni i mignawszy w drzwiach pokoju mówi:

- Chodź, pogadamy, a ja w tym czasie się ubiorę, Daw. Idę za nią do sypialni i siadam na łóżku.

Judyta zabiera ubrania do przyległej łazienki, uchylając drzwi na cal lub dwa. Ostatni raz oglądałem ją nagą, gdy miała siedem lat.

- Cieszę się, że zdecydowałaś się przyjść - mówi.

- Ja też.

- Jesteś jakiś wymizerowany. - Po prostu głodny, Judytko.

- Za pięć minut obiad gotowy.

Słysząc szum wody. Judyta mówi coś jeszcze, ale woda zagłusza jej głos. Leniwie rozglądam się po sypialni. Biała męska koszula, o wiele za duża na Judytę, zwisa niedbale z klamki drzwi od garderoby. Na nocnym stolyczku spoczywają dwie grube książki o wyglądzie podręczników. Taka lektura nie pasuje do Judyty. "Analityczna neuroendokrynologia" i "Studia z fizjologii

termoregulacji". Może proszono ją, by przetłumaczyła je na francuski. Dostrzegam, że są zupełnie nowe, choć jedna z nich została wydana w 1964, a druga w 1969 roku. Obie tego samego autora: K. F. Silvestri, doktor nauk medycznych i doktor filozofii.

- Zapisłaś się ostatnio na medycynę? - pytam.

- Myślisz o tych książkach? To rzeczy Karla.

Karl? To nowe imię. Doktor Karl F. Silvestri. Dotykam lekko jej myśli i wyciągam jego obraz - wysoki, ciężki mężczyzna o spokojnej twarzy, szerokie ramiona, mocny podbródek z dołkiem, falująca grzywa posiwiałych włosów. Zapewne jest koło pięćdziesiątki. Judyta celuje w starszych mężczyzn. Podczas tych krótkich oględzin jej umysł dopowiada resztę. To jej obecny przyjaciel, najnowszy wujek małego. Jest kimś bardzo ważnym w Kolumbijskim Centrum Medycznym. Prawdziwy autorytet w kwestiach ludzkiego ciała. Włączając ciało mojej siostry, jak przypuszczam. Świeżo rozwiedziony po dwudziestu pięciu latach małżeństwa. Uch - ona lubi zaskoczyć ich w chwili słabości. Trzy tygodnie temu poznał ją przez wspólnego znajomego, psychoanalityka. Spotkali się zaledwie trzy lub cztery razy. On jest zawsze zajęty - spotkania komitetu w tym lub tamtym szpitalu, seminaria, konsultacje. Nie tak dawno temu Judyta mówiła mi, że nie ma nikogo i może w ogóle zrezygnuje z mężczyzn. Najwyraźniej jest inaczej. To musi być poważna sprawa, jeśli próbuje czytać jego książki. Dla mnie wyglądają absolutnie niezrozumiale - wszystkie te wykresy, tablice statystyczne, trudna łacińska terminologia. Wychodzi z łazienki ubrana w obcisłe, purpurowe spodnie. W uszach ma kryształowe kolczyki, które dałem jej na dwudzieste dziewiąte urodziny. Podczas moich wizyt Judyta zawsze dodaje jakiś sentymentalny akcent, który by nas jednoczył - dzisiaj są to kolczyki. Teraz, kiedy chodzimy na palcach po ogrodzie, gdzie pogrzebaliśmy dawną nienawiść, nasza przyjaźń przeżywa okres rekonwalescencji. Obejmujemy się w braterskim uścisku. Przyjemny zapach perfum.

- Hej - mówi. - Przepraszam, że zastałem mnie w takim rozgardiaszu.

- To moja wina. Przyszedłem za wcześnie. W każdym razie ty byłaś w porządku.

Prowadzi mnie do living-roomu. Dobrze się trzyma. Jest przystojną kobietą, wysoka i wyjątkowo szczupła, o egzotycznym wyglądzie, z ciemnymi włosami, ciemną cerą, wystającymi kośćmi policzkowymi. Smukły, południowy typ. Sądzę, że jest uznawana za bardzo zmysłową kobietę, chociaż w jej wąskich wargach i czujnych, błyszczących, brązowych oczach czai się okrucieństwo. Ta cecha, narastająca od czasu rozwodu i związanych z nim ciężkich przeżyć, odstręcza ludzi. Miała kochanków na pęczki, na kopy, ale niezbyt wiele miłości. Ty i ja, siostrzyczko, ty i ja. Nieodrodne rodzeństwo.

Przygotowuje stół, a ja przyrządzam jej ulubionego drinka. To co zwykle, pernod z lodem. Dzieciak, dzięki Bogu, już jadł. Nie znoszę siedzieć z nim przy jednym stole. Bawi się swoją plastikową zabawką, od czasu do czasu rzucając mi kwaśne spojrzenie. Trącamy się szklankami z koktajlem. Sceniczny gest. Judyta zdobywa się na chłodny uśmiech. Na zdrowie, mówimy. Na zdrowie.

- Czemu nie przeprowadzisz się z powrotem do śródmieścia? - pyta. - Moglibyśmy się częściej spotykać.

- Tu jest drożej. I czy my chcemy się częściej widywać?

- A czy mamy kogoś prócz siebie?

- Ty masz Karla.

- Nie mam ani jego, ani nikogo. Tylko moje dziecko i mojego brata.

Myślę o czasach, gdy próbowałem zamordować ją w kołysce. Ona o tym nie wie.

- Czy my się naprawdę przyjaźnimy, Judytko?

- Teraz tak. Nareszcie.

- Trudno powiedzieć, żebyśmy się specjalnie lubili przez te wszystkie lata.

- Ludzie się zmieniają, Daw. Dorastają. Byłam głupia, prawdziwa gówniara, tak zajęta sobą, że

dla innych miałam tylko nienawiść. Ale to minęło. Jeśli mi nie wierzysz, sprawdź w moich myślach.

- Nie lubisz, jak się tam pętam.

- Nie krępuj się - mówi. - Przyjrzyj się dobrze, a zobaczysz, że zmieniłam się w stosunku do ciebie.

- Nie, lepiej nie.

Dolewam sobie jeszcze trochę rumu. Ręka mi drży.

- Nie powinnaś zajrzeć do spaghetti? Sos może się wygotować.

- Niech się gotuje. Nie skończyłam jeszcze drinka. Daw, masz jeszcze ciągle kłopoty? Mam na myśli twoją moc.

- Tak, cały czas. Jest gorzej niż kiedykolwiek.

- Jak myślisz, co się dzieje?

Wzruszam ramionami. Stary, beztroski ja.

- Tracę ją, to wszystko. Podobnie bywa z włosami. Masz ich dużo w młodości, potem coraz mniej i wreszcie wcale. Pieprzyć to. Nie przyniosło mi to niczego dobrego.

- Wcale tak nie uważasz.

- Więc pokaż mi jakieś dobre strony.

- Dzięki mocy byłeś kimś. Byłeś jedyny w swoim rodzaju. Kiedy wszystko szło źle, zawsze mogłeś na tym polegać. Wiedziałeś, że możesz wejść do ludzkich umysłów i zobaczyć to, co niewidzialne, że możesz być tak blisko ludzkich dusz. To boski dar.

- Ale bezużyteczny. Chyba, że zajmę się jarmarcznym show-biznesem.

- Dzięki temu jesteś bogatszą osobowością, bardziej złożoną, bardziej interesującą. Bez mocy byłbyś zapewne kimś zwyczajnym.

- Z mocą też okazałem się kimś całkiem zwyczajnym. Nikim, zerem. Ale bez tego daru

mógłbym być szczęśliwym zerem.

- Masz dla siebie dużo litości, Daw.

- Mam powody, Judytko. Jeszcze pernodu?

- Nie, dziękuję. Muszę przypilnować obiadu. Należysz wina?

Idzie do kuchni, a ja zajmuję się winem. Potem przynoszę do stołu misę sałatki. Z tyłu dzieciak zaczyna nucić ironiczne nonsensowne zbitki sylab swoim nienaturalnie dojrzałym barytonem.

Nawet w moim obecnym stanie zmniejszonej percepcji czuję, jak jego zimna nienawiść uciska tył mojej czaszki. Wraca Judyta, niosąc obficie zastawioną tacę - spaghetti, chleb czosnkowy, ser. Gdy siadamy, błyska ciepłym, z pewnością szczerym uśmiechem. Trącamy się winem. Przez parę minut jemy w ciszy. Chwalę spaghetti. Wreszcie Judyta mówi:

- Mogę trochę poczytać w twoich myślach, Daw?

- Proszę bardzo.

- Mówisz, że jesteś zadowolony z tego, że moc zanika. Komu chcesz zamydlić oczy, mnie czy sobie? Bo kogoś tu oszukujesz. Przecież nie możesz znieść nawet myśli o tym.

- Może.

- Tak, Daw.

- Niech będzie, masz rację. Jestem wewnątrznie rozdarty. Chciałbym, żeby moc całkiem zniknęła. Chryste, chciałbym nigdy jej nie posiadać. Ale z drugiej strony, jeśli ją stracę, kim będę? Co stanie się z moją psychiką? Przecież jestem Selig Badacz Umysłu, Zdziwiający Człowiek Mentalny. Więc jeśli przestanę nim być... rozumiesz?

- Tak. Na twojej twarzy jest tyle bólu. Tak mi przykro, Daw.

- Z jakiego powodu? - Że tracisz swoją moc.

- Nienawidziłaś mnie za używanie jej przeciwko tobie, nie pamiętasz?

- To co innego. I dawno minęło. Wiem, przez co teraz przechodzisz. Domyślasz się, czemu tak

się dzieje? Czemu ją tracisz?

- Nie. Sądzę, że to wynik starzenia.

- Czy można zrobić coś, żeby powstrzymać ten proces?

- Wątpię. Po pierwsze, nawet nie wiem, czemu zawdzięczam ten dar. Umiem go tylko pobudzać.

Nie wiem, jak to działa. Po prostu jest coś w mojej głowie, genetyczny fuks, rzecz, z którą się urodziłem. Jak piegi. Jeśli twoje piegi zaczynają blaknąć, czy potrafisz znaleźć sposób, żeby je zatrzymać?

- Nigdy nie poddałeś się badaniom, prawda?

- Nie.

- Dlaczego?

- Tak samo jak ty nie lubię, jak ktoś mi grzebie w głowie rzekłem miękko. - Nie chcę być przypadkiem medycznym. Zawsze starałem się uzyskiwać niskie wyniki wszelkich testów. Gdyby świat kiedykolwiek się o mnie dowiedział, zostałbym pariasem. Prawdopodobnie by mnie zinczowano. Czy wiesz, ilu ludziom otwarcie powiedziałem prawdę o sobie? No, ilu ich było w całym moim życiu?

- Tuzin.

- Troje - powiedziałem. - A z własnej woli nie przyznałbym się żadnemu z nich.

- Troje?

- Ty. Sądzę, że podejrzewałaś to od dawna, ale pewność zyskałaś dopiero po skończeniu szesnastu lat, pamiętasz? Potem Tom Nyquist, z którym się już nie spotykam. I dziewczyna o imieniu Kitty, której też już nie widuję.

- A co z tą wysoką brunetką?

- Toni? Nigdy nie powiedziałem jej tego do końca. Próbowalem to przed nią ukryć. Nie poznała całej prawdy. Wielu ludzi domyślało się, ale powiedziałem wszystko tylko trojgu. Nie chcę

uchodzić za dziwadło. A więc niech szczerze. Niech umrze. Będzie lżej.

- Ale ty chcesz to utrzymać.

- Utrzymać i stracić równocześnie.

- To sprzeczność.

- Sprzeczność? Bardzo dobrze, a więc zaprzeczam sam sobie. Mam dużą pojemność. Sporo się we mnie zmieści. Co mogę powiedzieć, Judytko? Jaką prawdę mam ci przekazać?

- Cierpisz?

- Kto nie cierpi?'

Judyta mówi: - Utrata mocy to jak impotencja, no nie, Daw? Sięgać do czyjegoś umysłu po to, by dowiedzieć się, że połączenie jest niemożliwe. Kiedyś powiedziałaś, że dzięki mocy wpadasz w ekstazę. Ten potop informacji, doświadczanie czyjegoś życia. A teraz nie potrafisz już tyle osiągnąć. Twój umysł nie może tego udźwignąć. Czy tak to widzisz, jako metaforę seksu?

- Czasami.

Nalewam jej więcej wina. Przez parę minut siedzimy w ciszy, wiosłując widelcami w talerzach spaghetti, wymieniając nieśmiałe uśmiechy. Niemal czuję do niej sympatię. Wybaczam jej te wszystkie lata, kiedy traktowała mnie jak cyrkową atrakcję. "Ty pieprzony szpiclu, Daw, trzymaj się z dala od mojej głowy, albo cię zatłukę! Ty podglądaczu! Ty szpiegu! Wynoś się, człowieku, odejdz!" Nie chciała, bym spotkał się z jej narzeczoną. Jak sądzę, obawiała się, że powiem mu o jej mężczyznach. "Chciałabym znaleźć cię pewnego dnia martwego w rynsztoku, Daw, i wszystkie moje sekrety zgniłyby w twoim wnętrzu." To było tak dawno. Może teraz kochamy się choć troszeczkę, Judytko. Troszeczkę. Ale ty kochasz mnie bardziej niż ja ciebie.

- Nie miewam już orgazmu - mówi nagle. - Wiesz, nigdy nie miałam z tym problemów, przeżywałam to praktycznie za każdym razem. Ja, prawdziwa Dziewczyna w Gorących

Majteczkach. Ale pięć lat temu coś się stało, moje małżeństwo zaczynało się rozpadać. Sytuacja

szybko się pogarszała. Udawało mi się szczytować co piąty, a potem co dziesiąty raz. Czułam, że zdolność reagowania opuszcza mnie. Leżałam, czekając, aż nadejdzie, co oczywiście utrudniało jeszcze sprawę. W końcu w ogóle przestałam odczuwać satysfakcję. I tak trwa do dziś. To już trzy lata. Od rozvodu przespałam się chyba z setką mężczyzn, możesz odjąć albo dodać pięciu lub dziesięciu, i żaden mnie nie zadowolił. A niektórzy byli całkiem niezli, prawdziwe byczki. To jedna z rzeczy, nad którymi Karl będzie ze mną pracował. Więc wiem, jak to wygląda. Utracić swój najlepszy sposób komunikowania się z innymi. Powoli tracić kontakt z sobą samym. Zostać kimś obcym we własnym umyśle. Czy wiedziałeś o moich łózkowych kłopotach?

Waham się przez chwilę i wtedy zdradza ją lodowaty błysk w oku. Agresywność. Uraza, jaką czuje. Nawet gdy chce zostać kochającą siostrą, nie umie wyzbyć się nienawiści. Jakże kruchy jest nasz związek! Jesteśmy uwięzieni w czymś w rodzaju małżeństwa, Judyta i ja - stare wypalone małżeństwo spięte szpikulcami. Co do diabła!

- Tak - mówię - wiedziałem o tym.

- Tak myślałam. Nigdy nie przestałeś mnie sondować.

Jej uśmiech to radość podszyta nienawiścią. Cieszy się, że tracę moc. Czuje ulgę.

- Zawsze jestem dla ciebie jak otwarta księga, Daw.

- Nie martw się. To już nie potrwa długo.

Och, ty sadystyczna suko! Ty piękna łowczyni jaj! Jesteś wszystkim, co mam!

- Może jeszcze trochę spaghetti, Judytko?

Siostro, siostro, siostro.

. 14 .

Yahya Lumumba

Fakultet Humanistyczny 2A

dr Katz

10 listopada 1976

Motyw Elektry u Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa

Śledząc motyw Elektry w sztukach Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa mamy do czynienia z różnymi metodami dramatycznymi i sposobami podejścia do tematu. Akcja przebiega podobnie zarówno w "Ofiarnicach" Ajschylosa, jak i w "Elektrach" Sofoklesa i Eurypidesa: Orestes, wygnany syn zamordowanego Agamemnona, wraca do rodzinnych Myken, gdzie odnajduje swoją siostrę Elektrę, która namawia go, by pomścić śmierć ojca, zabijając Klitajmestrę i Ajgistosa. Są oni winni zabójstwa wracającego spod Troi Agamemnona. Sposób operowania powyższymi wydarzeniami jest różny u każdego z dramatopisarzy.

Ajschylos, w odróżnieniu od dwóch późniejszych twórców, dał pierwszeństwo etycznym i religijnym aspektom zbrodni Orestesa w "Ofiarnicach". Charakterystyka bohaterów i ich motywacje są nieskomplikowane aż do tego stopnia, że domagają się prześmiewczej parodii - i rzeczywiście możemy to zaobserwować u bardziej światowego Eurypidesa, który wykpiwa Ajschylosa w scenie rozpoznania. U Ajschylosa Orestes pojawia się w towarzystwie przyjaciela, Pyladesa, składa na grobie Agamemnona ofiarę - pukiel włosów. Odchodzą, a do grobu zbliża się lamentująca Elektra. Dostrzega dar brata i uznając, że "do jej własnych pukli dziwnie jest podobny", dochodzi do wniosku, że to Orestes przysłał je na grób jako znak żałoby. Wtedy pojawia się ponownie Orestes i wyznaje Elektrze, kim jest. Ten właśnie nie budzący zaufania sposób identyfikacji został sparodiowany przez Eurypidesa.

Orestes ujawnia, że to Apollo kazał mu pomścić zabójstwo Agamemnona. W długim, poetyckim fragmencie Elektra dodaje odwagi bratu, który w końcu wyrusza, by zabić Klitajmestrę i Ajgistosa. Udaje mu się podstępem wejść do pałacu - przedstawia się jako posłaniec z odległej Fokidy, przynoszący wieści o śmierci Orestesa. Dostawszy się do środka, zabija Ajgistosa, a potem stanąwszy przed matką oskarża ją o morderstwo i uśmierca.

Sztukę kończy obraz Orestesa oszalałego z powodu swej zbrodni, ściganego przez Fuńe.

Matkobójca znajduje schronienie w świątyni Apolla. Mistyczno-alegoryczny ciąg dalszy, "Eumenidy", pokazuje Orestesa oczyszczonego z winy.

Krótko mówiąc, Ajschylos nie przywiązywał wagi do prawdopodobieństwa wydarzeń. W trzyczęściowej "Orestei" rozważał problemy teologiczne. Badał zachowania bogów, rzucających przekleństwa na rodzinę, klątwę, która bierze początek w jednym morderstwie i wiedzie do następnego. Podstawową myślą jego filozofii jest chyba wers: "I póki Zeus włada w niebie, póty ma to prawo trwać - wycierp, coś uczynił".

Ajschylos nie stara się osiągnąć mistrzostwa warsztatowego, a w każdym razie jest to dla niego rzecz drugorzędna wobec religijnych i psychologicznych aspektów matkobójstwa.

Na przeciwległym biegunie w stosunku do koncepcji Ajschylosa znajduje się "Elektra"

Eurypidesa. Opowiada tę samą historię, ale wzbogaca ją i unowocześnia, osiągając przez to o wiele większą głębię. Elektra i Orestes to postacie wyraziste i pełnowymiarowe. Elektra, na wpół szalona kobieta, wyrzucona z dworu, poślubiona wieśniakowi snuje plany zemsty. Orestes, tchórz wślizgujący się do Myken ukradkiem, nikczemnie wbija sztylet w plecy Ajgistosa, podstępnie zwabia Klitajmestrę w pułapkę. Eurypidesowi zależy na realizmie dramatu. Ajschylos nie ma takich ambicji. Po sławetnej parodii sceny rozpoznania, Orestes Eurypidesa ujawnia się Elektrze nie za pomocą pasma włosów czy śladu stopy, lecz...

O Boże, o cholera. Gówno, gówno, gówno, to jest dno. Nie ma w tym ani jednej pieprzonej linijki, która byłaby dobra. Czy Yahya Lumumba napisałby cokolwiek z tego chłamu? Nadęte od pierwszego słowa. Dlaczego Yahya Lumumba miałby wyprodukować takie bzdety o tragedii greckiej? A dlaczego ja? Kim on jest dla Hekaby albo Hekabe dla niego, żeby miał nad nią płakać? Podrę to i zacznę od nowa. Napiszę to w slangu. Nadam temu stary, murzyński rytm. Boże, pomóż mi myśleć jak czarny. Ale nie umiem. Nie umiem. Nie potrafię. Chryste, chciałbym to rzucić.

Chyba dostają gorączki. Poczekajcie. Może mi dobrze zrobi, jak zapalę skręta. Taak. Spróbuję jeszcze raz na haju. Trochę dobrej trawki nie zaszkodzi. Włóż w to trochę duszy, stary. Ty sprytny dupku, biały żydowski przybłędo, włóż w to trochę duszy, słyszysz? No więc dobrze. Był ten stary kocur, Agamemnon, to był taki ważny jebaka, słyszysz, to był Facet, ale i tak mu dopieprzyli. Jego stara, Klitajmestra, robiła to z tym gówniarzem, skurwysynem Ajgistosem i pewnego dnia mówi do niego: Dzidzius, dopieprzmy staremu Agusiowi, ty i ja, a potem ty będziesz królem chcesz być królem? - no chcesz - będziemy bawić się jak diabli. Altus był daleko pod Troją kręcąc całym tym cyrkiem, ale wrócił do domu, bo zatęsknił za wiktem i opierunkiem, ale zanim się spostrzegł, przywalili mu na dobre, tak jest, naprawdę, pocięli go. I to tyle, jeśli chodzi o niego. Teraz jest ta zwariowana cipka, Elektra, ona jest córeczką starego Agusia i naprawdę się wkurza, kiedy oni go załatwiają, więc mówi do brata, który ma na imię Orestes, więc ona mówi: Orestes, chcę, żebyś dobrał się do tych dwóch skurwysynów, chcę, żebyś załatwił ich na dobre. Teraz, ten kocur Orestes przez jakiś czas nie był w mieście i nie zna układów, ale...

Tak, to jest to, człowieku! Łapiesz to! Teraz wyjaśnij Eurypidesowską wersję deus ex machina i zalety katharsis w technice dramatycznej Sofoklesa. Pewnie. Jaki z ciebie durny Żydek, Selig. Jaki z ciebie głupek.

. 15 .

Próbowałem być dobry dla Judyty. Próbowałem być uprzejmy i kochający, ale nienawiść ciągle wracała pomiędzy nas. Mówiłem sobie - to moja siostrzyczka, moje jedyne rodzeństwo, muszę ją bardziej kochać. Ale nie można nakazać sobie miłości. . Nie można powołać jej do życia tylko przy pomocy dobrych intencji. Poza tym moje intencje nigdy nie były aż tak dobre. Od pierwszego momentu traktowałem Judytę jak wroga. Byłem pierworodnym, trudnym, nieprzystosowanym dzieckiem. To ja miałem być centrum wszystkiego. Takie były warunki mojego układu z Bogiem - muszę cierpieć, ponieważ różnię się od innych, ale w zamian za to cały wszechświat powinien

kręcić się wokół mnie. Mała dziewczynka, którą przyniesiono do domu, miała być tylko terapeutycznym narzędziem zaprojektowanym tak, żeby pomogło mi nawiązać lepsze kontakty z resztą ludzkości. Taka była umowa - Judyta pozbawiona była prawa do własnej osobowości, własnych potrzeb, nie powinna stawiać żądań ani domagać się rodzicielskiej miłości. Po prostu przedmiot, część umeblowania. Ale sam w to nie wierzyłem. Pamiętajcie, że kiedy ją adoptowano, ukończyłem już dziesięć lat. Wasz dziesięciolatek też nie jest naiwny. Wiedziałem, że moi rodzice, nie czując się już dłużej zobowiązani zajmować wyłącznie tajemniczym, gwałtownym i kłopotliwym synem, z dużą ulgą skierowali swoją uwagę i miłość - tak, zwłaszcza miłość - na rozkoszne, nieskomplikowane niemowlę. Ono zajęło przynależne mi miejsce, a ja stałem się osobliwym porzuconym artefaktem. Nie mogłem tego znieść. Czy możecie winić mnie za to, że próbowałem zabić ją w kołysce? Z drugiej strony łatwo zrozumieć jej wieloletnią niechęć do mnie. Nie mogę temu zaprzeczyć. To ja zapoczątkowałem ten łańcuch nienawiści. Ja, Judyto, ja, ja. Mogłaś , go przerwać miłością, gdybyś tylko zechciała. Ale nie chciałaś.

W sobotni majowy wieczór 1961 roku odwiedziłem rodziców W tym czasie byłem tam rzadkim gościem, choć mieszkałem w odległości dwudziestu minut metrem. Egzystowałem poza rodzinnym gronem, autonomiczny i odosobniony, i z uporem opierałem się wszelkim próbom ściągnięcia mnie z powrotem. Miałem jeden szczególny powód do urazy - w końcu to ich kapryśne geny posłały mnie w świat takim, jakim jestem. A poza tym mieszkała tam Judyta odpychająca mnie swoją wzdargą. Czy to nie wystarczy? Więc całymi tygodniami, miesiącami trzymałem się z dala od tej trójki, aż melancholijne telefony matki stawały się zbyt trudne do zniesienia, tak samo jak moje poczucie winy.

Tego dnia z zadowoleniem usłyszałem, że Judyta jeszcze śpi. O trzeciej po południu? Cóż, powiedziała matka, zeszłej nocy wróciła bardzo późno. Judyta miała szesnaście lat. Wyobrażałem sobie, jak chodzi na mecze szkolnej drużyny siatkarskiej z jakimś chudym, krostowatym

wyrostkami, a po meczu spija mleczne koktajle. Śpij dobrze, śpij, śpij. Jej nieobecność postawiła mnie wobec konieczności otwartej konfrontacji z rodzicami. Matka łagodna i pochmurna, ojciec - zgorzkniały i zużyty. Przez całe moje życie maleli z wolna. Teraz wydawali się już całkiem maleńcy. Bliscy zniknięcia.

Nigdy nie mieszkałem w ich obecnym domu. Przez lata Paul i Marta walczyli z przekraczającym ich możliwości czynszem za czteropokojowe mieszkanie, ponieważ nie mogłem dzielić jednego pomieszczenia z Judytą, od kiedy wyrosła z niemowlęctwa. Jak tylko zdałem na uniwersytet i wynająłem pokój w pobliżu kampusu, rodzice znaleźli mniejszy i o wiele tańszy lokal. Ich sypialnia znajdowała się po prawej stronie holu, pokój Judyty był na jego drugim końcu, za kuchnią. Od drzwi frontowych wchodziło się prosto do pokoju dziennego, gdzie mój ojciec zagłębiany w fotelu sennie przerzucał stronicę "Timesa". Nie czytał wtedy nic prócz gazet, choć kiedyś jego umysł był znacznie bardziej aktywny. Z jego strony dochodziła tępa, szara jak szlam emanacja zmęczenia. Po raz pierwszy w życiu zarabiał niezłe pieniądze, wreszcie dobrze prosperował, ale jego psychika nadal zachowała cechy osobowości ubogiego człowieka. Biedny Paul, żaloszny nieudacznik. Zasługiwał na lepsze życie. Kiedy tak przeglądał gazetę, zajrzałem do niej jego oczami. Dzień wcześniej Alan Shepard dokonał epokowego lotu orbitalnego. Był to pierwszy lot załogowy USA. USA WYSYŁA CZŁOWIEKA 115 MIL W GŁĄB PRZESTRZENI KOSMICZNEJ, krzyczał nagłówek. SHEPARD KONTROLUJE PRACĘ KAPSUŁY, RAPORTY RADIOWE Z 15-MINUTOWEGO LOTU. Szukałem sposobu nawiązania kontaktu z ojcem.

- Co myślisz o podróżach kosmicznych? - spytałem. Słuchałeś raportów radiowych?

Wzruszył ramionami.

- A kogo to obchodzi? To wszystko szaleństwo. Mieszasz. Strata czasu i naszych pieniędzy.

ELŻBIETA ODWIEDZA PAPIEŻA W WATYKANIE. Gruby papież Jan wyglądający jak dobrze odżywiony rabbi. SPOTKANIE JOHNSONA Z PRZYWÓDCAMI AZJI NA TEMAT

DZIAŁAŃ WOJSK AMERYKAŃSKICH. Pośpiesznie przewracał strony, niektóre pomijał. GOLDBERG PROSZONY O POMOC W SPRAWIE RAKIET. KENNEDY PODPISUJE USTAWĘ O PŁACY PODSTAWOWEJ. Nic nie pozostawało w jego umyśle, nawet KENNEDY SZUKA MOŻLIWOŚCI CIĘĆ PODATKOWYCH. Ojciec zwolnił tempo przy tematyce sportowej. Błady ślad zainteresowania. CARRY BACK FAWORYTEM 87 DERBY. BŁOTO ZWIĘKSZA JEGO SZANSE. JANKESI PRZECIWKO ANIOŁOM NA OTWARCIE POTRÓJNEJ SERII GIER PRZED 20-TYSIĘCZNĄ PUBLICZNOŚCIĄ WYBRZEŻA.

- Za kim kibicujesz w Derby? - spytałem.

Potrząsnął głową.

- A co ja wiem o koniach - powiedział.

Zdałem sobie sprawę, że był już wewnątrz martwy, chociaż w rzeczywistości jego serce biło jeszcze przez całą dekadę. Przestał reagować na cokolwiek. Świat go zwyciężył.

Zostawiłem ojca jego ponurym rozmyślaniom i uprzejmie rozmawiałem z matką. Jej czytelnicze kółko zainteresowań w przyszły czwartek miało omawiać "Zabić drozda", więc chciała się dowiedzieć, czy to przeczytałem. Niestety nie. Co robiłem ostatnio? Czy widziałem jakieś dobre filmy? "L' Awentura" odparłem. Spytała, czy to francuski film, włoski, odrzekłem. Prosiła, żebym jej go opowiedział. Słuchała cierpliwie bez zainteresowania. Wyglądała na zmartwioną. Z kim się spotykasz? Znasz jakieś ładne dziewczyny. Mój syn, kawaler. Skończył 26 lat i nawet nie jest zaręczony. Omijałem męczące pytania z umiejętnością wynikającą z długiego doświadczenia. Przepraszam, Marto. Nie dam ci wnuków, na które czekasz. Dostaniesz je od Judyty i to już niedługo.

- Muszę podlać tłuszczem kurczaka - rzekła i zniknęła. Przez chwilę siedziałem z ojcem, lecz wkrótce nie mogłem tego znieść i poszedłem do toalety mieszczącej się przy pokoju Judyty. Drzwi były szeroko otwarte. Zajrzałem do środka. Światło było zgaszone, story zaciągnięte, ale gdy

dotknąłem umysłu Judyty, dostrzegłem, że już nie śpi i ma zamiar wstać. W porządku, miej gest, bądź przyjacielski, Dawidku. To cię nic nie kosztuje. Zapukałem lekko.

- Cześć, to ja. Mogę wejść?

Siedziała w białym, powiewnym szlafrocжку narzuconym na ciemnoniebieską piżamę. Ziewanie, przeciąganie. Jej twarz zwykle taka sucha, teraz nabrzmiała od zbyt długiego snu. Siłą nawyku zajrzałem w jej myśli i znalazłem tam coś nowego, zaskakującego. Erotyczną inaugurację mojej siostry. Zeszłej nocy. Wszystko: szamotaninę w zaparkowanym samochodzie, narastające podniecenie, nagłe uczucie, że to będzie coś więcej niż krótki petting, opadające majteczki, niezręczne zmiany pozycji, kłopoty z kondomem, moment wahania zmieniony w całkowite przyzwolenie, szybkie, niedoświadczone palce wywołujące wilgoć z dziewiczej szparki, ostrożne, niezdarne szturchnięcia, pchnięcie, zdziwienie, penetracji nie towarzyszy ból, tarcie ciała o ciało, szybka eksplozja u chłopca, zmieszanie, poczucie winy i rozczarowania, kiedy wszystko skończyło się, nie dając Judycie żadnej satysfakcji. Jazda do domu w ciszy. Poczucie wstydu. Wejście do domu na paluszkach, pozdrowienie ochryplym głosem czujnych rodziców. Prysznic w środku nocy. Dotykane, przemywane zdeflorowanej, lekko opuchniętej pochwy. Lekki, często przerywany sen. Długi okres bezsenności poświęcony rozmyślaniom nad wydarzeniami ubiegłego wieczoru. Czuje ulgę i zadowolenie płynące z faktu, że stała się kobietą. Jest także przestraszona. Następnego dnia trudno będzie wstać i stanąć twarzą w twarz ze światem, a zwłaszcza z Paulem i Martą. Judyto, twój sekret nie jest dla mnie tajemnicą.

- Co słyhać? - spytałem.

Z wystudiowaną niedbałością wycedziła:

- Spać mi się chce. Wróciłam bardzo późno. Skąd się tu wzięłeś?

- Od czasu do czasu wpadam odwiedzić rodzinę.

- Miło cię zobaczyć.

- Nie bądź zgryźliwa, Judytko. Taki jestem dla ciebie wstrętny?
- Czemu mnie męczysz, Daw?
- Już ci mówiłem. Próbuję być towarzyski. Jesteś moją jedyną siostrą, jedyną, jaką mam. Pomyślałem, że zajrzę do pokoju i powiem cześć.
- To już zrobiłeś. I co?
- Mogłabyś mi opowiedzieć, co porabiałaś od czasu, gdy widziałem cię po raz ostatni.
- A to cię obchodzi?
- Nie pytałbym cię, gdyby było inaczej.
- Akurat - powiedziała - tyle cię to martwi co zeszłoroczny śnieg. Nie interesuje cię nikt prócz Dawida Seliga i po co udawać, że jest inaczej? Nie musisz zadawać mi grzecznościowych pytań. Nie wychodzi ci to naturalnie.
- Dobra, dobra, wystarczy! Po co od razu taki pojedynek, siostró. Skąd ci przyszło do głowy, że...
- Więc myślisz o mnie całymi tygodniami? Przecież ja jestem dla ciebie po prostu meblem. Siostrzyczka nudziara. Bachor. Same kłopoty. Czy kiedykolwiek ze mną rozmawiałeś? O czymkolwiek? Czy wiesz przynajmniej, do jakiej chodzę szkoły? Jestem dla ciebie kompletnie obca.
- Nie, nie jesteś.
- A co ty, do diabła, o mnie wiesz?
- Bardzo dużo.
- Na przykład?
- Zostaw to, Judytko.
- Jeden przykład. Tylko jeden. Jakaś rzecz o mnie. Na przykład...
- Jakiś przykład. W porządku. Na przykład wiem, że przespałaś się z kimś zeszłej nocy.

Obydwoje byliśmy zaskoczeni. Stałem w milczeniu, zaszokowany; nie wierząc, że pozwoliłem, by te słowa wymknęły mi się z ust. Judyta skoczyła jak rażona prądem elektrycznym, jej ciało wyprostowało się i zeszywniało, oczy błyszczały zdziwieniem. Nie wiem, jak długo staliśmy tak, znieruchomiali, niezdolni mówić.

- Co? - powiedziała wreszcie. - Coś ty powiedział?

- Słyszałaś.

- Słyszałam, ale zdawało mi się, że to sen. Powiedz to jeszcze raz.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Daj mi spokój, Judyto.

- Kto ci powiedział?

- Proszę, Judytko...

- Kto ci powiedział?

- Nikt - wymamrotałem.

Jej uśmiech był zatrważająco triumfujący.

- Wiesz co? Wierzę ci. Naprawdę ci wierzę. Nikt ci nie powiedział. Wyciągnąłeś to prosto z mojego mózgu, prawda, Daw?

- Lepiej by było, gdybym tu nigdy nie przyszedł.

- Przyznaj to. Dlaczego nie chcesz tego przyznać? Zaglądasz do ludzkich umysłów, no nie, Dawidku? Jesteś czymś w rodzaju cyrkowej osobliwości. Od dawna to podejrzewałam. Te wszystkie twoje małe przeczucia, które zawsze się sprawdzają, i ta twoja zakłopotana, nadęta mina, którą przybierasz, kiedy się okazuje, że masz rację. To gadanie o twoim "szczęściu" w odgadywaniu różnych rzeczy. Akurat! Akurat, szczęście! Wiedział, co jest grane. Mówiłam sobie, ten skurczybyk czyta w moich myślach. Ale sama siebie przekonywałam, że to szaleństwo, że nie

ma takich ludzi, że to niemożliwe. Ale to prawda, no nie? Ty nił zgadujesz. Ty widzisz. Jesteśmy dla ciebie otwarci na oścież i czytasz w nas jak w książkach. Szpiegujesz nas. Czy nie tak?

Usłyszałem za sobą jakiś dźwięk. Podskoczyłem przestraszony. Ale to tylko Marta wsunęła głowę do sypialni Judyty. Pusty senny uśmiech.

- Dzień dobry, Judyto. A może już dobry wieczór. Miło sobie gawędzicie, dzieci? Tak się cieszę.

Nie zapomnij zjeść śniadania, Judyto.

I podryfowała w swoją stronę. Judyta rzekła ostro:

- Dlaczego jej nie powiedziałeś? Opisz całą rzecz. Z kim byłam zeszłej nocy, co z nim robiłam, co czułam...

- Przestań, Judyto.

- Nie odpowiedziałeś na moje poprzednie pytanie. Czy masz tę czarodziejską moc? Masz?

- Tak.

- I przez całe życie potajemnie szpiegujesz ludzi.

- Tak. Tak.

- Wiedziałaś. To znaczy tak naprawdę nie wiedziałam, ale przeczuwałam to przez cały czas. To tak dużo wyjaśnia. Dlaczego zawsze czułam się jakaś brudna, kiedy byłeś obok mnie. Jeszcze w dzieciństwie. Dlaczego czułam się tak, jakby wszystko, co robię, miało ukazać się w najświeższych gazetach. Nigdy nie byłam sama, nawet jeśli zamknęłam się w łazience. Nie c z u ł a m s i ę sama.

Wzruszyła ramionami. - Mam nadzieję, że już cię nigdy nie zobaczę. Teraz, kiedy wiem, czym jesteś. Szkoda, że w ogóle cię znałam. Jeśli kiedykolwiek zobaczę, że wsadzasz paluchy do mojej głowy, to utnę ci jaja. Zrozumiałeś? Utnę ci jaja! A teraz zmywaj się stąd, bo chcę się ubrać.

Odszedłem. W łazience chwyciłem się chłodnego brzegu umywalki i przybliżyłem do lustra moją zarumienioną, zdenerwowaną twarz. Byłem ogłuszony, oszołomiony, moje rysy stężały, tak jakbym przeszedł udar mózgu. "Wiem, że przespałaś się z kimś zeszłej nocy." Dlaczego jej to

powiedziałem? Przypadek? Te słowa wymknęły mi się z ust, ponieważ rozdrażniła mnie tak bardzo, że zatraciłem poczucie zdrowego rozsądku. Przecież wcześniej nie pozwoliłem nikomu wydusić z siebie takiego wyznania. Freud mówi, że nie ma przypadków. Nie ma żadnych przejęzyczeń. Wszystko czynimy rozmyślnie na tym lub innym poziomie świadomości. Musiałem powiedzieć to Judycie, ponieważ chciałem, by poznała całą prawdę o mnie. Ale dlaczego? Dlaczego jej? Powiedziałem już Nyquistowi, tak, ale to nie było ryzykowne. I nigdy nie wspomniałem o tym nikomu innemu. Jak trudno to potem odwołać, co, panno Mueller? A teraz Judyta wiedziała. Dałem jej do ręki broń, którą mogła mnie zniszczyć...

* * *

Dałem jej broń. Jakie to dziwne, że nigdy nie zdecydowała się jej użyć.

. 16 .

Nyquist rzekł:

- Prawdziwy kłopot z tobą, Selig, polega na tym, że jesteś głęboko religijnym człowiekiem, który nie wierzy w Boga.

Nyquist zawsze mówił takie rzeczy, a Selig nigdy nie był pewien, czy on naprawdę tak myśli, czy też po prostu bawi się słowami. Niezależnie od tego, jak głęboko Selig wchodził w jego duszę, nigdy nie mógł być niczego pewien. Nyquist był zbyt sprytny, zbyt nieuchwytny.

Wybierając najbezpieczniejsze wyjście, Selig w ogóle się nie odezwał. Stał plecami do Nyquista, wyglądając przez okno. Padał śnieg. Wąskie uliczki w dole były zupełnie zasypane. Nawet miejskie pługi śnieżne nie mogły się tam przedostać i wszystko pochłonęła dziwna, łagodna cisza. Silne wiatry biczowały śnieżne zasy. Biała kołderka przykryła zaparkowane samochody. Kilku dozorców z eleganckich kamienic wyszło na dwór, by odrzucać łopatami śnieg. Padało prawie bez przerwy od trzech dni. Śnieg był wszędzie, na całym północnym wschodzie: Padał na każde z brudnych miast, na obskurne przedmieścia, miękko obsypywał Appalachy, i jeszcze dalej na

wschód, delikatnie kładł się na ciemnych wzburzonych falach Atlantyku. W centrum Nowego Jorku nie było żadnego ruchu. Wszystko pozamykano: biurowce, szkoły, sale koncertowe, teatry; koleje nie funkcjonowały, a autostrady były zablokowane. Na lotniskach panował całkowity bezruch. W Madison Square Garden odwołano mecze koszykówki. Nie będąc w stanie dotrzeć do pracy, Selig przeczekał większą część zamieci w mieszkaniu Nyquista, spędzając z nim tyle czasu, że towarzystwo przyjaciela zaczęło go męczyć i nużyć. To, co wcześniej wydawało się zabawne i czarujące, teraz oceniał jako przebiegłe i drażniące. Spokojna pewność siebie Nyquista okazała się egoistycznym zadowoleniem z własnej osoby. Jego przypadkowe wypady w głąb umysłu Seliga nie były już wyrazem emocjonalnej więzi, lecz raczej świadomymi aktami agresji. Szczególnie irytujący był jego zwyczaj powtarzania na głos myśli Seliga i wydawało się, że nie ma sposobu, żeby go tego oduczyć. Także w tej chwili wyciągnął z myśli Seliga pewien cytat i wygłaszał go na wpół drwiącym tonem:

- Och. Jakie to śliczne. "Jego dusza zamierała z wolna, gdy słyszał śnieg miękko opadający na wszechświat, padający miękko jak zapowiedź ostatecznej zagłady, na wszystkich - żywych i martwych." To mi się podoba. Co to jest, Dawidzie?

- James Joyce - rzekł kwaśno Selig. - "Martwi" z "Dublińczyków". Prosiłem cię wczoraj, żebyś tego więcej nie robił.

- Zazdroszczę ci wszechstronności twojego wykształcenia. Lubię pożyczyć od ciebie jakiś fikuśny cytat.

- Świetnie. A czy zawsze musisz mi to powtarzać?

Kiedy Selig odwrócił się od okna, gestykulujący szeroko Nyquist rozłożył pokornie ręce.

- Przepraszam. Zapomniałem, że tego nie lubisz.

- Ty nigdy niczego nie zapominasz, Tom. Nigdy nie robisz niczego przypadkowo. - Potem czując wyrzuty sumienia z powodu swej opryskliwości, dodał: - Chryste, mam już dość tego

śniegu!

- Śnieg jest wszędzie - powiedział Nyquist. - Chyba nigdy nie przestanie padać. Co będziemy dzisiaj robić?

- Myślę, że to samo co wczoraj i przedwczoraj. Siedzieć tutaj, przyglądając się płatkom śniegu, słuchać płyt, nudzić się.

- Może byśmy się popieprzyli?

- Chyba nie jesteś w moim typie - rzekł Selig.

- Zabawny facet. - Nyquist błysnął zdawkowym uśmiechem. - Myślałem o poszukaniu dwóch pań obozujących gdzieś w tym budynku i zaproszeniu ich na małe przyjęcie. Nie sądzisz, że znajdują się dwie odpowiednie damy pod tym dachem?

- Myślę, że możemy się rozejrzeć - odparł Selig, wruszając ramionami. - Jest więcej burbona?

- Przyniosę - odpowiedział Nyquist.

Przytaszczył butelkę. Nyquist poruszał się dziwnie powoli jak człowiek zanurzony w gęstej, odpornej atmosferze złożonej z rtęci lub jakiejś innej lepkiej cieczy. Selig nigdy nie widział go działającego w pośpiechu. Był ciężki, ale nie tłusty, mężczyzna o szerokich ramionach, grubej szyi i kwadratowej głowie, z krótko obciętych złotych włosami, płaskim szerokim nosem i niewinnym uśmiechem. Bardzo, bardzo aryjski. Był Skandynawem, być może Szwedem wychowanym w Finlandii i w wieku dziesięciu lat przeszczepionym na grunt amerykański. Zachował jeszcze ulotne ślady akcentu. Twierdził, że ma dwadzieścia osiem lat, ale według Seliga, który właśnie ukończył dwudziesty trzeci rok życia, wyglądał na starszego. Był luty 1958 roku, epoka, w której Selig ciągle jeszcze miał złudzenia, że ustawi się jakoś w świecie dorosłych. Prezydentem był Eisenhower, giełda poszła w diabły, spadek nastrojów spowodowany lotem sputnika wywołał ogólne zaniepokojenie, mimo że pierwszy amerykański satelita został już wysłany na orbitę. Ostatnim krzykiem damskiej mody była workowata szmizjerka. Selig mieszkał w Brooklyn

Hieights przy ulicy Pierrepont, dojeżdżając parę razy w tygodniu na Piątą Aleję do biura wydawnictwa, dla którego wykonywał korekty za trzy dolary na godzinę jako wolny strzelec. Nyquist mieszkał w tym samym budynku cztery piętra wyżej. Był jedynym znanym Seligowi człowiekiem obdarzonym mocą. I co więcej, ta zdolność nie uczyniła z niego kaleki. Używał swego daru ku własnemu pożytkowi z taką samą naturalnością, z jaką korzystał z rąk i nóg - bez zbędnego poczucia winy, bez jakichkolwiek usprawiedliwień. Selig nigdy nie spotkał osoby mniej podatnej na neurozy. Z natury był drapieżką, zdobywał swój dochód najeżdżając cudze mózgi. Ale jak każdy dziki kot, atakował tylko z głodu, nigdy dla czystej radości. Brał, co potrzebował, nie kwestionując opatrności, która tak świetnie wyposażyła go do tej walki. Nigdy nie brał na zapas, 'a jego potrzeby były umiarkowane. Z reguły nie miał stałego zajęcia. Gdy brakowało mu pieniędzy, urządzał dziesięciminutową przejażdżkę na Wall Street. Wędrując przez ponure kaniony finansowego centrum świata, swobodnie wertował mózgi biznesmenów zamkniętych w klasztornych celach wyniosłych biurowców. Każdego dnia pojawiały się nowe ważne informacje, które miały wpływ na rynek fuzje przedsiębiorstw, wyprzedaż kapitałów, odkrycia rudy, raporty dotyczące dochodów. Nyquist bez problemu dowiadywał się niezbędnych szczegółów. Zdobyte dane szybko sprzedawał za wysokie, lecz nie wygórowane ceny kilkunastu prywatnym inwestorom, którzy przekonali się już w najszcześniejszy dla siebie sposób, że Nyquist jest niezawodnym źródłem. To jemu należy przypisać wiele nie wytłumaczonych przecieków, które przyczyniły się do szybkiego powstania wielkich fortun na zwyżkującym rynku lat pięćdziesiątych. W ten sposób zapewnił sobie wygodne życie w odpowiednim stylu. Jego apartament był mały i przytulny - czarne obicia Naugahyde'a, lampy Tiffany'ego, tapety Picassa, dobrze zaopatrzone barek, wysokiej klasy sprzęt grający, z którego wydobywał się nieprzerwany strumień muzyki Monteverdiego, Palestriny, Bartoka czy Strawińskiego. Prowadził wystawne, kawalerskie życie. Często wychodził, przesiadując w ulubionych restauracjach, najczęściej przyciemnionych i

egzotycznych - japońskich, pakistańskich, syryjskich, greckich. Koło jego przyjaciół było ograniczone, lecz starannie dobrane, głównie poeci, muzycy, pisarze, malarze. Spał z wieloma kobietami, ale Selig rzadko widział go dwa razy z tą samą.

Nyquist, podobnie jak Selig, mógł odbierać, ale nie był zdolny wysłać żadnej informacji. Potrafił jednak wykryć, że ktoś inny sonduje jego mózg. Dzięki temu się spotkali. Wprowadziwszy się do nowego mieszkania, Selig poświęcił się ulubionemu hobby, pozwalając swej świadomości balansować od piętra do piętra. Przyglądał się nowym sąsiadom. Przeskakując z jednej głowy w drugą, nie znajdował nic wartego zainteresowania, aż tu nagle:

- Powiedz mi, gdzie jesteś. - Krystalicznie czysto dźwięczące słowa na obrzeżach bystrego, pewnego siebie umysłu. Zdanie nadeszło z oczywistą bezpośredniością rozmowy. Niemniej Selig zdawał sobie sprawę z tego, że nie zaszła żadna aktywna wymiana myśli. Po prostu znalazł słowa, które biernie na niego czekały. Szybko odpowiedział:

- Ulica Pierrepont 35.

- Nie, to już wiem. Pytam, gdzie jesteś w tym budynku.

- Czwarte piętro.

- A ja jestem na ósmym. Jak się nazywasz?

- Selig.

- Nyquist.

Kontakt umysłowy był zadziwiająco intymny. Miał cechy niemal seksualne. Jak gdyby wślizgiwał się do ciała, a nie do umysłu. Czuł się zmieszany wibrującą męskością duszy, do której wkroczył. Czuł, że jest coś nieprzyzwoitego w tak bliskim kontakcie z innym mężczyzną. Mimo to nie wycofał się. Szybka żonglerka słownej komunikacji w pustej ciemnej przestrzeni była rozkosznym przeżyciem, zbyt przyjemnym, by je odrzucać. Selig uległ chwilowej iluzji, mając wrażenie, że jego moc rozwija się, że nauczył się nie tylko odbierać, ale i wysyłać zawartość myśli.

Ale było to tylko złudzenie. Wiedział, że ani on, ani Nyquist niczego nie wysyłają. Obaj tylko pobierali informację z mózgu rozmówcy. Każdy z nich przygotowywał zdania, które drugi miał odnaleźć, a to w pojęciu dynamiki tego procesu nie oznaczało przesyłania informacji. W praktyce to rozróżnienie nie miało znaczenia. Efektem połączenia dwóch czułych, blisko siebie usytuowanych odbiorników był wydajny system nadawczo-odbiorczy, równie godny zaufania jak telefon. Mariaż prawdziwych umysłów, niech się rozwija bez przeszkód. Świadomie, tytułem próby Selig sięgnął do niższych poziomów osobowości Nyquista, szukając nie tylko konkretnych zdań, ale i samego człowieka. W trakcie tych poszukiwań był niejasno świadom zamieszania w głębinach własnego umysłu, co prawdopodobnie oznaczało, że Nyquist także go sonduje. Przez długie minuty badali się nawzajem jak kochankowie objęci pierwszym, jakże odkrywczym miłosnym uściskiem, chociaż w dotyku Nyquista, chłodnym i bezosobowym, nie było nic pieszczotliwego. Mimo to Selig drżał. Czuł się tak, jakby stał na skraju otchłani. W końcu wycofał się delikatnie. Nyquist również. Potem nadeszła wiadomość:

- Chodź na górę. Będę czekał na ciebie koło windy.

Był większy, niż Selig przypuszczał, kawał chłopca. Jego niebieskie oczy spoglądały niezachęcająco. Uśmiechał się zdawkowo. Był niedostępny, choć nie okazywał chłodu. Poszli do jego mieszkania: miękkie światła, nieznana muzyka, atmosfera nieostentacyjnej elegancji. Nyquist poczęstował go drinkiem, a potem rozmawiali, trzymając się, na ile to możliwe, z dala od swoich umysłów. Było to spokojne spotkanie, pozbawione sentymentalizmu, nie uczczone łzami radości. Nyquist był uprzejmy, układny, zadowolony z przybycia Seliga, ale nie szalał z podniecenia na wieść, że istnieje ktoś równie dziwaczny jak on sam. Może dlatego, że już wcześniej odkrył paru podobnych sobie.

- Są też inni - mówił. - Ty jesteś trzeci, czwarty, piąty, którego spotkałem od przyjazdu do Stanów. Popatrzmy: jeden w Chicago, jeden w San Francisco, jeden w Miami, jeden w

Minneapolis. Ty jesteś piątą. Dwie kobiety, trzech mężczyzn.

- Czy nadal jesteś z nimi w kontakcie?

- Nie.

- Co się stało?

- Rozstaliśmy się - powiedział Nyquist. - A czego się spodziewałeś? Że założymy klan? Zrozum, rozmawialiśmy, bawiliśmy się grą naszych umysłów, poznawaliśmy się wzajemnie, a po jakimś czasie znudziliśmy się sobą. Dwóch z nich chyba już nie żyje. Nie przeszkadza mi życie w izolacji.

Nie traktuję siebie jak członka jakiegoś plemienia.

- Nigdy nie spotkałem kogoś takiego - bąknął Selig. - Aż do dziś.

- To nie jest ważne. Ważne jest tylko twoje własne życie. Ile miałeś lat, kiedy odkryłeś, co potrafisz robić?

- Nie wiem. Chyba pięć albo sześć. A ty?

- Nie zdawałem sobie sprawy, że potrafię coś szczególnego, do czasu, gdy ukończyłem jedenaście lat. Myślałem, że każdy to potrafi. Dopiero kiedy przyjechałem do Stanów i usłyszałem ludzi myślących w innym języku, dostrzegłem, że jest coś niezwykłego w moim mózgu.

- Czym się zajmujesz? - pytał Selig.

- Staram się pracować jak najmniej - uśmiechnął się Nyquist i gwałtownie wsunął swoje receptory w mózg Seliga. Wyglądało to na rodzaj zaproszenia. Selig zaakceptował sytuację i wysunął własne anteny. Wertując świadomość towarzysza szybko odnalazł obraz Nyquista działającego na Wall Street. Zobaczył całą jego zrównoważoną, rytmiczną, ustabilizowaną egzystencję. Był zaskoczony spokojnym chłodem, jednorodnością i czystością jego ducha. Jakże klarowne było jego życie. Jak mało go zniszczyło. Gdzie ukrywał swoje zmartwienia? Gdzie schował swoją samotność, strach, brak poczucia bezpieczeństwa? W tym momencie Nyquist przerwał swoją penetrację i rzekł:

- Dlaczego tak bardzo żal ci samego siebie?

- Naprawdę?

- Natykam się na to w każdym miejscu twojej psychiki. O co chodzi, Selig? Przyglądałem ci się i nie widzę problemu, tylko sam ból.

- Mój problem polega na tym, że czuję się wyizolowany z ludzkiej rasy.

- Wyizolowany? Ty? Możesz dostać się do środka ludzkich głów. Możesz robić coś, czego nie potrafi 99,999% ludzkości. Muszą borykać się, używając słów, skojarzeń, znaków ostrzegawczych, a ty zmierzasz prosto do sedna. Jak możesz udawać, że jesteś wyizolowany?

- Informacje, które zdobywam, są bezużyteczne - odparł Selig. - Nie potrafię ich spożytkować.

Równie dobrze mógłbym ich wcale nie odbierać.

- Dlaczego?

- Bo to tylko oglądactwo. Szpieguję innych.

- I czujesz się winny?

- A ty nie?

- Nie prosiłem o ten dar - tłumaczył Nyquist. - Po prostu go otrzymałem. A ponieważ go mam, używam go. Lubię to. Lubię życie, które prowadzę. Lubię siebie. Dlaczego ty siebie nie lubisz, Selig?

- Ty mi powiedz.

Ale Nyquist nic mu nie powiedział i wypity drink Selig wrócił do siebie. Kiedy wszedł do pokoju, jego własne mieszkanie wydało mu się tak obce, że spędził parę minut, bawiąc się znajomymi przedmiotami: fotografią rodziców, małą kolekcją młodzieńczych listów miłosnych, plastikową zabawką podarowaną mu wiele lat temu przez znajomego psychiatrę. Obecność Nyquista w dalszym ciągu drażniła jego mózg - osad po spotkaniu, nic więcej. Selig był pewien, że Nyquist już go nie sonduje. Czuł się rozbity tą wizytą, tak bardzo pogwałcono jego intymność.

Postanowił więcej nie widywać Nyquista, a najlepiej wyprowadzić się gdzieś tak szybko, jak tylko będzie to możliwe, na Manhattan, do Filadelfii, do Los Angeles - gdziekolwiek poza obręb jego oddziaływania. Przez całe życie pragnął spotkać kogoś, kto dzieliłby jego zdolności, a teraz, gdy to nastąpiło, bał się. Przerazało go to, że Nyquist tak bardzo kontrolował jego życie. On mnie upokorzy, myślał. Pozre mnie. Lecz panika powoli go opuszczała. Dwa dni później Fin wpadł, by zaprosić go na obiad. Zjedli w pobliskiej meksykańskiej restauracji, puszczając kupę pieniędzy na Carta Blanca. Seligowi ciągle wydawało się, że Nyquist się nim bawi, drażni go, trzymając na odległość wyciągniętego ramienia, łaskocze. Ale było to robione w tak czarujący sposób, że nie czuł urazy. Urok Nyquista był nieodparty, a jego siła godna naśladowania. Postępował jak starszy brat, który wyprzedził go, idąc przez tę samą dolinę smutków, i zwycięski wynurzył się z niej dawno temu. Teraz zachęcał Seliga do akceptacji warunków takiej egzystencji. Nazywał to kondycją supermana.

Zostali bliskimi przyjaciółmi. Dwa lub trzy razy w tygodniu wychodzili razem, jedli i pili. Selig zawsze sobie wyobrażał, że przyjaźń z kimś takim, jak on będzie niezwykle intensywna, ale tak się nie stało. Po tygodniu uznali swoją niezwykłość za coś normalnego i rzadko omawiali swój dar, nie gratulowali też sobie aliansu, który byłby skierowany przeciwko otaczającemu ich światu zwykłych śmiertelników. Czasami porozumiewali się słowami, czasem za pomocą bezpośredniego kontaktu umysłów. Był to luźny, przyjemny związek. Jedyne niebezpieczeństwo stanowiły ponure nastroje, w które popadał Selig. Nyquist wykpiwał go wtedy za takie rozczulanie się nad samym sobą. Lecz nawet to nie stwarzało im zbytnich problemów. Ten stan rzeczy zmienił się dopiero w dniach śnieżnej zamieci. Spędzali wtedy zbyt wiele czasu razem i wszelkie napięcia natężyły się.

- Podaj szklanę - odezwał się Nyquist.

Nalał bursztynową porcję burbona. Selig usadowił się wygodnie, pijąc drinka, a Nyquist rozpoczął poszukiwanie dziewczyn. Zajęło mu to pięć minut. Prześwietlił budynek i wybrał parę

współlokatorek z piątego piętra.

- Popatrz - powiedział do Seliga. Selig wszedł do jego mózgu. Nyquist dostroił się do umysłowości jednej z dziewczyn, zmysłowej, ospałej, kociej i jej oczami spoglądał na drugą, wysoką, chudą blondynę. Podwójnie przetworzony obraz był mimo to całkiem wyraźny. Blondynka, dzięki swym długim nogom wyglądała naprawdę podniecająco. Zachowywała się z typową dla modelek swobodą.

- Ta jest moja - oświadczył Fin. - Teraz powiedz mi, jak ci się podoba twoja?

Przeskoczył, a Selig tuż za nim, do umysłu blondynki. Tak, to modelka, znacznie bardziej inteligentna niż jej towarzyszka. Chłodna, samolubna, namiętna. Z jej umysłu, transferowany przez Nyquista, dochodził obraz jej współlokatorki rozciągniętej na sofie - niska, pulchna, ruda dziewczyna w różowym szlafrocisku. Piersiasta o okrągłej twarzy.

- Dobrze - rzekł Selig. - Czemu nie?

Przeglądając ich umysły Nyquist znalazł numer telefoniczny dziewcząt i zadzwonił, uruchamiając capy swój czar. Przyszły na drinka.

- Ta straszna zawieja - powiedziała wzruszając ramionami blondynka - może doprowadzić człowieka do szaleństwa!

Wypili w czwórkę masę alkoholu przy akompaniamencie wibrującego jazzu: Mingus, MJQ, Chico Hamilton. Ruda wyglądała lepiej, niż się Selig spodziewał. Nie była tak pulchna i pospolita - podwójny przekaz musiał wprowadzić pewne zmiany w proporcjach. Ale chichotała zbyt wiele i nie bardzo mu się podobała. Cóż, było już za późno, żeby się wycofać. W końcu późno w nocy rozdzielili się na pary. Nyquist i blondynka zostali w sypialni, Selig i rudowłosa poszli do living-roomu. Kiedy znaleźli się wreszcie sami, Selig uśmiechnął się z zażenowaniem do towarzyszki. Nigdy nie wyzbył się tego infantylnego grymasu, który, jak się spodziewał, wyrażał mieszaninę gamoniowatego oczekiwania i nagłego przerażenia.

- Hej - powiedział. Pocałowali się, a potem jego ręce powędrowały ku jej piersiom. Dziewczyna przyłgnęła do niego w bezwstydnie łapczywy sposób. Wyglądała na parę lat starszą od niego, ale większość kobiet odbierał w ten sposób. Opadły z nich ubrania.

- Lubię szczupłych mężczyzn - chichotała, szczypiąc jego chude ciało. Jej piersi rosły ku niemu jak różowe ptaki. Pieścił ją z dziewiczą bojaźliwością. W ciągu długich miesięcy zażyłości Nyquist obdarowywał go czasami dziewczynami, z których sam zrezygnował, ale od czasu, gdy był z którąś w łóżku, upłynęły długie tygodnie i obawiał się, że ta abstynencja zbyt szybko doprowadzi go do kłopotliwego końca. Na szczęście jej wilgoć chłodziła jego oręż w wystarczającym stopniu, więc orząc ją rzetelnie i energicznie, panował nad sobą w zupełności.

Mniej więcej w tym samym czasie gdy zorientował się, że rudowłosa jest zbyt pijana, by przeżyć orgazm, poczuł ostrzegawcze tykanie w głębi czaszki - Nyquist był w jego mózgu! Dziwne, taki voyeurism był czymś niebywałym u tak zazwyczaj opanowanego Fina. Szpiegowanie to m o j a specjalność, pomyślał Selig, i przez chwilę poczuł się tak zakłopotany tym, że ktoś go obserwuje, aż jego erekcja zaczęła słabnąć. Całą siłą woli utrzymał poprzedni stan. To bez znaczenia, tłumaczył sobie. Nyquist jest całkowicie amoralny i robi to, na co ma ochotę, zagląda tu i ówdzie, nie bacząc na normy zachowania. Więc dlaczego miałbym się tym przejmować. Otrząsnąwszy się wyciągnął swoje receptory w stronę Nyquista i odwzajemnił sondaż. Przyjaciel powitał go.

- Jak ci leci, Daw?

- Dobrze. Całkiem dobrze.

- Ta moja jest całkiem gorąca. Popatrz.

Selig zazdrościł przyjacielowi chłodnego dystansu. Żadnego wstydu, poczucia winy, żadnych zahamowań. Ani śladu ekshibicjonistycznej dumy czy też westchnień oglądacza. Dla niego taka wymiana była czymś zupełnie naturalnym. Ale Selig mimowolnie odczuwał niechęć, obserwując pod zamkniętymi powiekami, jak Nyquist pracowicie obrabia blondynkę. Wiedział, że on także jest

przedmiotem obserwacji. Obrazy ich równoległych kopulacji jak echo rozbrzmiewały to w jednym, to w drugim umyśle. Nyquist przerwał na moment, odbierając zakłopotanie Seliga, i delikatnie zaczął go wykpiwać. Obawiasz się, że jest w tym trochę ukrytego homoseksualizmu, mówił. Ale ja myślę, że tak naprawdę przeraża cię sam kontakt, każdy rodzaj kontaktu pomiędzy ludźmi. Mam rację? Mylisz się, odpowiedział Selig, ale wiedział, że przyjaciel trafił w sedno. Jeszcze przez pięć minut przyglądali się sobie nawzajem. Póki Nyquist nie zdecydował, że czas kończyć i burzliwe drgania jego systemu nerwowego wyrzuciły Seliga poza obręb jego świadomości. Zaraz potem znudzony uwijaniem się wokół łaskotliwej, spoconej dziewczyny, Selig pozwolił sobie na własny orgazm, po czym osunął się drżący i zmęczony. Pół godziny później Nyquist i blondynka, obydwójce nadzy, weszli do living-roomu. Nie zapukali, co trochę zdziwiło rudowłosą, a Selig nie mógł jej poinformować, że Nyquist dobrze wiedział, że już po wszystkim. Fin puścił trochę muzyki i siedzieli spokojnie - Selig i rudowłosa popijali Burbona, Nyquist i blondynka wybrali szkocką. Nad ranem, kiedy śnieg zaczął słabnąć, Selig nieśmiało zasugerował drugą rundę seksu ze zmianą partnerów.

- Nie - oświadczyła ruda. - Mam dość pieprzenia. Chcę iść spać. Może kiedy indziej, dobrze? Rozglądnęła się za ubraniami. W drzwiach, chwiejąc się i zataczając, wybełkotała słowa pożegnania. Nagle powiedziała coś szczególnego:

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest w was, chłopcy, coś dziwnego. - In vino veritas. - Nie jesteście przez przypadek parą pedałów, co?

. 17 .

Jestem w martwym punkcie. Wyciszony, statyczny, zakotwiczony. Nie, to kłamstwo, a jeśli nawet nie kłamstwo, to na pewno błędny obraz, wadliwa zbitka metafor. Słabnę, bez przerwy słabnę. Moje fale odpływają. Zostaję obnażony jak nagi, skalisty brzeg, twardy jak żelazo, z wiszącymi pasmami brudnobrązowych wodorostów wyciągniętych ku uciekającemu morzu.

Zielony krab pośpiesznie ucieka. Tak, słabnę, to znaczą kurczę się, zanikam. Czy wiecie, że czuję się z tym całkiem dobrze? Oczywiście, moje nastroje zmieniają się, ale

Czuję się

Już teraz

Całkiem dobrze.

Już trzy lata mijają od chwili, gdy zacząłem niknąć wewnątrz siebie. Myślę, że zaczęło się to wiosną 1974 roku. Do tej pory wszystko działało bez zarzutu, mam na myśli moc - ilekroć jej potrzebowałem, zawsze była pod ręką, posłuszna, wykonując wszystkie swoje zwykłe sztuczki, służąc moim skrytym potrzebom. A potem bez ostrzeżenia, bez przyczyny, zaczęła obumierać. Drobne wady w odbiorze. Króciutkie epizody psychicznej impotencji. Kojarzę te wydarzenia z wczesną wiosną, poczerńiałymi zaspami późnego śniegu, który ciągle jeszcze leżał na ulicach. To nie mogło być ani w 75, ani 73 roku, więc mogę umiejscowić początek zaniku pomiędzy tymi datami. Usadowiłem się wygodnie i wślizgiwałem się do czyjejś głowy, chcąc odkryć jakiś skandal pozornie bezpiecznie ukryty, i nagle wszystko się zamazywało, stawało niejasne. To tak, jakbym czytał "Timesa" i zniemacka tekst zmieniał się w senny bełkot rodem z Joyce'a. Jakby klarowny, suchy raport o ostatnich błahych odkryciach prezydenckiej komisji kontroli transformował się w mglisty, niezrozumiały wywód bohaterów Joyee-'a. w takich wypadkach drżałem i wycofywałem się pełen strachu. Co byście zrobili, gdybyście po przebudzeniu odkryli, że nie jesteście w łóżku z miłością waszego życia, ale pieprzycie rozgwiadę? Jednak nie te niejasności i przesunięcia były najgorsze - najstraszniejsze były inwersje, całkowite odwrócenia sygnału. Na przykład tam, gdzie ziała ku mnie zimna nienawiść, odbierałem błysk miłości. Lub odwrotnie. Kiedy zdarza mi się coś takiego, mam ochotę walić głową o ścianę, by sprawdzić jej realność. Pewnego dnia odebrałem od Judyty silne fale seksualnego pożądania, przemożne, kazirodcze tęsknoty. Kosztowało mnie to świetny obiad, gdyż pobiegłem wstrząsany dreszczami obrzydzenia do toalety. To był błąd,

złudzenie - ona szykowała przeciwko mnie broń, a ja, głupiec, wziąłem to za strzały Amora. Cóż, potem zdarzały mi się chwile ciszy, krótkie przerwy w odbiorze podczas trwania kontaktu, później - pomieszane sygnały, splątane głosy; odbierałem dwa umysły naraz i nie byłem w stanie ich rozróżnić. Na jakiś czas zniknęła percepcja koloru. Co prawda powróciła, ale był to tylko jeszcze jeden omam. Utraciłem także parę innych zdolności, drobnych, niemniej efekt kumulował się.

Robię teraz listę rzeczy, których nie potrafię. Inwentaryzacja obumierania. Jak konający, przykuty do łóżka człowiek, sparaliżowany, ale nie pozbawiony możliwości obserwacji przygląda się bliskim rozkradającym jego dobytek. Tego dnia zniknął telewizor, następnego pierwsze wydania Thackeraya, innego sztuce, teraz wynieśli mojego Piranesiego, jutro pójda garnki i patelnie, weneckie żaluzje, krawaty i spodnie, a w przyszłym tygodniu zabiorą mi palce, jelita, rogówkę, jądra, płuca i nozdrza. Po co im moje nozdrza? Starałem się walczyć stosując zimne prysznice, długie spacery, grę w tenisa, ogromne dawki witaminy A i inne dające nadzieję i godne zaufania lekarstwa. Ostatnio eksperymentowałem poszcząc i oczyszczając swe myśli, ale takie zmagania wydają mi się teraz niewłaściwe, a nawet bluźniercze. Staram się pogodnie zaakceptować stratę z efektem, jaki mogliście przed chwilą zaobserwować. Ajschylos przestrzega, by nie walczyć z przeznaczeniem, tak jak Eurypides wierzę też Pindarowi, a gdybym sprawdził w Nowym Testamencie, sądzę, że tam również znalazłbym podobną przestrożę; więc jestem posłuszny, nie walczę, nawet gdy ostrza przeznaczenia są tak groźne. Akceptuję, godzę się. Czy widzicie, jak narasta we mnie akceptacja? Nie zróbcie błędu, bo mówię szczerze. Przynajmniej tego poranka, kiedy złote, jesienne słońce zalewa światłem mój pokój i otwiera moją poranioną duszę, czuję, że jestem na drodze do całkowitego pogodzenia się z losem. Leżę tutaj, ćwicząc techniki, które spowodują, że będę obojętny wobec zaniku mojej mocy. Szukam radości, która - wiem o tym - kryje się w świadomości upadku. Starzejcie się razem ze mną. Najlepsze jeszcze przed nami, końcówka życia, na którą pracowaliśmy. Czy w to wierzycie? Ja wierzę. Jestem coraz lepszy w

wierzeniu w różne sprawy. Czasami zdarza mi się uwierzyć w co najmniej sześć niemożliwych rzeczy jeszcze przed śniadaniem. Dobry stary Browning! Potrafi przynieść ulgę:

Więc powitajmy każdy cios,

Co czyni twardym ludzki los,

Każde żądło, co każe nie paść, nie trwać, lecz iść!

Niech niesie radość potrójny ból!

Walcz i lekko waż swój trud.

Tak. Oczywiście. I bólem jest potrójna radość, mógłby dodać. Oto radosny poranek. Kiedy wszystko ze mnie wycieka, odpływa. Wysącza się każdym porem.

* * *

Ogarnia mnie cisza. Kiedy to się skończy, nie będę mówił do nikogo. I nikt się do mnie nie odezwie.

* * *

Stoję tutaj nad muszlą klozetową, patrząc, jak cierpliwie wycieka ze mnie moc. Oczywiście, odczuwam z tego powodu smutek. Czuję żal, czuję - po co się oszukiwać? - gniew, bezsilność i rozpacz, a także, co dziwniejsze, czuję wstyd. Moje policzki płoną, nie potrafię patrzeć innym w oczy, z powodu tego wstydu ciężko mi stanąć twarzą w twarz z bliźnimi. Jakby powierzono mi coś niezwykle cennego, a ja zawiódłbym to zaufanie. Muszę powiedzieć światu - zmarnowałem moje talenty, roztrwoiłem mój majątek, pozwoliłem mu zniknąć, rozplynać się, jestem teraz bankrutem, bankrutem. To zażenowanie w obliczu katastrofy jest chyba naszą rodzinną cechą. My, Seligowie, lubimy okazywać światu naszą władzę. Chcemy być kapitanami własnych dusz i kiedy coś z zewnątrz zwycięża nas, jesteśmy zawstydzeni. Pamiętam, moi rodzice mieli kiedyś przez krótki okres samochód, ciemnozielonego chevroleta rocznik 1948 kupionego za absurdalnie niską cenę w 1950 roku. Jechaliśmy przez serce hrabstwa Queens, chyba na grób mojej babki. Taka doroczna

pielgrzymka. Nagle ze ślepej uliczki wyjechał samochód i uderzył w nas. Za kółkiem czarny, pijany i oszołomiony. Nikt nie został ranny, ale nasz błotnik był brzydko wgnieciony, a krata chłodnicy złamana. Firmowy znak T oznaczający model z 48 roku zwisał luźno. Mój ojciec z całą pewnością nie był odpowiedzialny za ten wypadek, mimo to robił się coraz bardziej czerwony, emanując gorączkowym zakłopotaniem, jakby tłumaczył się wobec wszechświata z czegoś tak głupiego jak to, że dopuścił do wypadku. Jak on się tłumaczył wobec tamtego kierowcy, mój ponury, zgorzkniały ojciec! Wszystko w porządku, w porządku, wypadki się zdarzają, nie musi pan się tym denerwować, niech pan popatrzy, nikomu nic się nie stało! Oglądnij se mój wózek, oglądnij se mój wózek, powtarzał czarny, z całą pewnością świadom tego, że jest podchmielony. A ja obawiałem się, że ojciec da mu pieniądze na naprawę. Na szczęście moja matka zażegnała niebezpieczeństwo. Tydzień później ciągle jeszcze czuł się zawstydzony. Zajrzałem do jego myśli, kiedy rozmawiał z przyjacielem, i zobaczyłem, że próbuje udawać, jakoby kierowcą była moja matka - oczywisty absurd - która nigdy nie posiadała prawa jazdy. Wtedy z kolei ja wstydziłem się za niego. Także Judyta, kiedy rozpadło się jej małżeństwo, kiedy znalazła się w niezwykle skomplikowanej sytuacji, odczuwała ogromny smutek i wstyd płynący z faktu, że ktoś tak zorganizowany i zaradny jak Judyta Hanna Selig wpakował się w marny, morderczy związek, wulgarnie zakończony rozprawą rozwodową. Ego, ego, ego. Ja, cudowny znawca umysłów, przeżywający tajemniczy upadek, tłumaczę się ze swoich zaniedbań. Zagubiłem gdzieś mój dar. Czy mi wybaczycie?

* * *

Przebaczyć - dobrze,

Zapomnieć - lepiej!

Cierpimy żyjąc,

umierając żyjemy.

Wyobraź sobie, panie Selig, że piszesz pan list. Panna Kitty Holstein, West coś tam, Sześćdziesiąta któraś Ulica, Nowy Jork. Adres sprawdzisz później. Nie przejmuj się kodem.

Droga Kitty!

Wiem, że od wieków nie miałaś ode mnie wiadomości, ale myślę, że nadszedł właściwy czas, by spróbować znowu złapać z tobą kontakt. Minęło trzynaście lat i chyba oboje dojrzeliliśmy przez ten okres. Stare rany zagoiły się i znów możemy się odnaleźć. Pomimo wszystkich nieporozumień, które kiedyś nas dzieliły, nigdy nie przestałem cię lubić i twoja postać jasno świeci w mej pamięci. Muszę ci coś wyznać, coś, co dotyczy mojego umysłu. Ostatnio nie radzę sobie z Tym zbyt dobrze. Pisząc To, mam na myśli moją sztuczkę, czytanie w umysłach, czego oczywiście nie mógłbym i tak stosować w stosunku do ciebie, mimo że to właśnie definiowało i kształtowało mój stosunek do wszystkich innych ludzi na świecie. I teraz ta siła chyba mnie opuszcza. Przysparzała nam tylu zmartwień, pamiętasz? I w końcu to ona nas ostatecznie rozdzieliła. Próbowałem to wyjaśnić w moim ostatnim liście, na który nigdy nie odpisałaś. W przyszłym roku, albo - kto wie? - za sześć miesięcy, za miesiąc, tydzień zupełnie ją utracę i stanę się zwykłą, ludzką istotą, taką jak ty. Nie będę już dłużej wybrykiem natury. Może wtedy będzie okazja, żeby odnowić naszą znajomość, przerwana w 1963. Może uda nam się zbudować ją na solidniejszej podstawie. Wiem, że zachowywałem się głupio. Byłem bezlitosny, nie akceptowałem cię takiej, jaką byłaś. Chciałem cię zmienić, zrobić z ciebie osobliwość, na swoje podobieństwo. Teoretycznie miałem powody, by tak postępować, ale oczywiście myliłem się, musiałem się mylić, ale zrozumiałem to, kiedy było już za późno. Według ciebie byłem dominującym, wszechmocnym dyktatorem - ja, taki miękki, zawsze trzymający się na uboczu! Ponieważ chciałem cię przekształcić. I wreszcie cię znudziłem. Oczywiście byłaś wtedy bardzo młoda, byłaś - czy mogę tak to ująć? - płytka, nieuformowana i oparłaś mi się. Ale teraz oboje jesteśmy dorośli i może bylibyśmy zdolni zacząć

jeszcze raz.

Nie jestem w stanie wyobrazić sobie mojego życia w skórze przeciętnego człowieka, który nie potrafi czytać z umysłów. Właśnie teraz przedzieram się przez mrok, szukając definicji siebie, szukając właściwych form. Poważnie myślę o przystąpieniu do Kościoła rzymskokatolickiego. (Dobry Boże, naprawdę? Pierwszy raz o tym słyszę! Zaduch kadzideł, mamrotanie księży - czy tego pragnę?) Nie wiem, może Kościół Episkopalny. To sprawa powrotu na łono ludzkiej rasy. A poza tym chcę się jeszcze raz zakochać. Chcę być częścią kogoś innego. Nawiązałem już nieśmiało, bojaźliwe stosunki z moją siostrą Judytą. Zakończyliśmy trwającą całe życie wojnę i po raz pierwszy próbujemy jakoś się wobec siebie znaleźć, i ten fakt dodaje mi odwagi. Ale potrzebuję czegoś więcej: miłości kobiety, nie tylko w seksualnym, lecz także w szerszym znaczeniu. Przydarzyło mi się to tylko dwa razy w życiu, raz z tobą, raz mniej więcej pięć lat później z dziewczyną o imieniu Toni, niezbyt do ciebie podobną. W obydwu przypadkach wszystko przepadło przez moją moc - w pewnej chwili za bardzo się zbliżyłem, by potem zachowywać bezsensowny dystans. Może teraz wreszcie, kiedy moja moc uchodzi ze mnie, umiera, byłaby szansa na normalny, ludzki związek pomiędzy nami, związek, który bywa udziałem większości ludzi. Ponieważ będę kimś zwykłym. Ponieważ będę kimś bardzo przeciętnym.

Ciekawi mnie, jaka jesteś. Masz teraz trzydzieści pięć lat. Wydaje mi się, że to bardzo dużo, chociaż sam ukończyłem już czterdzieści jeden. (Nie wiem, dlaczego czterdzieści jeden nie brzmi tak poważnie!) W moich myślach ciągle masz dwadzieścia dwa lata. Wydajesz się nawet młodsza - słoneczna, otwarta, naiwna. Rzecz jasna, był to obraz stworzony przez moją wyobraźnię. Nie wykorzystywałem żadnych wskazówek prócz zewnętrznych, nie stosowałem moich umysłowych sztuczek, więc Kitty, jaką widziałem, prawdopodobnie nie była tą prawdziwą. Mniejsza o to. Więc masz trzydzieści pięć lat. Przypuszczam, że wyglądasz na młodszą. Wyszłaś za męża? Na pewno tak. Czy szczęśliwie? Dużo dzieci? Nie rozwiodłaś się? Więc jak się teraz nazywasz, gdzie

mieszkaś, jak mogę cię znaleźć? I czy będziesz w stanie się ze mną widywać, jeśli jesteś mężatką? Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić jako absolutnie wiernej żony - czy to cię uraża? - więc w twoim życiu powinno znaleźć się trochę miejsca dla mnie. Przyjaciela, kochanka. Czy widzisz Toma Nyquista? Czy długo jeszcze się z nim spotykałaś po tym, jak zerwaliśmy? Czy byłaś na mnie zła o to, co napisałem ci o nim w liście? A jeśli twoje małżeństwo się rozpadło, albo jeżeli przypadkiem nigdy nie wyszłaś za mąż, czy zgodziłabyś się żyć ze mną? Nie jako żona, jeszcze nie, raczej jako towarzyszka. Żeby pomóc mi przejść przez ostatnie fazy tego, co się ze mną dzieje. Tak bardzo potrzebuję pomocy. Potrzebuję miłości. Wiem, że to marny sposób robienia komuś propozycji, taka forma oświadczeń: pomóż mi, pociesz mnie, zostań ze mną. Wolałbym zwrócić się do ciebie, będąc silny, nie słaby. Ale teraz jestem słaby. I jest ta kula ciszy, która rośnie w mojej głowie, coraz większa, coraz większa, wypełnia całą czaszkę jak wielka pusta przestrzeń. Cierpię na powolny wyciek rzeczywistości. Zamiast materii widzę już tylko krawędzie przedmiotów, i nawet one zaczynają mi się rozmazywać. O, Chryste. Kitty, potrzebuję cię. Kitty, jak mam cię odnaleźć? Kitty, ledwo cię znałem. Kitty, Kitty, Kitty.

* * *

Bang. Fałszywy akord. Bing. Pęknięta struna. Bong. Rozstrojona lira. Bang. Bing. Bong.

* * *

Drogie dzieci Boże, dzisiejszego ranka kazanie będzie krótkie. Chciałbym tylko, żebyście przemyśleli je, pomedytowali nad głębokim znaczeniem i tajemnicą tych paru wersów, które zamierzam przytoczyć według świątobliwego Toma Eliota. Jest to mądry przewodnik na czas smutków i kłopotów. Ukochani, zwracam wam uwagę na jego "Cztery kwartety", na tę paradoksalną linijkę: "W moim początku jest mój koniec", którą wraz z komentarzem powtarza parę stron dalej. "To, co nazywamy początkiem, często oznacza koniec/ A zakończyć coś znaczy rozpocząć". Niektórzy z nas, drogie dzieci, właśnie przeżywają swój koniec. To znaczy kończą się

te aspekty ich egzystencji, które uważali za najistotniejsze. Czy to jest koniec, czy też początek? Czy kres jednej rzeczy może nie być początkiem innej, nowej? Sądzę, ukochani, że zamknięcie jednych drzwi nie wyklucza otwarcia następnych. Oczywiście, przejście przez te nowe drzwi, kiedy nie wiemy, co nas za nimi czeka, wymaga odwagi. Jednak wierzący w Naszego Pana, który umarł za nas, ufający Temu, który przyszedł dla naszego zbawienia, nie muszą się obawiać. Nasze życie to wędrówka ku Niemu. Każdego dnia umieramy małą śmiercią, ale odradzamy się ze śmierci w śmierć, aż wreszcie odchodzimy w ciemność, w puste międzygwiazdne przestrzenie, gdzie On na nas czeka. Więc czemu mielibyśmy się bać, jeśli On tam jest? Lecz zanim nadejdzie ta chwila, przeżywajmy nasze dni, nie ulegając pokusie uzalania się nad sobą. Pamiętajcie, że świat ciągle jest pełen cudów, że zawsze jest coś nowego do zrobienia, a pozorny koniec nigdy nie bywa rzeczywistym kresem, a jedynie przejściem, przystankiem w drodze. Dlaczego okrywamy się żałobą? Czemu poddajemy się smutkowi, choćby nawet nasze życie było codziennym odejmowaniem? Jeśli tracimy t o, czy gubimy także t a m t o? Czy tracąc wzrok, tracimy też miłość? Jeżeli słabną uczucia, czy nie możemy powrócić do uczuć minionych i z nich czerpać pocieszenie? Wiele z naszego bólu jest tylko zagubieniem.

A więc cieszcie się w ten Dzień Pański, umiłowani, i nie zakładajcie sideł, w które sami moglibyście wpaść, nie pozwólcie sobie na nałóg grzesznego lubowania się w nieszczęściu, nie czyńcie fałszywych rozróżnień pomiędzy kresem a początkiem, lecz dążcie, zawsze poszukujący, ku nowym ekstazom, nowym związkom, nowym światom, i niech w waszych sercach nie będzie strachu, lecz tęsknota za Chrystusowym Pokojem. Czekajcie na to, co przyjsć musi. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

* * *

Oto, poza swym czasem, nadchodzi mroczna równonoc. Zbielały księżyc lśni jak prastara, wytarta czaszka. Liście kurczą się, opadają. Zamierają ognie. Zmęczona gołębica kołuje ku ziemi.

Ciemność rozrasta się. Wszystko przemija. Purpurowa krew zwalnia bieg w coraz węższych żyłach, chłód wdziera się w przeciążone serce, topnieje dusza, nie można już ufać nawet stopom. Słowa tracą znaczenie. Nasi przewodnicy zgubili drogę. Co było litą skałą, staje się przejrzyste. Wszystko odchodzi. Kolory blakną. To czas szarości, i boję się, że będzie jeszcze gorzej, już niedługo. Lokatorzy tego domu - myśli wyschłego mózgu w martwy sezon.

. 18 .

Kiedy Toni wyprowadziła się z mojego mieszkania przy 114 Ulicy, czekałem dwa dni, zanim podjąłem jakąkolwiek akcję. Przypuszczałem, że wróci, kiedy ochłonie. Spodziewałem się, że skruszona zadzwoni od jakiejś przyjaciółki, wyrazi żal, że wpadła w panikę, i poprosi, bym przyjechał po nią taksówką. Zresztą, nie byłem wtedy w stanie ruszyć palcem, bo dalej dręczyły mnie spóźnione efekty mojego "odjazdu". Czułem się tak, jakby ktoś schwycił mnie za głowę i ciągnął ją, aż moja szyja wydłużyła się jak gumowy wąż, a potem pozwolił jej opaść na miejsce z przenikliwym brzdęknięciem, które zmąciło mi umysł. Te dwa dni spędziłem w łóżku, głównie drzemiąc, od czasu do czasu zaglądając do jakiejś książki i szaleńczo pędząc do korytarza na każdy dzwonek telefonu.

Ale ona nie wróciła, nie zadzwoniła i we wtorek rozpocząłem poszukiwania. Najpierw zadzwoniłem do jej biura. Jej szef Teddy, łagodny, słodki, typ naukowca, delikatny, z pewnością homoseksualista. Nie, w tym tygodniu nie była w pracy. Nie, nie dała o sobie znać. Czy to pilne? Czy chciałbym jej domowy numer?

- Ja dzwonię z jej telefonu - odparłem. - Nie ma jej tu, nie wiem, gdzie się podziała. Mówi Dawid Selig.

- O - powiedział łagodnie z dużym współczuciem i: Och.

A ja odrzekłem:

- Gdyby tak zadzwoniła, powiedz jej, proszę, żeby się ze mną skontaktowała.

Potem zacząłem wydzwaniać do jej przyjaciółek, tych, których numery udało mi się odnaleźć: Alicja, Doris, Helena, Pam, Grace. Większość z nich nie lubiła mnie i dobrze o tym wiedziałem, nawet nie stosując telepatii. Uważały, że będąc ze mną, Toni gubi siebie, marnuje życie z facetem bez perspektyw, bez pieniędzy, ambicji, talentów, który nawet nie wygląda przyzwoicie. Cała piątka poinformowała mnie, że nie miały od Toni żadnej wiadomości. Doris, Helena i Pam mówiły chyba prawdę. Pozostała dwójka według mnie kłamała. Wziąłem taksówkę, podjechałem pod dom Alicji w Village i - bach! - zarzuciłem wędkę dziewięć pięter wyżej, do jej głowy. Dowiedziałem się o Alicji wielu rzeczy, o których wolałbym nie wiedzieć, ale Toni nie odnalazłem. Poczułem wyrzuty sumienia z powodu tego sondowania i Grace już nie szpiegowałem. Zamiast tego zadzwoniłem do mego pracodawcy, pisarza, którego książkę opracowywała Toni, i zapytałem, czy ją widział. Nie spotykał się z nią od tygodni, oświadczył lodowato. Ślepa uliczka. Ślad się urwał. Przez całą środę wahałem się, nie wiedząc, co począć i wreszcie melodramatycznie zadzwoniłem na policję. Przedstawiłem znudzonemu dyżurującemu jej opis: wysoka, szczupła, długie, ciemne włosy, brązowe oczy. Żadnych ciał nie znaleziono ostatnio w Central Parku? A w kubłach na śmieci, w metrze? A w piwnicach czynszowych kamienic przy Amsterdam Avenue? Nie. Nie. Nie. Słuchaj, stary, jak się czegoś dowiemy, to przedzwonimy, ale nie wydaje mi się, żeby to było coś poważnego. Więc policję też odfajkowałem. Niespokojny, beznadziejnie wyteżając wzrok, pomaszerowałem do "Wielkiego Szanghaju" na nieudany, nie dokończony obiad - zmarnowało się tyle dobrego jedzenia. (W Europie dzieci głodują, Dawidku. Jedz. No, jedz.) Później, siedząc nad smutnymi rozgrzebanymi resztkami krewetek z prażonym ryżem i pogrążając się coraz głębiej w żalobie, przeprowadziłem szybki test metodą, którą zawsze pogardzałem. Prześwietliłem parę spośród licznych, samotnych dziewczyn przesiadujących w rozległej restauracji, szukając samotnej, zmysłowej, łatwo dostępnej, zawiedzionej, takiej, która by pilnie potrzebowała potwierdzenia swojej wartości. To nie sztuka przespać się z kimś, kiedy dokładnie wiadomo, że dana osoba tego

potrzebuje, ale w polowaniu też nie ma wiele ze sportu. Ten mój ptaszek w klatce okazał się całkiem atrakcyjną męszką, mniej więcej w wieku dwudziestu pięciu lat, bezdzietną, której mąż, wykładowca Uniwersytetu Kolumbijskiego, najwyraźniej bardziej interesował się doktoratem niż żoną. Wszystkie wieczory spędzał zakopany w zbiorach Biblioteki Butlera, prowadząc swoje badania, do domu wkradał się późną nocą, zmęczony, poirytowany, niezdolny do miłości. Kiedy wziąłem dziewczynę do mojego pokoju, też miałem kłopoty ze wzwodem zmartwiła się. Odebrała to jako oznakę braku akceptacji jej osoby i... spędziłem dwie nużące godziny, wysłuchując historii jej życia. Ostatecznie udało mi się ją przelecieć. Skończyłem prawie natychmiast. Nie był to mój najlepszy występ. Gdy po odprowadzeniu jej - mieszkała na rogu 110 Ulicy i Riverside Drive - wróciłem do domu, zadzwonił telefon. Pam.

- Miałam wiadomość od Toni - powiedziała, a ja nagle skurczyłem się z poczucia winy po nieudanym skoku w bok, który miał mi przynieść pocieszenie. - Jest u Boba Larkina przy Wschodniej 83 Ulicy.

Rozpacz, zazdrość, upokorzenie, agonia.

- Bob jaki?

- Larkin. To jest ten wysokiej klasy dekorator wnętrz, o którym zawsze mówiła.

- Nie mnie.

- Jeden z jej najdawniejszych przyjaciół. Są sobie bardzo bliscy. Chyba chodził z nią, gdy była w szkole średniej.

Długa pauza. Potem Pam zachichotała ciepło, przerywając moje odrętwiałe milczenie.

- Och, Dawidzie, uspokój się. On jest homo! Jest dla niej czymś w rodzaju ojca-spowiednika!

Jedzie do niego, kiedy jest w kłopotach.

- Rozumiem.

- Zerwaliście ze sobą?

- Nie jestem pewien. Chyba tak. Nie wiem.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - tyle usłyszałem od Pam. Zawsze sądziłem, że uważa mnie za szkodliwe towarzystwo dla Toni i doradza jej zerwanie.

- Daj mi tylko numer jej telefonu.

Zadzwoiłem. Długo nikt nie odbierał. Wreszcie Bob Larkin podniósł słuchawkę. Rzeczywiście pedzio, słodki tenor okraszony seplenieniem, niezbyt różniący się od oficjalnego tonu Teddy'ego.

Kto uczy ich mówić z "homoseksualnym" akcentem?

Zapytałem: - Czy jest u ciebie Toni?

Ostrożna odpowiedź: - A kto mówi?

Powiedziałem. Poprosił, bym poczekał. Konferował z nią przez minutę lub nieco dłużej, zasłaniając dłonią słuchawkę. Wreszcie oświadczył, że owszem, Toni jest, ale czuje się bardzo zmęczona, odpoczywa i nie chce teraz ze mną rozmawiać.

- To pilne - nalegałem. - Powiedz jej, że to pilne.

Jeszcze jedna tajemnicza konferencja. Ta sama odpowiedź. Wymijająco zaproponował, żebym zadzwonił za dwa lub trzy dni. Zacząłem zmyślać coś, skomleć, błagać. W połowie tego niezbyt heroicznego przedstawienia słuchawka przeszła nagle z rąk do rąk i odezwała się Toni:

- Czemu dzwonisz?

- To chyba oczywiste. Chcę, żebyś wróciła.

- Nie mogę.

Nie powiedziała "nie chcę". Powiedziała "nie mogę".

- Czy mogłabyś wytłumaczyć mi dlaczego? - spytałem.

- Nie całkiem.

- Nie zostawiłaś nawet karteczki. Ani słowa wyjaśnienia. Wybiegłaś tak szybko.

- Przykro mi, Dawidzie.

- Chodzi o coś, co odkryłaś we mnie podczas "odjazdu", prawda?

- Nie mówmy o tym - odparła. - To już skończone.

- Nie chcę, żeby się skończyło.

- Ale ja tak.

"Ja tak". Brzmiało to jak zgrzyt wielkich wrót zamykających się tuż przed moją twarzą. Ale nie zamierzałem pozwolić, by zatrzasnęły się ostatecznie, przynajmniej nie od razu. Wspomniałem, że zostawiła u mnie trochę swoich rzeczy: parę książek, ubrań. Kłamstwo - wybierała wszystko do czysta. Ale kiedy mnie przyprą do ściany, potrafię być przekonujący i doszła do wniosku, że mogę mieć rację. Zaofiarowałem się przywieźć je natychmiast. Nie chciała mnie widzieć. Oświadczyła, że wolałaby nigdy mnie już nie spotkać. Tak będzie mniej bolało. Ale w jej głosie brakowało przekonania. Był wyższy i bardziej nosowy, niż w wypadku gdy mówiła szczerze. Wiedziałem, że ciągle jeszcze trochę mnie kocha - nawet po pożarze lasu niektóre z opalonych pni żyją i wypuszczają nowe, zielone pędy. Tak to sobie tłumaczyłem. Jaki byłem głupi. W żadnym razie nie potrafiłaby całkowicie mnie odrzucić. Tak samo jak nie mogła powstrzymać się od podniesienia słuchawki, a teraz nie zdobyła się na to, by zabronić mi tych odwiedzin. Mówiąc dużo i szybko zmusiłem ją do uległości. W porządku, westchnęła. Przychodź. Przychodź. Ale marnujesz tylko czas.

Była prawie północ. Letnie powietrze, lepkie i gęste, nosiło w sobie zapowiedź deszczu. Nie było widać gwiazd. Pędziłem przez ulice, krztusząc się wyziewami wilgotnego bruku i gorzkim smakiem mojej zniszczonej miłości. Mieszkanie Larkina znajdowało się na dziewiętnastym piętrze nowego, olbrzymiego, białego budynku z tarasami, daleko przy York Avenue. Otwierając drzwi obdarzył mnie łagodnym, współczującym uśmiechem, jak gdyby chciał powiedzieć: Ty biedny sukinsynie, zraniono cię, krwawisz i jeszcze raz chcesz nadstawić karku. Mógł mieć trzydzieści lat, układny mężczyzna o chłopięcej twarzy, długich, niesfornych, brązowych lokach i dużych

nierównych zębach. Promieniował ciepłem, sympatią i uprzejmością. Rozumiem, dlaczego Toni zwracała się do niego w ciężkich chwilach.

- Jest w salonie - powiedział. - Na lewo.

Było to duże, nienagannie zaprojektowane mieszkanie, trochę dziwaczne, z przebłyskami koloru tańczącymi po ścianach. W oświetlonych gablotkach znajdowały się przedmioty sztuki

prekolumbijskiej, wymyślne afrykańskie maski, wszędzie stały meble z chromowanej stali.

Ekskluzywne mieszkanie, jakie często widuje się na fotografiach zamieszczanych w niedzielnych

wydaniach "Timesa". Gwoździem programu był salon. Ogromny, biały pokój z długim,

półokrągłym oknem, które ukazywało cały splendor dzielnicy Queens, leżącej po drugiej stronie

East River. Toni siedziała w przeciwległym kącie, przy oknie, na narożnikowej kanapce obitej

granatowym, połyskującym złotem materiałem. Miała na sobie stare, zniszczone rzeczy, które

wyglądały koszmarnie na tle otaczającego ją zbytku: wyjedzony przez mole czerwony sweter,

którego nie znośił, krótką, niemodną, czarną spódnicę, ciemne rajstopy. Leżała ponuro na

plecach, opierając się na jednym łokciu, nogi niezdarnie wyciągnęła przed siebie. W tej pozycji

wyglądała na kościstą, pozbawioną wdzięku osobę. W ręce tlił się papieros, a w leżącej koło Toni

popielniczce zbierała się już spora sarta niedopałków. Spoglądała posepnie przed siebie. Jej

długie włosy były splątane. Nie poruszyła się, gdy szedłem w jej kierunku. Uderzyła we mnie taka

fala niechęci, że zatrzymałem się w odległości dwudziestu stóp.

- Gdzie są te rzeczy, które miałeś przywieźć? - spytała.

- Nic nie zostawiłaś. To była tylko wymówka.

- Tak myślałam.

- Co nam nie wyszło, Toni?

- Nie pytaj. Po prostu, nie pytaj, nie pytaj. - Jej głos opadł do najniższego rejestru. - Nie

powinieneś w ogóle tu przychodzić - dodała gorzkim, zachrypniętym altem.

- Gdybyś mi tylko powiedziała, co ja takiego zrobiłem...

- Próbowałaś mnie skrzywdzić - rzekła. - Próbowałaś zepsuć mój "odjazd".

Zgasiła papierosa, natychmiast zapalając następnego. Jej oczy, smutne, podkrążone, unikały mojego wzroku.

- Zdałam sobie w końcu sprawę, że jesteś moim wrogiem, że powinnam od ciebie uciec. Więc spakowałam się i odeszłam.

- Twoim wrogiem? Wiesz, że to nieprawda.

- To dziwne - zamyśliła się. - Nie rozumiem, co się stało. Rozmawiałam z paroma ludźmi, którzy brali często kwas, ale oni też nie potrafili tego wyjaśnić. Było tak, jakby nasze umysły połączyły się, Dawidzie. Jakby utworzył się pomiędzy nami telepatyczny kanał. I z twojego umysłu przepłynęły we mnie najróżniejsze rzeczy. Rzeczy pełne nienawiści, jadu. Przez głowę przelatywały mi twoje myśli. Widziałam siebie twoimi oczami. Pamiętasz, jak powiedziałeś, że też masz "odjazd", mimo że nie brałeś kwasu, a potem powiedziałeś mi, że czujesz się, jakbyś czytał w moim umyśle? To mnie przeraziło. Sposób, w jaki nasze umysły zlały się, nałożyły na siebie. Stały się jednym. Nigdy nie sądziłam, że kwas może robić takie rzeczy.

To był właściwy moment, by powiedzieć jej, że to nie tylko kwas działał, że to nie tylko narkotyczne złudzenie, ponieważ to, co czuła, było wynikiem działania specyficznej mocy, którą obdarowano mnie przy urodzeniu, tego daru, przekleństwa, wybryku natury. Ale słowa zamarły mi na ustach. To wszystko brzmiało tak wariacko. Jak mógłbym wyznać coś takiego. Pozwoliłem, by ten moment minął. Zamiast tego odezwałem się słabym głosem:

- O.K., to była dziwna sprawa dla nas obojga. Trochę straciliśmy głowę. Ale już po wszystkim.

Nie musisz się teraz przede mną ukrywać. Wracaj, Toni.

- Nie.

- A więc za parę dni?

- Nie.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Wszystko się zmieniło - tłumaczyła. - Już nigdy nie będę mogła być z tobą. Zbyt się ciebie boję. Działanie kwasu minęło, ale kiedy patrzę na ciebie, widzę demony. Pojawia mi się jakaś rzecz, pół nietoperz, pół człowiek, z wielkimi gumiatymi skrzydłami i długimi poźółkłymi kłami i... Och, Jezu, Dawidzie, nic na to nie poradzę! C i ą g l e wydaje mi się, że nasze umysły są połączone. Te rzeczy, które przekradają się z ciebie do mnie. Nie powinnam nigdy brać się za kwas.

Nieuważnie zgniotła w rękach papierosa i sięgnęła po następnego.

- Teraz też źle się przy tobie czuję. Chciałabym, żebyś już poszedł, twoja obecność przyprawia mnie o ból głowy. Proszę. Proszę. Przykro mi, Dawidzie.

Nie ośmieliłem się zajrzeć do jej umysłu. Obawiałem się, że to, co zobaczę, wykończy mnie.

Jednak w tamtych czasach moja moc była tak silna, że chcąc nie chcąc odbierałem ogólne mentalne promieniowanie niższego stopnia każdej osoby, z którą przebywałem. Obrazy płynące ku mnie od Toni potwierdzały to, co mówiła. Nie przestała mnie kochać. Ale kwas, choć alkaliczny, a nie żrący, zniszczył, skorodował nasz związek, otwierając pomiędzy nami te straszliwe wrota.

Przebywanie w tym samym pokoju, co ja było dla niej torturą. Nic na to nie mogłem poradzić.

Przemyślałem nad różnymi strategiami, brałem pod uwagę różne punkty widzenia, sposoby wyjaśnienia, uleczenia jej przy pomocy czułych, szczerych słów. Bez rezultatu. Nie znalazłem żadnego wyjścia. Zaaranżowałem w myśli co najmniej tuzin próbnych dialogów, ale wszystkie kończyły się jednakowo - obrazem Toni błagającej mnie, abym wycofał się z jej życia. Więc tak.

Koniec. Siedziała w absolutnym bezruchu, skurczona, z pociemniałą twarzą. Jej szerokie usta zacisnęły się w bólu, a jej promienny uśmiech znikł. Wydawało się, że jest o dwadzieścia lat starsza. Zniknęło gdzieś jej dziwne piękno egzotycznej księżniczki z dalekich pustyń, i nagle w tym

skurczu rozpaczy była dla mnie bardziej rzeczywista niż przedtem. Płonąca cierpieniem, jakże prawdziwa w tej udręce. A ja nie miałem żadnej możliwości, by jej dosięgnąć.

- Dobrze - powiedziałem cicho. - Mnie też jest przykro. Koniec. Już po wszystkim, gładko, niespodziewanie, bez ostrzeżenia - kula śpiewająca w powietrzu, granat, co złowrogo wtoczył się do namiotu, grom z jasnego nieba. Już po wszystkim. Znowu sam. I nawet jednej łzy. Płakać? Co miałbym opłakiwać?

Bob Larkin taktownie pozostał na zewnątrz, w swoim długim holu, wytapetowanym w mieniącym się czarno białym stylu op-artu; nie słyszał naszej przyciszonej rozmowy. Kiedy wychodziłem, zobaczyłem u niego ten sam łagodny uśmiech, jak wtedy gdy wchodziłem.

- Dziękuję, że o tej porze pozwoliłeś, żeby ci zawracać głowę.

- Żaden kłopot. Szkoda tylko ciebie i Toni. - Tak. Szkoda - przytaknąłem.

Patrzeliśmy na siebie niepewnie, a potem on przysunął się i przez krótką chwilę jego palce ścisnęły moje ramię, mówiąc mi bez słów, żebym się trzymał, pozbierał się do kupy, wyszedł cało z tej zawieruchy. Był tak otwarty, że niespodziewanie mój umysł zapadł się w niego i ujrzałem go jasno jak na dłoni - dobroć, uprzejmość, smutek. Z jego pamięci wyrastał ku mnie ostry, pełny obraz: on i Toni, przedwczoraj wieczorem, leżący nago na jego stylowym, okrągłym łóżku. Jej głowa przytulona do jego muskularnej, owłosionej piersi, ręce Boba bawiące się bladymi, ciężkimi kulami jej biustu. Ciało Toni drży z pożądania. Bob, chcąc zaofiarować jej pocieszenie, jakie niesie seks, walczy ze swą niechętną, opadającą męskością. Jego delikatną duszą targają sprzeczności - jest przepelniony litością i miłością dla Toni, ale jej niepokojąca kobiecość, te piersi, ten trójkącik, ta miękkość, działają odstręczająco. Nie musisz, Bob, powtarza Toni, nie musisz naprawdę nie musisz, ale on odpowiada, że chce, już najwyższy czas, żeby to zrobić, po tych wszystkich latach znajomości, i to cię podniesie na duchu, Toni, a poza tym, mężczyzna potrzebuje nieco odmiany, prawda? Jego serce biegnie ku niej, ale ciało stawia opór, i ich seks, kiedy wreszcie do niego

dochodzi, jest gwałtownym, patetycznym, niezdarnym połączeniem dwóch roztrzęsionych, niechętnych ciał, zakończonym łzami, dygotaniem, wspólnym cierpieniem i wreszcie śmiechem, triumfem nad bólem. On scałowuje jej łzy. Ona gorąco dziękuje za jego usiłowania. Jak dzieci zapadają w mocny sen, bok przy boku. Jakie to kulturalne, jakie delikatne. Moja biedna Toni.

Żegnaj, żegnaj.

- Cieszę się, że przyszła właśnie do ciebie - mówię. Odprowadza mnie do windy. Co miałbym opłakiwać?

- Jeśli z tego wyjdzie, przypilnuję, żeby do ciebie zadzwoniła - obiecuje. Kładę rękę na jego ramieniu, tak jak przedtem on na moim i obdarzam go najlepszym uśmiechem z mojego repertuaru.

Żegnaj.

. 19 .

Oto moja jaskinia. Dwanaście pięter do góry budynku na Marble Hill, róg Broadwayu i 228 Ulicy, kiedyś zespół mieszkań kwaterunkowych dla średnio zamożnych, teraz zbiorowa przystań dla pariasów i wykorzenionych, miejskich wyrzutków. Dwa pokoje z łazienką, kuchenka, hol. Kiedyś nie mogły mieszkać tu osoby niezamężne lub bezdzietne, lecz ostatnio wślizgnęło się paru samotnych pod pretekstem, że brak im środków do życia. Wszystko się zmienia, w miarę jak miasto podupada. Przepisy są łamane. Większość mieszkańców mojego budynku to Portorykańczycy, zdarzają się Irlandczycy i Włosi. W tej norze papistów Dawid Selig jest sporą anomalią. Czasem wydaje mu się, że winien jest swoim sąsiadom codzienną, okazałą porcję "Szema Izrael", ale nie zna słów. Może więc "Kol Nidre". Albo "Kaddisz". Oto chleb przymierza, który nasi dziadowie spożywali w ziemi egipskiej. Jest szczęśliwy, że wywieziono go z Egiptu do Ziemi Obiecanej.

Czy reflektujecie na wycieczkę z przewodnikiem po pieczarze Dawida Seliga? Proszę tędy. Bez dotykania i proszę nie przylepiać do mebli waszej gumy do żucia. Ten przemiły, wrażliwy,

inteligentny, neurotyczny mężczyzna, który będzie naszym przewodnikiem, to nie kto inny, jak sam Dawid Selig. Podszczypywanie zabronione. Witajcie, moi drodzy, witajcie w moich skromnych progach. Zwiedzanie zaczniemy od łazienki. Spójrzcie, to jest wanna - ta zielona plama na porcelanie była już, kiedy Selig się wprowadził. To jest kosz na śmieci, to szafka na lekarstwa. Selig spędza tutaj mnóstwo czasu. To pomieszczenie jest niezwykle ważne dla głębszego zrozumienia jego egzystencji. Na przykład, czasami bierze dwa lub nawet trzy prysznice w ciągu dnia. O co tu chodzi, jak myślicie, co on próbuje z siebie zmyć? Zostaw tę szczoteczkę, synku. W porządku, chodźcie za mną. Czy widzicie te plakaty w holu? To przedmioty sztuki z lat sześćdziesiątych. Ten przedstawia poetę Allena Ginsberga w przebraniu Wujka Sama. Ten jest nieokrzesaną wulgaryzacją subtelnego, topologicznego paradoksu, wykonaną przez duńskiego grafika M. C. Eschera. Tamten pokazuje młodą, nagą parę uprawiającą miłość wśród fal Pacyfiku. Osiem lub dziesięć lat temu setki tysięcy młodych ludzi dekorowało swoje mieszkania takimi plakatami. Selig, choć nawet wtedy nie był już właściwie młody, postępował tak samo. Często poddawał się aktualnym trendom czy modom, chcąc jak najściślej włączyć się w nurt współczesnej egzystencji. Przypuszczam, że te plakaty mają teraz całkiem sporą wartość. Selig taszczy je ze sobą z jednej taniej kwatery do drugiej.

Ten pokój to sypialnia. Długa i wąska, z niskim sufitem charakterystycznym dla budownictwa komunalnego poprzedniej generacji. Okno trzymam zawsze zamknięte, tak więc napowietrzny pociąg, pędząc z hukiem poprzez nocne niebo, nie jest w stanie mnie obudzić. Zresztą, nawet kiedy wokół panuje cisza, trudno jest mi zasnąć. Oto łóżko, w którym śni swoje niespokojne sny, od czasu do czasu odczytując niechcący myśli sąsiadów i wplatając je w swoje marzenia. Na tym łóżku uprawiał nierząd co najmniej z piętnastoma kobietami. Podczas jego dwuipółrocznego pobytu, każda z nich pojawiała się raz, dwa, najwyżej trzy razy. Proszę się nie czerwienić, młoda damo! Seks to zdrowa, ludzka rzecz i nawet teraz, w średnim wieku, pozostaje jednym z

ważniejszych aspektów życia Seliga. W przyszłości może zyskać jeszcze większe znaczenie, ponieważ jest to, mimo wszystko, sposób nawiązywania kontaktów z istotami ludzkimi, a zdaje się, że inne metody są coraz bardziej poza zasięgiem jego możliwości. Kim są te dziewczyny? Część z nich to nie dziewczęta, lecz kobiety, które dużo widziały już w swoim życiu. Podbija je urokiem swojej nieśmiałości, namawia, by dzieliły z nim godzinę szczęścia. Rzadko zaprasza je ponownie, a często zdarza się, że zaproszone odrzucają propozycję. Ale to nie ma znaczenia. Jego potrzeby są zaspokajane. O co chodzi? Że piętnaście dziewczyn w ciągu prawie trzech lat to niezbyt dużo jak na kawalera? A kim jesteście, żeby go osądzać? On jest zadowolony. Zapewniam was, że jest zadowolony. Proszę nie siadać na jego łóżku. To stary mebel, kupiony w składzie z używanymi rzeczami, prowadzonym przez Armię Zbawienia w Harlemie. Dostałem je za parę dolców podczas przeprowadzki z mojej ostatniej kwatery - umeblowanego pokoju przy St. Nicholas Avenue. Potrzebowałem wtedy trochę własnych mebli. Parę lat wcześniej, mniej więcej w roku 1971 lub 72, posiadałem łóżko wodne (jeszcze jeden przykład mojego gonienia za nowinkami), ale nie mogłem przyzwycząić się do tego bulgotania i przelewania, i w końcu podarowałem je młodej hippisce, która używała je najczęściej do podskakiwania. Co jeszcze znajduje się w sypialni? Obawiam się, że nic specjalnie ciekawego. Komoda z szufladami pełna najzwyczajniejszych ubrań. Para zużytych papci. Pęknięte lustro - jesteście przesądni? Koślawa biblioteczka zapchana po brzegi starymi pismami, do których Selig nigdy już nie zajrzy - "Partisan Review", "Evergreen", "Paris Review", "New York Review of Books", "Encounter" - stos modnych magazynów literackich i parę czasopism z zakresu psychoanalizy i psychiatrii, które Selig czytuje sporadycznie, chcąc pogłębić wiedzę o samym sobie. Niestety, zawsze odkłada je, rozczarowany i znudzony. Wyjdźmy stąd. Ten pokój musi działać na was przygnębiająco. Przechodzimy do kuchni - czteropalnikowy piecyk, mała lodówka, stół z fornirowanym blatem, gdzie spożywa skromne śniadania i lunchy (obiady z reguły je na mieście). I wreszcie gwóźdź programu - wytapetowany na niebiesko, zagracony pokój-

studio.

Możecie tutaj zaobserwować całe intelektualne bogactwo Dawida Seliga. Oto jego kolekcja płyt, ponad setka spracowanych dysków, niektóre zakupione jeszcze w 1951 (archaiczne płyty monofoniczne!) W zasadzie jest to wyłącznie muzyka klasyczna, choć z pewnością odnotujecie dwie, obce duchowo grupy: pięć lub sześć jazzowych krążków datujących się z roku 1959 i pięć lub sześć płyt rockowych z 1969 roku. Wszystkie zakupione w niejasnym i niezrealizowanym zamiarze poszerzenia jego horyzontów i upodobań. Poza tym wszystko, co tu znajdziecie, to ciężkie, trudne w odbiorze utwory: Schoenberg, późny Beethoven, Mahler, Berg, kwartety Bartoka, pasakalie Bacha. Nic, co można by zagwizdać po pierwszym przesłuchaniu. Selig nie zna się na muzyce, ale ma dość wyrobiony gust - nie ma co poświęcać temu zbyt wiele uwagi.

Oglądamy teraz jego książki zbierane od czasu, gdy miał dziesięć lat, przenoszone z miłością z mieszkania do mieszkania. Możemy z łatwością wyodrębnić i archeologicznie przebadać pokłady jego lektur. Na samym dole Juliusz Verne, H. G. Wells, Mark Twain, Dashiell Hammett. I jeszcze Sabatini. Kipling. Sir Walter Scott. "Historia ludzkości" Van Loona. "Wielcy konkwistadorzy Południowej i Centralnej Ameryki" Verrilla. Książki bystrego, uczciwego, samotnego chłopca. W okresie dojrzewania nagły przeskok: Orwell, Fitzgerald, Hemingway, Hardy, łatwiejszy Faulkner. Spójrzcie na rzadko już dziś spotykane książki z lat czterdziestych i pięćdziesiątych - papierowe okładki, dziwaczne nieznormalizowane formaty, czasem pokryte plastikową folią. Spójrzcie, co można było kupić za jedne dwadzieścia pięć centów! Spójrzcie na te zmysłowe ilustracje, krzykliwe liternictwo! Z tego samego okresu datują się książki science-fiction. Pożerałem je w nadziei, że odnajdę w nich klucz do mojej własnej, nieuporządkowanej jaźni. Zagłębiałem się w fantazje Bradbury'ego, Heinleina, Asimova, Sturgeona, Clarke'a. Tutaj mamy "Dziwaczego Johna" Stapledona, tam stoi "Cud w Hambdenshire" Beresforda. Obok znajduje się opasła książka zatytułowana "Outsiderzy: cudowne dzieci", pełna opowieści o małych brzdącach obdarzonych

nadnaturalnymi zdolnościami. Podkreśliłem tam wiele fragmentów, szczególnie te miejsca, gdzie nie zgadzałem się z autorem. "Outsiderzy"? Sądzę, że to właśnie ci utalentowani autorzy, próbujący wyobrazić sobie moc, jakiej nigdy nie posiadali, byli outsiderami. W tej grze ja, żyjąc z tym problemem, ja, młody łowca umysłów (książka pochodzi z 1954 roku) miałem w ręku wszystkie atuty. Podkreślali przerażenie, jakie towarzyszy mocy, zapominając o ekstazie. Jednakże, kiedy teraz myślę o tym połączeniu przerażenia i ekstazy, to muszę im przyznać, że wiedzieli, o czym piszą. Moi kochani, dzisiaj nie mam już tylu asów w rękawie. Jestem w uliczce szczurów, gdzie martwi nie mogą już dłużej grać swoimi kośćmi.

Zaobserwujcie, jak wyszukane stały się lektury Seliga w jego okresie uniwersyteckim. Joyce, Proust, Mann, Eliot, Pound, wszyscy klasycy awangardy. Okres francuski: Zola, Balzac, Montaigne, Celine, Rimbaud, Baudelaire. Opasłe tomiska Dostojewskiego zajmują połowę półki. Lawrence, Woolf. Okres mistyczny: święty Augustyn, święty Tomasz z Akwinu, "Tao Te Ching", "Upaniszady", "Bhagavad-Gita". Era psychologii: Freud, Jung, Adler, Reich, Reik. Czas filozofii: czas marksizmu, cały Koestler. Powrót do literatury: Conrad, Forster, Beckett. Przesuwając się w kierunku różnorodności lat sześćdziesiątych: Bellow, Pynchon, Malamud, Mailer, Burroughs, Barth. "Paragraf 22" i "Polityka doświadczenia". O tak, panie i panowie, jesteście w towarzystwie czytanego człowieka!

A oto jego papiery. Skarbnica wiadomości czekająca na nieznanego biografę. Opinie szkolne, zawsze ze słabymi stopniami ("Dawid wykazuje małe zainteresowanie swoją pracą i często przeszkadza w prowadzeniu lekcji"). Niewprawnie nagryzłone ołówkiem kartki urodzinowe dla rodziców. Stare fotografie: czy to możliwe, żeby ten gruby, piegowaty chłopiec był tym wychudzonym osobnikiem, który stoi teraz przed wami? Mężczyzna z wysokim czołem i wymuszonym uśmiechem - to nieżyjący już Paul Selig, ojciec naszego bohatera, zmarły (olaw hasholom 11 sierpnia 1971 z powodu komplikacji po operacji wrzodu. Ta siwowłosa kobieta z

nadczynnością tarczyca to nieżyjąca Marta Selig, żona Paula, matka Dawida, zmarła (Oj, weh, mama 15 marca 1973 roku. Powodem była tajemnicza choroba, prawdopodobnie rak. Ponura, młoda dama o chłodnej, ostrej jak brzytwa twarzy to Judyta Hanna Selig, adoptowane dziecko Paula i Marty, niekochająca siostra Dawida. Z tyłu fotografii data: lipiec 1963. A więc Judyta miała wtedy osiemnaście lat, a jej nienawiść ku mnie była w pełnym rozkwicie. Jak bardzo przypomina na tym zdjęciu Toni. Nigdy wcześniej nie zauważyłem tego podobieństwa, ale obie reprezentują ten sam mroczny, arabski typ urody, te same długie czarne włosy. Ale oczy Toni zawsze były ciepłe i kochające, z wyjątkiem naszych ostatnich wspólnych chwil. Oczy Judyty ofiarowały mi tylko lód, lód, zimny jak na Plutonie lód. Kontynuujmy przegląd prywatnych zbiorów Dawida Seliga. To kolekcja jego esejów i prac semestralnych napisanych w ciągu lat spędzonych na uniwersytecie. ("Carew jest eleganckim poetą dworskim, którego dzieło odzwierciedla wpływy zarówno precyzyjnego klasycyzmu Jonsona, jak i dziwacznej groteskowości Donne'a - co stanowi interesującą syntezę. Jego utwory są sprawnie skonstruowane i celne językowo. W takim wierszu, jak Nie pytaj, pani... perfekcyjnie uchwycił harmonijną surowość Jonsona. W innych, takich jak Pogróżka pięknej. niewdzięcznicy czy Mierność w miłości odrzucona, jego dowcip pokrewny jest poczuciu humoru Donne'a.") Jak dobrze się złożyło, że D. Selig zachował wszystkie swoje literackie wypociny. Teraz, w późniejszych latach te prace stanowią kapitał, z którego czerpie. Wiecie, oczywiście, jak nasz bohater zarabia na życie. Co jeszcze można znaleźć w tym archiwum? Kopie niezliczonych listów. Niektóre z nich to nieosobiste orędzia. Drogi prezydentowi Eisenhower. Drogi papieżowi Janie. Szanowny Sekretarzu Generalny Hammarskjöld. Kiedyś często wysyłał takie listy do odległych zakątków naszego globu. Dorywcze, unilateralne wysiłki nawiązania kontaktu z głuchym światem. Jego niespokojne, bezskuteczne próby przywrócenia porządku we wszechświecie, który zmierza ku ostatecznej, termodynamicznej zagładzie. Może powinniśmy spojrzeć na kilka z tych dokumentów? Mówi pan, gubernatorze Rockefeller, że "przy ciągle

rosnących zasobach broni nuklearnej nasze bezpieczeństwo zależy od tego, na ile możemy polegać na naszej chęci traktowania ich jako czynnika odstrasżającego. Na nas politykach, a zarazem obywatelach, ciąży odpowiedzialność za ochronę życia i zdrowia naszego narodu. Nie można usprawiedliwić słabości naszej obrony cywilnej przekonaniem, że wojna nuklearna byłaby tragedią i że musimy powstrzymać się od wszelkiej aktywności, aby zapewnić pokój". Pozwoli pan, że się nie zgodzę. Pański program ochrony atomowej, gubernatorze, to projekt umysłu niedojrzałego moralnie. Zaprzestanie poszukiwań trwałego pokoju po to, by przeznaczyć całą energię i środki finansowe na ten strusi pomysł chowania głowy w piasek, jest głupią i niebezpieczną polityką...

W odpowiedzi gubernator przesłał mi swoje podziękowania i kopię przemówienia, przeciwko któremu protestowałem. Czego więcej można oczekiwać? Panie Nixon, cała pańska kampania sprowadza się do teorii, że za prezydenta Eisenhowera Amerykanom nie było tak dobrze jak przy Panu, więc czemu nie pozwolić sobie na jeszcze cztery równie dobre lata? Według mnie zachowuje się Pan jak Faust wołający do czasu, który minął. Bleibe doch, du bist so schoen! (Czy to nie jest zbyt literackie dla Pana, Panie Wiceprezydencie?) Proszę zwrócić uwagę, że kiedy Faust wypowiada te słowa, pojawia się Mefistofeles, by pojąć jego duszę. Czy może Pan uczciwie powiedzieć, że obecny okres jest tak wspaniały, że warto by zatrzymać zegary? Niech Pan wsłucha się w udrękę tej ziemi. Niech Pan posłucha głosu Murzynów z Missisipi, krzyków głodnych dzieci pracowników fabryk wyrzuconych z pracy przez republikańską recesję, niech Pan poducha...

Szanowna Pani Hemingway, proszę pozwolić, bym dodał te kilka stów do tysięcy wyrażających smutek w obliczu śmierci Pani Męża. Odwaga, jaką wykazał w sytuacjach życiowych, tak trudnych do udźwignięcia, jest naprawdę przykładem dla tych z nas, którzy... Szanowny dr. Buber...

Szanowny Profesorze Toynbee... Szanowny Prezydencie Nehru... Drogi Panie Pound! Cały cywilizowany świat łączy się z panem w wysiłkach zmierzających do uwolnienia pana z okrutnego i nienaturalnego odosobnienia, które... Drogi Lordzie Russell... Drogi Sekretarzu Chruszczow...

Drogi M. Malraux... drogi... szanowny... drogi... Musicie przyznać, że to znacząca kolekcja listów. I równie znaczących odpowiedzi. Spójrzcie, tu napisano: Być może ma pan rację. Tam: Dziękujemy za pańskie zainteresowanie. Ta karteczka głosi: Nie mamy niestety czasu, by indywidualnie odpowiadać na wszystkie listy, niemniej może pan być pewien, że szczegółowo przemyślimy pańskie uwagi. A tutaj mamy coś zupełnie innego: Wyślijcie temu sukinsynowi wariackie papiery.

Niestety, nie jesteśmy w posiadaniu wymyślonych listów, które Selig nieustannie układa, nigdy ich nie wysyłając. Drogi panie Kierkegaard. Całkowicie zgadzam się z pańskim stawnym stwierdzeniem, stawiającym znak równości między słowem "absurd" a wyrażeniem, faktem jest, że w obecności Boga wszystko jest możliwe", a także z deklaracją "absurd nie jest jednym z czynników, które znajdują się w zasięgu naszego rozumienia - nie jest tożsamy z niemożliwym, nieoczekiwanym, nieprzewidywalnym". Moje własne doświadczenie absurdu... Drogi panie Shakespeare! Jak świetnie ujął pan to w słowa. "Miłością nie jest miłość, co się zmienia / Lub jako rzeczy jest powyginane". Jednakże pański sonet doprasza się pytania: jeśli miłość nie jest, miłością, czymże jest to uczucie bliskości, które tak absurdalnie i niespodziewanie można zniszczyć byle błahostką? Gdyby mógł pan zasugerować jakiś alternatywny, życiowy sposób nawiązywania kontaktów z innymi, którzy... Niestety, nie mamy satysfakcjonującego dostępu do tej korespondencji, którą Selig produkuje czasami z szybkością stu listów na godzinę. Jako produkt przelotnych impulsów, są one przemijające, i często niezrozumiałe. Drogi Panie Sędzio Holmes! W sprawie Pacific Company przeciwko Jensenowi, 244 U.S. 205, 221 (1917), postanowił Pan: "Stwierdzam bez wahania, że sędziowie ustanawiają i powinni ustanawiać prawa, ale czynią to wyrywkowo w ramach istniejących już praw, nie poruszają się w kategoriach mas, lecz cząsteczek". Ta wspaniała metafora nie jest dla mnie talkiem zrozumiana. 1...

* * *

Drogi Panie Selig,

Współczesny świat i życie jako takie znajdują się dzisiaj w stadium choroby. Gdybym był lekarzem i poproszono by mnie o poradę, moja odpowiedź brzmiałaby: twórcie ciszę. Szczerze oddany,

Soren Kierkegaard

(1813-1855)

* * *

Leżą przede mną te trzy teczki - gruby beżowy karton. Nie udostępniono ich szerokiej publiczności, ponieważ listy, które zawierają, należą do rzeczy osobistych. Pozostając w zgodzie z warunkami naszej umowy z Fundacją Dawida Seliga, nie jestem upoważniony do prezentowania cytatów, mogę jednak parafrazować. Mamy tutaj jego listy do - a czasami od - dziewcząt, które kochał lub chciał kochać. Najwcześniejszy datuje się z 1950 roku. Na samej górze widnieje notka zapisana dużymi, czerwonymi literami - NIGDY NIE WYSŁANO. Zaczyna się od słów "Droga Beverly", a poniżej roi się od żenujących graficznych tworów seksualnej wyobraźni. Czy mógłbyś opowiedzieć nam o tej Beverly, Selig? Cóż, była niska, zgrabniutka, piegowata, o wielkich piersiach i wesołym usposobieniu. Siedziała przede mną na lekcjach biologii. Miała wstrętą siostrę bliźniaczkę, Estellę, z wiecznie skwaszoną miną, i z powodu jakiegoś genetycznego wybryku Estella była tak płaska, jak Beverly piersiasta. Może dlatego była taka wściekła. Estella lubiła mnie na swój gorzki, ponury sposób, i myślę, że mogłaby się nawet ze mną przespać, co niewątpliwie dobrze by wpłynęło na moją piętnastoletnią osobowość. Ale ja pogardzałem nią. Wyglądała jak krostowata, źle wykonana imitacja mojej ukochanej Beverly. Godzinami włóczyłem się na bosaka po jej mózgu, podczas gdy pani Mueller, nauczycielka, głądziła o mitozie i chromosomach. Beverly właśnie ofiarowała swoje jabłuszko Wiktorowi Schlitzowi, wielkiemu, kościstemu chłopakowi o rudych włosach i zielonych oczach, który siedział obok niej. Wtedy to za

jednym zamachem sporo się dowiedziałem o seksie. Każdego ranka z dwunastogodzinnym opóźnieniem wypromieniowywała z siebie wieczorną przygodę z Wiktorem. Nie byłem o niego zazdrosny. Pewny siebie, przystojny, zasługiwał na nią w zupełności, a ja i tak byłem zbyt nieśmiały i wewnętrznie rozchwiany, by spać z kimkolwiek. Więc w sekrecie odbywałem przejażdżkę na grzbiecie ich romansu. Wyobrażałem sobie, że to ja robię z nią te wszystkie wspaniałe rzeczy zamiast Wiktora, aż wreszcie desperacko zapragnąłem przebywać z nią w rzeczywistości. Ale przejrząwszy jej myśli, dowiedziałem się, że jestem dla niej tylko zabawnym, małym gnomem, dziwakiem, błaznem. Więc jaką miałem wybrać taktykę? Napisałem do niej ten list, opisując w soczystych detalach wszystko, co wyprawiała z Wiktorem, i spytałem: "Nie dziwi cię, jak się tego dowiedziałem, he he he? Miało to sugerować, że jestem czymś w rodzaju supermana, który jest władny dotrzeć do największych tajemnic kobiecego umysłu. Uważałem, że w przyływie strachu rzuci się prosto w moje ramiona, ale po chwili doszedłem do innego wniosku - pomyśli, że zwariowałem albo jestem podglądaczem. W każdym razie, z pewnością się ode mnie odwróci. Odłożyłem nie wysłany list pomiędzy moje szpargały. Pewnej nocy moja matka odnalazła go, ale nie odważyła się o tym wspomnieć - tematyka seksualna była dla niej całkowitym tabu. Włożyła list z powrotem do mojego zeszytu. Tej nocy uchwyciłem jej myśli i odkryłem, że rzuciła na niego okiem. Czy była zaszokowana, poruszona? Tak, ale przede wszystkim czuła się dumna - jej chłopiec okazał się wreszcie mężczyzną piszącym pieprzne liściki do ładnych dziewczyn. Mój syn, erotoman.

Większość z listów w tym zbiorze została napisana pomiędzy 1954 a 1968 rokiem. Ostatni powstał jesienią 1974 roku. Potem Selig czuł się coraz bardziej odseparowany od reszty ludzkości i zaprzestał pisywania listów, pomijając te wymyślone we własnej głowie. Nie wiem dokładnie, do ilu dziewcząt pisywał, ale do kilku na pewno. W większości były to powierzchowne związki. Jak wiecie, Selig nigdy się nie ożenił, rzadko też nawiązywał poważne kontakty uczuciowe z

kobietami. Tak jak w przypadku Beverly, z tymi, które kochał najbardziej, z reguły nie utrzymywał żadnych stosunków, choć z drugiej strony potrafił udawać miłość do kogoś, kto był zaledwie przypadkowym epizodem w jego życiu. Zdarzało się, że świadomie wykorzystywał swój szczególny dar - by zdobywać kobiety (szczególnie, gdy miał dwadzieścia pięć lat). Nie chwali się tymi osiągnięciami. I co, nie macie ochoty przeczytać tych listów, wy, śmierdzący podglądacze? To wam się nie uda. Nie dostaniecie ich w swoje łapska. W takim razie, po co was tu zaprosiłem? Dlaczego pozwoliłem wam gapić się na moje książki i fotografie, niepomyte naczynia i poplamioną wannę? Chyba powodem jest moje zanikające poczucie własnej tożsamości. Odosobnienie niszczy mnie - okna są zamknięte, ale przynajmniej otworzyłem drzwi. Dzięki wam, dzięki temu, że macie wgląd w moje życie, że wciągacie je w orbitę własnych doświadczeń, nie tracę kontaktu z rzeczywistością. Pomagacie mi, odkrywając, że istnieję, że cierpię, że jeśli nie przyszłość, to mam przynajmniej przeszłość. Będziecie mogli odejść stąd, mówiąc: Tak, znam Dawida Seliga, właściwie znam go całkiem dobrze. Ale to jeszcze nie znaczy, że mam wam wszystko pokazać. Hej, jest tutaj list do Amy! Amy, która uwolniła mnie do mego butwiejącego dziewictwa wiosną 1953 roku. Czy nie mielibyście ochoty wysłuchać tej historii? Pierwszy raz zawsze ma jakiś nieodparty urok. Nie, odpieprzcie się; nie mam ochoty o tym mówić. Zresztą, to żadna historia. Włożyłem jej i miałem orgazm, a ona nie, i to wszystko. A jeśli ciekawi was cała reszta, kim była, jak ją uwiodłem, musicie sami wymyślić odpowiednie szczegóły. Gdzie jest teraz Amy? Umarła. Jak wam się to podoba? Żyje dłużej niż jego pierwsza dziewczyna. W wieku dwudziestu trzech lat zginęła w wypadku samochodowym i jej mąż, wiedząc, że kiedyś byłem jej przyjacielem, powiadomił mnie o tym telefonicznie. Policja zmusiła go do zidentyfikowania ciała. Amy była pokaleczona, zniekształcona. Wyglądała jak coś z innej planety, powiedział mi. Ciągle jeszcze był w szoku. Wyleciała przez przednią szybę i uderzyła w drzewo, dodał. A ja odparłem: Amy była moją pierwszą dziewczyną. Więc on zaczął mnie pocieszać. Pocieszać mnie, który chciałem tylko

zadać mu ból. Czas mija. Amy nie żyje i mogę się założyć, że Beverly jest pulchną, podstarzałą gospodynią domową. A to jest list do Jackie Newhouse, w którym informuję ją, że myśl o niej spędza mi sen z oczu. Jackie Newhouse? Któż to jest? Ach, tak. Pięć stóp i dwa cale wzrostu, para cycków, które przygięłyby do ziemi Marilyn Monroe. Wąskie usteczka, dziecięco-błękitne oczęta. Jackie nie miała w sobie nic interesującego poza biustem, ale to w zupełności mi wystarczało. Miałem siedemnaście lat i Bóg jeden wie, dlaczego tak pasjonowałem się biustami. Kochałem ją za te sutki, tak krągłe i okazałe pod jej obcisłą, ulubioną, białą koszulką polo. Lato roku 1952. Kochała się we Franku Sinatrze i Perrym Como, w związku z czym na lewej nogawce jej džinsów widniał wypisany szminką napis FRANKIE, a na prawej PERRY. Kochała też nauczyciela historii. Nazywał się, o ile pamiętam, Leon Sissinger czy Zippinger, lub coś w tym rodzaju, więc imię Leon też znajdowało się na jej džinsach, rozstrzelone od biodra do biodra. Pocałowałem ją dwa razy i to wszystko, nawet nie włożyłem jej języka w usta. Była jeszcze bardziej nieśmiała niż ja, przerażona myślą, że jakaś odrażająca męska ręka mogłaby zbezczęścić te wspaniałe, nieskalane bufory. Kręciłem się przy niej, starając się nie zaglądać do jej głowy, zgnębiony perspektywą panującej tam pustki. Jak się to wszystko skończyło? Ach, tak. Jej młodszy brat, Arnie, zanudzał mnie opowieściami, jak to bez przerwy podgląda ją chodzącą nago po domu, a ja rozpaczliwie łaknąc widoku jej obnażonych piersi zakradłem się do wnętrza jego czaszki. Udało mi się wydobyć replikę jej obrazu. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak ogromny wpływ na wygląd ma stanik. Oswobodzone, te wielkie balony kładły się na jej pulchnym, drobnym ciałku jak dwa zwisające połcie mięsa, poprzecinane nabrzmiałymi, błękitnymi żyłkami. Wyleczyłem się z mojego obłędu. Jak to było dawno, jakie wydaje się to nierealne. Jackie.

Przyjrzyjcie się. Pospieszcie mnie. Moje namiętne, szaleńcze, miłosne wypociny.

Przeczytajcie je, nie dbam o to. Donna, Elsie, Magda, Mona, Sue, Lois, Karen. Czy uważacie, że z moim życiem seksualnym było coś nie tak? Sądzicie, że moje wykoślawione dojrzewanie

uniemożliwiło mi prawidłowe kontakty z kobietami, kiedy byłem już mężczyzną? Pomiędzy ich udami zdobywałem moją siłę życiową. Droga Connie, cóż to była za dzika noc! Droga Chiquito, w powietrzu ciągle jeszcze drży zapach twoich perfum. Kochana Elaine, kiedy obudziłem się dzisiejszego ranka, na moich wargach leżał jeszcze twój smak. Najdroższa Kitty, ja...

O Boże. Kitty. Najdroższa Kitty. Tak wiele powinienem ci wyjaśnić, i nie wiem, od czego zacząć. Nigdy mnie nie rozumiałaś, ja też ciebie nie pojmowałem, a więc moja miłość do ciebie prędzej czy później musiała skończyć się niepowodzeniem. Tak też się stało. To również było przyczyną wzlotów i upadków naszego związku, ale ponieważ różnisz się od wszystkich ludzi, których kiedykolwiek znałem, jesteś naprawdę stworzona z innej materii, uczyniłem cię przedmiotem moich marzeń, nie akceptowałem cię takiej, jaką byłaś, tylko uparcie męczyłem, męczyłem, męczyłem, póki...

O, Boże. Ten list jest zbyt bolesny. Co do diabła wyczyniacie, czytając czyjąś korespondencję? Nie macie poczucia przyzwoitości? Tego nie mogę wam pokazać. Wycieczka skończona.

Wynocha! Wynocha! Wynoście się wszyscy! Na miłość boską, won!

. 20 .

Zawsze istniało niebezpieczeństwo zdemaskowania. Wiedział, że musi się pilnować. Była to epoka polowań na czarownice i każdy, kto nie mieścił się w schemacie danej społeczności, był ścigany i palony na stosie. Wszędzie roiło się od szpiegów polujących na tajemnicę młodego Seliga, na tę potworną prawdę. Dotyczyło to nawet jego nauczycielki biologii, panny Mueller. Była krępa, mała, podobną do pudła kobietą około czterdziestki, o ponurej twarzy i ciemnych sińcach pod oczami. Jej włosy były zawsze brutalnie podcięte. Wyglądała jak jakiś zakonspirowany rekrut. Tył jej szyi pokrywał zwykle szorstki meszek świadczący o niedawnym podgłaniu. Do klasy przychodziła codziennie w szarym, laboratoryjnym fartuchu. Panna Mueller "siedziała bardzo mocno" w królestwie okultyzmu i ponadzmysłowych zjawisk. Oczywiście, takiego wyrażenia

wtedy jeszcze nie używano (kiedy uczyła Dawida Seliga, był rok 1949), ale pozostawmy ten anachronizm. Wyprzedzała swój czas, miała duszę hippisa. Wszędzie węszyła rzeczy irracjonalne, nieznane. Nawet we śnie poruszałyby się sprawnie po terytorium biologii szkoły średniej - zresztą uczyła też jak we śnie. Ale tak naprawdę, to zajmowały ją problemy w rodzaju telepatii, jasnowidztwa, telekinezy, astrologii - cała parapsychologia. Wystarczała najdelikatniejsza prowokacja, by wytrącić ją z rytmu programowych zajęć, studiowania metabolizmu, systemu krążenia czy czegoś podobnego i skierować jej myśli ku tej pasji. Była pierwszą osobą, jaką znałem, która posiadała księgę "I Ching". Spędzała masę czasu nad tablicami skryptoskopów. Wierzyła, że Wielka Piramida z Gizeh zawierała boskie przesłanie dla ludzkości. Poszukiwała głębszych prawd przy pomocy Zen, semantyki ogólnej, ćwiczeń wzrokowych Batesa, i wskazówek Edgara Cayce'a. (Jakże łatwo mógłbym rozszerzyć listę jej fascynacji, wychodząc poza okres naszych wzajemnych oddziaływań! Musiała przejść przez dianetykę, Velikovskiego, Brideya Murphy'ego, Timothy'ego Leary, po to by na starość skończyć jako Lady Guru uzależniona od psylocybiny i pejotlu, dożywająca swych dni w jakiejś ustronnej kryjówce w Los Angeles. Biedna, głupia, naiwna stara suka.)

Naturalnie czytała na bieżąco wyniki badań percepcji pozazmysłowej prowadzonych na Duke University przez J. B. Rhine'a. Dawid wpadał w przerażenie, ilekroć o tym wspominała. Ciągle obawiał się, że nauczycielka ulegnie pokusie, by przeprowadzić parę eksperymentów Rhine'a w klasie i zdemaskuje go. Sam też czytał Rhine'a "Osiągnięcia umysłu", "Nowe granice umysłu", zajrzał nawet w zagmatwane artykuły "Dziennika parapsychologii" w nadziei, że znajdzie tam jakieś wyjaśnienia dotyczące jego własnej osoby, ale wewnątrz nie było niczego prócz statystyki i mętnych domysłów. Dopóki Rhine zajmował się głupstwami, daleko w Północnej Karolinie, nie stanowiło to dla Dawida zagrożenia. Jednakże otumaniona panna Mueller mogła łatwo skompromitować go i zaprowadzić na stos.

Katastrofa zbliżała się nieuchronnie. Niespodziewanie tematem najbliższego tygodnia okazało się funkcjonowanie i możliwości ludzkiego mózgu. Spójrzcie, to jest mózg, to mózdzek, a to rdzeń. Układanka receptorów. Norman Heimlich o tłustych policzkach, klasowy prymus, który zawsze wiedział, jak się zachować, podniósł w górę rękę:

- Panno Mueller, jak pani uważa, czy ludzie będą kiedyś mogli czytać w myślach? Nie chodzi mi o jakieś sztuczki, lecz o prawdziwą telepatię.

Och, co za radość dla panny Mueller! Jej bryłowata twarz jaśniała. To był sygnał do rozpoczęcia ożywionej dyskusji o pozazmysłowych doznaniach, parapsychologii, nie dających się wyjaśnić zjawiskach, nadnaturalnych sposobach porozumiewania, badaniach Rhine'a, i tak dalej, i tak dalej, stek metafizycznych bzdur. Dawid pragnął schować się pod ławkę. Dźwięk słowa telepatia wywoływał bolesny grymas na jego twarzy. Podejrzewał, że co najmniej połowa klasy wie, kim on jest. I teraz poczuł przyływ paranoicznego strachu. Czy oni patrzą na mnie, czy już się gapią, pokazują palcami, czy szepcą coś i kiwają głowami? Były to, oczywiście, irracjonalne obawy.

Nieskończoną ilość razy przeglądał wszystkie zgromadzone w klasie umysły, usiłując rozerwać się jakoś pomiędzy napadami jałowej nudy, i wiedział, że jego sekret jest bezpieczny. Jego szkolni towarzysze, młodzi, toporni brooklińczycy nigdy nie wpadliby na trop zakonspirowanego supermana, który ukrywa się wśród nich. Tak, uważali, że jest dziwny, ale nie mieli pojęcia jak bardzo dziwny. Czy panna Mueller otworzy im teraz oczy? Mówiła właśnie o przeprowadzeniu w klasie eksperymentów parapsychologicznych, żeby zademonstrować możliwości ludzkiego umysłu. O, gdzież się ukryję? Nie ma ucieczki. Następnego dnia przyniosła jakieś karty.

- To są tak zwane karty Zenera - wyjaśniła z powagą. Pokazała je wszystkim, a potem rozłożyła jak Dzikie Bill Hickok serwujący sobie pokera z ręki. Dawid nigdy wcześniej nie widział takiej talii kart, a jednak było w nich coś znajomego. Przypominały mu zestaw używany przez rodziców podczas nie kończących się gier w kanastę.

- Zostały sporządzone mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu na Duke University przez doktorów Karla E. Zenera i J. B. Rhine'a. Ich druga nazwa brzmi: karty PPZ. Kto może powiedzieć, co to znaczy?

Serdelkowaty palec Normana Heimlich'a znowu wznosił się w powietrze.

- To znaczy percepcja pozazmysłowa, panno Mueller!

- Bardzo dobrze, Normanie.

Bezmyślnie zaczęła przesuwać karty. Jej oczy zwykle bez wyrazu lśniły jak neony w Las Vegas.

- Zestaw składa się z dwudziestu pięciu kart podzielonych według pięciu kodów lub symboli.

Pięć kart oznaczonych jest gwiazdą, pięć kółkiem, kolejna piątka kwadratem, potem następuje wzór z falistych linii, a ostatnia piątka nosi znak krzyża lub matematyczny "plus". Poza tym wyglądają jak zwykłe karty do gry.

Wręczyła pakiet Barbarze Stein, jednej z jej klasowych faworytek, i poprosiła o przerysowanie symboli na tablicy.

- Rzecz w tym, że badana osoba, oglądając po kolei karty leżące wierzchem do góry, próbuje nazwać symbol znajdujący się pod spodem. Test można przeprowadzić na wiele różnych sposobów. Czasami egzaminator ogląda karty, zanim poda je badanemu. Umożliwia to znalezienie właściwej odpowiedzi w umyśle egzaminatora, oczywiście, o ile badana osoba to potrafi. Czasami ani badany, ani badający nie oglądają wcześniej kart. W innej wersji obiekt eksperymentu może dotykać kart, zanim udzieli odpowiedzi. Możliwe jest odgadywanie z opaską na oczach, albo długie wpatrywanie się w tył każdej karty. Jednak niezależnie od sposobu przeprowadzenia eksperymentu podstawowy cel jest zawsze taki sam - należy odgadnąć wzór na karcie bez oglądania jej, używając jedynie percepcji pozazmysłowej. Estello, wyobraź sobie, że badany nie ma żadnych nadnaturalnych zdolności i posługuje się tylko zgadywaniem. Ile prawidłowych odpowiedzi może przypuszczalnie udzielić na dwadzieścia pięć kart?

Zaskoczona pytaniem Estella poczerwieniała i bąknęła:

- Och, dwanaście i pół?

Panna Mueller uśmiechnęła się kwaśno i spojrzała na bystrzejszą, weselszą z bliźniaczek. -

Beverly?

- Pięć, panno Mueller?

- Właściwa odpowiedź. Zgadując, zawsze macie jedną szansę na pięć, więc na dwadzieścia pięć kart możecie odgadnąć pięć, działając na chybił trafił. Oczywiście wyniki nie są aż tak dokładne.

Przy jednym rozdaniu możecie mieć cztery trafienia, przy następnym sześć, potem pięć, potem

może siedem, a na koniec może tylko trzy; ale p r z e c i ę t n a po długiej serii prób powinna

wynosić mniej więcej pięć. Tak dzieje się, jeśli jednym czynnikiem jest rachunek

prawdopodobieństwa. Prawdę mówiąc, w eksperymentach Rhine'a pewna grupa badanych uzyskała

przeciętną sześć i pół lub siedem trafień na dwadzieścia pięć w dużej ilości testów. Rhine uważa, że

tak wysoki wynik można wytłumaczyć tylko percepcją pozazmysłową. Niektóre osoby uzyskiwały

jeszcze lepszą średnią. Był taki człowiek, który przez dwa dni z rzędu odpowiedział prawidłowo na

dziewięć kolejnych pytań. Parę dni później miał piętnaście kolejnych trafień, potem dwadzieścia

jeden na dwadzieścia pięć. Wnioski mogą być zupełnie fantastyczne. Ilu z was uważa, że był to

tylko przypadek?

Mniej więcej jedna trzecia rąk podniosła się do góry. Niektóre z nich należały do tępaków,

którzy nie wykorzystali okazji, by sprytnie zmanifestować sympatię dla pasji swojej nauczycielki.

Inne należały do niepoprawnych sceptyków, którzy odrzucali takie cyniczne manipulacje. Była tam

też dłoń Dawida Seliga. Chciał tylko przywdziać barwy ochronne.

Panna Mueller rzekła:

- Przeprowadźmy dzisiaj parę testów. Wiktorku, czy zechciałbyś być naszym pierwszym

królikiem doświadczalnym? Podejdź tutaj.

Wiktor Schlitz z nerwowym uśmiechem ruszył naprzód. Stał sztywno obok panny Mueller, która bez końca mieszała karty. Potem obrzuciwszy szybkim spojrzeniem pierwszą z nich, przesunęła ją w kierunku Wiktora.

- Jaki symbol? - spytała.

- Kółko?

- Zaraz sprawdzimy. Klasa, proszę nic nie mówić. - Podała kartę Barbarze Stein, każąc jej narysować kreseczkę pod właściwym symbolem na tablicy. Barbara podkreśliła kwadrat. Panna Mueller przyjrzała się następnej karcie. G w i a z d a, pomyślał Dawid.

- Fale - powiedział Wiktor. Barbara podkreśliła gwiazdę.

- Plus. - K w a d r a t, g ł u p k u! Barbara podkreśliła kwadrat.

- Kółko. - K ó ł k o. Kółko. Wiktor trafił i przez klasę przebiegł nagły dreszcz podniecenia.

Panna Mueller z promieniejącym spojrzeniem poprosiła o ciszę.

- Gwiazda. - F a l e. I Barbara podkreśliła fale.

- Kwadrat. - K w a d r a t, zgodził się Dawid. Na tablicy też pojawił się kwadrat. I jeszcze jeden dreszcz, ale już łagodniejszy.

Wiktor przeszedł przez wszystkie karty. Panna Mueller policzyła wyniki; cztery trafienia. Mniej niż przeciętna. Test powtórzono. Pięć trafień. W porządku, Wiktorze, może i jesteś sexy, ale z pewnością nie nadajesz się na telepatę. Panna Mueller powiodła oczami po klasie. Kto następny? Żeby tylko nie ja, modlił się Dawid. Boże, nie dopuść, żebym to był ja. Udało się. Wybrała Sheldona Feinberga. W pierwszym podejściu miał pięć, w drugim sześć trafień. Całkiem przyzwoicie. Potem Alicja Cohen. Cztery i cztery. Kamienisty grunt, panno Mueller. Dawid, śledząc każdą turę eksperymentu, nieodmiennie odgadywał dwadzieścia pięć na dwadzieścia pięć kart. Ale tylko on o tym wiedział.

- Następny? - pytała panna Mueller. Dawid skurczył się w swojej ławce. Ile jeszcze do dzwonka?

- Norman Heimlich.

Norman podszedł do pulpitu nauczycielki. Spojrzała na kartę. Dawid wyłowił z jej myśli znak gwiazdy. Przerzucił się do mózgu Normana i spotkała go niespodzianka. Obraz rozmazywał się, gwiazda przekornie zaokrągląła swoje ramiona przybierając kształt koła, a potem znów wracała do pierwotnej formy. Co to było? Czy ten obmierzły Heimlich posiadał jakąś szczątkową moc?

- Kółko - wymruczał Norman. Ale odgadł następną kartę, fale, a potem jeszcze jedną, kwadrat.

On chyba naprawdę odbierał jakieś emanacje, zamazane i niewyraźne, niemniej jednak niewątpliwie były to emanacje z mózgu panny Mueller. Gruby Heimlich posiadał odrobinę mocy. Ale tylko odrobinę. Dawid, obserwując jednocześnie umysły Normana i nauczycielki, patrzył, jak obrazy powoli słabną, by zniknąć całkowicie przy dziesiątej karcie. Zmęczenie zniszczyło resztki niepozornej mocy Normana. Ale i tak trafił siedem razy, co dawało mu pierwszą pozycję.

Dzwonek, modlił się Dawid. Dzwonek, dzwonek, dzwonek! Jeszcze dwadzieścia minut.

Jeszcze chwila miłosierdzia. Panna Mueller szybko rozdała kartki. Chciała przebadać całą klasę za jednym zamachem.

- Będę wyliczała numery od jeden do dwadzieścia pięć rzekła. - Przy każdym numerze napiszcie symbol, który według was odpowiada danej cyfrze. Gotowi? Jeden.

Dawid zobaczył kółko. F a 1 e, napisał. Gwiazda. Kwadrat.

Fale. K ó ł k o. Gwiazda. F a 1 e.

Kiedy test zbliżał się do końca, nagle błysnęła mu myśl, że wszystkie nieprawidłowe odpowiedzi to taktyczny błąd. Uznał, że przynajmniej dwie lub trzy powinny być prawidłowe. Po prostu dla zmylenia. Ale już było za późno. Zostały jeszcze tylko cztery cyfry. Byłoby to podejrzane, gdyby nagle dał cztery prawidłowe odpowiedzi, myląc się we wszystkich innych. A więc mylił się dalej.

Panna Mueller wydała polecenie:

- Teraz wymieńcie karteczki z sąsiadami i podkreślcie odpowiedzi. Gotowi? Numer jeden:

Kółko. Numer dwa: Gwiazda. Numer trzy: Fale. Numer cztery:...

Z napięciem oczekiwała wyników. Może ktoś trafił dziesięć razy, może jeszcze więcej? Niestety, nie. Dziewięć? Osiem? Siedem? Norman Heimlich miał znowu siedem. Rozpierała go duma.

Norman Heimlich - telepata. Fakt, że Heimlich miał choć okrucuch mocy, budził w Dawidzie obrzydzenie. Sześć? Czterech uczniów miało sześć trafień. Pięć? Cztery? Panna Mueller skrupulatnie zapisywała wyniki. Jakież inne możliwości? Sidney Goldblatt zaczął chichotać.

- Panno Mueller, a jeśli ktoś ma zero? Była zaskoczona.

- Zero? Czy jest ktoś, kto nie odgadł ani j e d n e j karty?

- Dawid Selig!

Dawid Selig chciał się zapaść pod ziemię. Wszystkie oczy skierowały się na niego. Uderzył w niego pełen okrucieństwa śmiech. Dawid Selig nie odgadł ani jednej. To brzmiało jak: Dawid Selig zsiadł się w majtki, Dawid Selig ściągał na egzaminie, Dawid Selig wszedł do damskiej toalety.

Zamiast zniknąć w tłumie skierował na siebie straszliwe podejrzenia. Panna Mueller oznajmiła poważnym, mentorskim tonem:

- Moi drodzy, wynik zerowy może oznaczać bardzo wiele. Zamiast całkowitego braku zdolności telepatycznych, co zapewne przypuszczacie, może to sugerować wyjątkowo silne natężenie PPZ. -

O, Boże. Wyjątkowo silne natężenie PPZ. Nauczycielka kontynuowała: - Rhine mówi o takich zjawiskach, jak "przemieszczenie wsteczne" lub "wyprzedzające", kiedy to wyjątkowo silne PPZ może przypadkowo skupiać się na karcie wyprzedzającej właściwą, na jednej karcie wstecz, czasami ta różnica wynosi dwie lub trzy karty. Tak więc wydaje się, że badany uzyskuje wyniki znacznie niższe od przeciętnych, podczas gdy w rzeczywistości trafia idealnie, tylko z pewnym przesunięciem! Dawid, pokaż mi twoje odpowiedzi.

- Ja nic takiego nie robiłem, panno Mueller. Po prostu zapisywałem przypadkowe odpowiedzi, i zdaje się, że za każdym razem złe.

- Zobaczmy.

Zaniósł jej kartkę, czując się, jakby szedł na szafot. Położyła ją obok własnej listy, próbując je jakoś pokoiarzyć, szukając korelacji, "sekwencji przemieszczeń". Ale chroniła go całkowita przypadkowość jego rozmyślnych pomyłek. Przemieszczenie wyprzedzające jednej karty dało mu dwa punkty, przemieszczenie wsteczne oznaczało dopiero trzy. Nic szczególnego. Mimo to panna Mueller nie poddawała się.

- Chciałabym cię jeszcze raz przetestować - oświadczyła. - Zrobimy parę różnych prób. Wynik zerowy jest fascynujący. Zaczęła tasować karty. Boże, Boże, Boże, gdzie się podziałeś? Och. Dzwonek! Dzwonek go uratował!

- Czy możesz zostać po lekcji? - zapytała. W rozpaczę potrząsnął głową.

- Mam teraz geometrię, panno Mueller.

Wycofała się. A więc jutro. Przeprowadzimy te testy jutro. Boże! Przez całą noc nie zmrużył oka. Pocił się, dygotał, owładnięty strachem - koło czwartej nad ranem zwymiotował. Miał nadzieję, że matka zatrzyma go w domu. Nic z tego, o wpół do ósmej siedział już w autobusie. A może panna Mueller zapomni o testach? Nie zapomniała. Złowieszcze karty leżały na jej biurku. Nie było wyjścia. Znalazł się w centrum uwagi. No dobrze, Daw, postaraj się tym razem.

- Czy możemy zaczynać? - spytała, podnosząc pierwszą kartę. W jej mózgu pojawił się znak plus.

- Kwadrat! - wykrzyknął.

Zobaczył kółko.

- Fale - powiedział.

Zobaczył jeszcze jedno kółko.

- Plus - rzekł.

Zobaczył gwiazdę.

- Kółko - oświadczył.

Teraz ujrzał kwadrat.

- Kwadrat - powiedział. To jeden.

Dokładnie liczył punkty. Cztery złe odpowiedzi, potem jedno trafienie. Trzy złe odpowiedzi i jedna właściwa. W pierwszym teście pozwolił sobie na pięć trafień rozłożonych z fałszywą przypadkowością. W drugim na cztery. W trzecim sześć. Za czwartym razem zdecydował się na cztery. Czy nie jestem zbyt przeciętny, zastanawiał się. Może teraz zaserwować jej tylko jedno trafienie? Ale nauczycielka powoli traciła zainteresowanie.

- Ciągle nie mogę zrozumieć, skąd wziął się ten zerowy wynik, Dawidzie - mówiła. - Ale wydaje mi się, że nie masz żadnych zdolności PPZ.

Próbował udawać zawiedzionego. Przygniecionego poczuciem winy. Przykro mi, proszę pani.

Kiepsko z moimi PPZ. Słabiutki uczeń skromnie wrócił na swoje miejsce.

* * *

Panno Mueller, jednym nagłym uchYLENIEM zasłony, jedną chwilą całkowitego zbliżenia mogłem usprawiedliwić całe pani życie, wypełnione tropieniem tego, co niemożliwe, nieznanne, niewyjaśnione, irracjonalne. Tego, co cudowne. Ale zabrakło mi ikry, by to zrobić. Musiałem bronić własnej skóry, panno Mueller. Pozostać przeciętnikiem. Czy pani mi wybaczy? Zamiast wyznać prawdę, oszukałem panią, dopuściłem, by wpadła pani w błędne koło tarota, znaków zodiaku, latających talerzy, tysiąca surrealistycznych wibracji, miliona apokaliptycznych astralnych światów. A przecież wystarczyłoby jedno zetknięcie naszych umysłów, by uleczyć cię z twego szaleństwa. Jedno moje dotknięcie. W jednej chwili. W mgnieniu oka.

. 21 .

Teraz nadeszły dni cierpienia. Dawid skręca się na swoim łożu bóleści. Prześledźmy to etapami.

Jak najzwężlej. Tak mniej boli.

* * *

Wtorek. Dzień wyborów. Przez całe miesiące powietrze pełne było zgiełku kampanii. Wolny świat wybiera swego największego przywódcę. Ciężarówki z zamontowanymi głośnikami hałasują wzdłuż Broadwayu, wyrzaskując slogany. Następny Prezydent! Człowiek dla całej Ameryki! Głosujcie! Głosujcie! Głosujcie! Głosujcie na X! Głosujcie na Y! Puste słowa płyną, mieszając się w brudny potok. Republikańcy. Demokraci. Bum. Dlaczego miałbym głosować? Nie będę głosował. Nie idę do wyborów. Nie jestem włączony w ten obieg. Nie jestem jego częścią. Głosowanie jest dla n i c h. Kiedyś, było to chyba późną jesienią 1968 roku, stałem przed Carnegie Hall, chcąc przejść na drugą stronę ulicy do małej księgarni, specjalizującej się w tanich wydaniach książek, gdy nagle wstrzymano ruch na 57 Ulicy, a z chodnika wyrosły szeregi policjantów, jak wojownicy, co narodzili się ze smoczych zębów zasianych przez Kadmosa. Od wschodu nadciągnęła kawalkada motocykli, i słuchajcie! w zaciemnionej, czarnej limuzynie nadjechał Richard M. Nixon, Prezydent-elekt Stanów Zjednoczonych Ameryki, machając jowialnie ręką do tłumu. Nadszedł wreszcie mój wielki moment. Zajrzę w jego umysł i poznam najgłębsze tajemnice państwa, odkryję, co odróżnia naszych przywódców od zwykłych śmiertelników. Zagłębiłem się w jego umysł, ale nie powiem wam, co tam znalazłem. Mogę tylko wspomnieć, że właśnie tego powinienem się przecież spodziewać. Tego dnia nie chciałem mieć już nic wspólnego z polityką i politykami. Dzisiaj trzymam się z dala od wyborów. Niech wybierają prezydenta beze mnie.

* * *

Środa. Męcę się z nie dokończoną pracą Yahyi Lumumby i kilkoma podobnymi, dopisując po parę bezsensownych linijek do każdej z nich. Niewiele z tego wynika. Dzwoni Judyta.

- Przyjęcie - mówi. - Jesteś zaproszony. Wszyscy przychodzą.

- Przyjęcie? Kto? Gdzie? Dlaczego? Kiedy?

- Sobota wieczorem. Blisko uniwersytetu. Gospodarzem jest Claude Guermantes. Znasz go? Jest

profesorem literatury francuskiej. - Nie, nie nazywa się Guermantes. Zmieniłem nazwisko, by oszczędzić winnego. - On jest jednym z tych charyzmatycznych nowych profesorów. Młody, dynamiczny, przystojny, przyjaciel Simone de Beauvoir, Geneta. Karl i ja przychodzimy. Będzie dużo gości. On zawsze zaprasza interesujących ludzi.

- A Genet? Simone de Beauvoir? Czy oni też przyjdą?

- Nie, głuptasie, oni nie. Ale to nie będzie stracony czas. Claude wydaje najlepsze przyjęcia, jakie znam. Ekscytująca mieszanina ludzi.

- Tak, to brzmi, jakby był wampirem.

- On nie tylko bierze. Potrafi też dawać, Dawidzie. Szczególnie zależało mu, aby ciebie zaprosić.

- A skąd on mnie może znać?

- Przeze mnie - rzekła. - Opowiadałam mu o tobie. Nie może się doczekać, aby cię poznać.

- Nie lubię przyjęć.

- Dawidku...

Jak ja znam ten ostrzegawczy ton. Nie mam teraz nerwów, żeby wdawać się w kłótnię.

- Dobrze - wzdycham. - W sobotę wieczorem. Podaj mi adres.

Dlaczego jestem taki uległy? Dlaczego pozwalam, by Judyta mną manipulowała? Czy tak właśnie mam budować moją miłość do niej? Poprzez rezygnację?

* * *

Czwartek. Do południa napisałem dwa akapity dla Yahyi Lumumby. Nie jestem pewien jego reakcji na to, co dla niego piszę. Może po prostu odrzucić to ze wstrętem. Jeżeli kiedykolwiek dobrnę do końca. A przecież m u s z ę. Jeszcze nigdy nie zawałem terminu. Nie ośmieliłem się. Po południu chcąc zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, poszedłem na 230 Ulicę, do księgarni. Jak zwykle, chciałem sprawdzić, czy w ciągu trzech dni, jakie minęły od mojej ostatniej wizyty, dostali coś nowego. Bezwiednie kupiłem parę książek - antologię pomniejszych poetów

metafizycznych, "Rabbit Redux" Updike'a i ciężkie Levi-Straussowskie studium antropologiczne, poświęcone folklorowi szczepów z dorzecza Amazonki. Jestem pewien, że n i g d y tego nie przeczytam. Przy kasie nowa urzędniczka: dziewczyna dziewiętnasto- lub dwudziestoletnia, blada, jasnowłosa, biała jedwabna bluzeczka, kraciasta minispódnica, bezosobowy uśmiech. Atrakcyjna na pierwszy rzut oka. Mnie jednak wcale nie zainteresowała ani seksualnie, ani w żaden inny sposób. I zaraz, strofując się za tak krzywdzącą opinię - niechaj nic, co ludzkie, nie będzie mi obce - powodowany nagłym impulsem zaglądam do jej mózgu. Nie lubię wydawać powierzchownych sądów. Płacąc za książki, pograżam się, drążę bez przeszkód kolejne warstwy nieistotnych spraw, zmierzając prosto do jądra jej osobowości. Och! Cóż za nagłe, porażające poczucie kontaktu. Komunia dwóch dusz! Dziewczyna płonie. Bije od niej żar. Ogarnia mnie jej energia, jej zadziwiająca pełnia. Jakże rzadko doświadczam ostatnio czegoś podobnego. Zniknął tępy, błądy manekin. Widzę ją całą, jej marzenia, jej sny, ambicje, miłości, jej szaleńcze uniesienia (wczorajsza zapierająca dech przygoda miłosna, a potem wstyd i poczucie winy), cała wirująca kipiela ludzkiej duszy. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy tylko raz udało mi się uzyskać tę jakość całkowitego zbliżenia, tylko raz, tego strasznego dnia, gdy na schodach biblioteki spotkałem Yahyę Lumumbę. I kiedy przypominam sobie tamto obezwładniające doświadczenie, coś we mnie drga i sytuacja się powtarza. Spada na mnie czarna zasłona, połączenie zostaje przerwane. Nie potrafię uchwycić jej świadomości. Cisza otula mnie, potworna mentalna cisza. I stoję tak, zaskoczony, z rozdziawionymi ustami, samotny i przestraszony. Trzęsącą ręką staram się pozbierać wydaną resztę, a ona mówi do mnie tym słodkim, przestraszonym, dziewczęcym głosikiem:

- Coś nie w porządku, proszę pana?

* * *

Piątek. Budzę się obolały, z wysoką gorączką. Niewątpliwie atak psychosomatycznej febry. Zły, rozgoryczony umysł bezlitośnie biczuje bezbronne ciało. Dreszcze, potem strugi potu i znowu

dreszcze. Wymioty wywracają mi pusty żołądek. Czuję się wewnątrznie próżny. W mózgu siano.

No tak! Nie mogę pracować. Nabazgrałem parę pseudo-murzyńskich linijek i podarłem kartkę.

Czuję się pod psem. Cóż, przynajmniej mam wymówkę, żeby nie iść na to idiotyczne przyjęcie.

Czytam moich pomniejszych metafizyków. Niektórzy z nich nie są wcale tacy mali. Traherne,

Czashak, William Cartwright. Na przykład Traherne:

Przyrodzonego zdrowia skarb prawdziwy

Umacniał mięśnie me i kości,

I gdy Bóg mi objawiał Swoje wspaniałości,

Czułem, jak wznoszą się we mnie przyływy

Na wskroś duchowej mocy. Życia oceany

Gasiły każdą iskrę troski;

Żaden mi okrucz świata nie był znany,

Który by nie był boski.

Niewiele to pomogło. Trudno interpretować ten wiersz jako wyraz krytycyzmu. Przez chwilę poczułem się lepiej. Powinienem zadzwonić do Judyty. Poprosić, by ugotowała mi trochę rosółu.

Oj, weh. Weh is mir.

* * *

Sobota. Udało mi się wyzdrowieć nawet bez rosółu i postanowiłem pójść na przyjęcie. Weh is

mir, w butach i z ostrogami. Pomyśl, co przypada szóstego listopada. Dlaczego Dawid pozwolił, by

Judyta wyciągnęła go z jego nory? Nie kończąca się podróż metrem do centrum. Kieszenie

wypchane winem dodają specyficznego dreszczyku tej zwyczajnej przejażdżce. W końcu docieram

do znajomej stacji przy uniwersytecie. Jestem zbyt cienko ubrany jak na tak chłodny dzień i

dygocząc z zimna muszę przejść na piechotę parę przecznic. Claude'a Guermantesa stać na

mieszkanie w ogromnej, wiekowej kamienicy na rogu Riverside Drive i 112 Ulicy. Niepewnie

zatrzymałem się przed wejściem. Lodowata, kwaśna bryza złośliwie wiejąca znad rzeki Hudson niesie ku mnie drobiny skalne porwane gdzieś w New Jersey. W parku kołują martwe liście.

Wewnątrz portier w czerwonej liberii lustruje mnie podejrzliwym wzrokiem.

- Profesor Guermentes? - pytam. Podnosi kciuk.

- Siódme piętro, 7-G - wskazuje mi windę. Jestem spóźniony, już prawie dziesiąta. Na górę! W podniszczonej kabinie, skrzyp skrzyp skrzyp, zamykają się drzwi. Sitodrukowy plakat zawieszony w korytarzu objaśnia drogę do legowiska Guermentesa. Nie można powiedzieć, żeby był potrzebny. Potężny strumień decybeli walący z lewej strony mówi mi, gdzie się toczy akcja.

Naciskam dzwonek. Czekam. Nic. Dzwonię jeszcze raz. W środku jest zbyt głośno, by mogli mnie usłyszeć. Och, gdybym tak mógł wysyłać myśli, zamiast je odbierać! Zaanonsowałbym się z siłą grzmotu. Dzwonię jeszcze raz, bardziej natarczywie. Ach! Nareszcie! Drzwi otwierają się. Stoi w nich niska, ciemnowłosa dziewczyna, prawdopodobnie studentka. Ma na sobie coś w rodzaju pomarańczowego sari, które odkrywa jej prawą (małą) pierś. Nagość a la mode. Wesoło błyska zębami.

- Wejdz, wejdz, wejdz!

Scena zbiorowa. Osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu, a może i stu ludzi, wszyscy ubrani w stylu Płomiennych Lat Siedemdziesiątych. Grupki po osiem, dziesięć osób przekrzykują się wzajemnie błyskotliwymi frazesami. Ci, którzy nie popijają drinków, pracowicie wymieniają między sobą skręty. Rytualny, świszczący wdech, dużo kaszlu, pełne napięcia wypuszczanie powietrza. Zanim zdążyłem zdjąć płaszcz, ktoś wcisnął mi w usta rzeźbioną fajkę z cybuchem z kości słoniowej.

- Super haszysz - wyjaśnił. - Właśnie przyjechał z Damaszku. Chodź, człowieku, sztachnij się!

Chcąc nie chcąc zasysam dym i natychmiast czuję jego działanie. Mrugam.

- Tak! - krzyczy mój dobroczyńca. - Silne, co? Nieźle otumania umysł!

Ale w tym tłumie mój umysł jest wystarczająco zamroczony bez konopi indyjskich, po prostu

obciążenie jest zbyt duże. Zdaje się, że moja moc funkcjonuje dzisiaj z zadowalającą intensywnością, ale nie jestem w stanie rozróżnić poszczególnych osób. Bezwiednie odbieram gęsty sos nakładających się na siebie sygnałów, hałas przemieszanych myśli. Wszystko zamglone. Fajka i nieznajomy znikają, a ja kroczę sztywno w kierunku zatłoczonego pokoju wypełnionego od podłogi do sufitu książkami. Dostrzegam Judytę. Ona też mnie zobaczyła. W momencie bezpośredniego kontaktu napływa ku mnie fala jej myśli - na początku wyjątkowo przejrzysta - już po chwili zaczyna rozmywać się w bełkot: "Brat, ból, miłość, strach, wspólne wspomnienia, przebaczenie, zapomnienie, nienawiść, niechęć, mmrum, oddz, zzh, mmm. Brat, miłość, nienawiść, zzzhhh.

- Daw! - woła. - Tutaj jestem, Dawidzie!

Judyta wygląda dzisiaj niesłychanie ponętnie. Jej długie, smukłe ciało spowite jest w przylegający, satynowy zawój, który sięga aż po szyję. Jest wyjątkowo obcisły i wyraźnie uwypukla jej piersi, małe guziczki sutków, bruzdę pomiędzy pośladkami. Do jej biustu przylgnął lśniący, obramowany złotem kawałek jadeitu o skomplikowanym wzorze. Rozpuszczone włosy wspaniale falują. Jestem dumny z jej urody. Jest w towarzystwie dwóch mężczyzn o imponującym wyglądzie. Po jednej stronie stoi dr Karl F. Silvestri, autor "Studiów z fizjologii termoregulacji". Jego wygląd mniej więcej zgadzał się z obrazem, który odebrałem z mózgu Judyty podczas moich odwiedzin tydzień lub dwa tygodnie temu. Jest jednak starszy, niż myślałem, ma co najmniej pięćdziesiąt pięć lat, może nawet ociera się o sześćdziesiątkę. I chyba wyższy może mieć sześć stóp i pięć cali. Próbuję sobie wyobrazić, jak jego potężne, krzepkie ciało przygniata zwinną, szczupłą Judytę. Ale nie potrafię. Karl ma rumiane policzki, spokojną twarz zadowolonego z siebie człowieka, małe, inteligentne oczy. Kiedy patrzy na Judytę, promieniuje z niego coś opiekuńczego, niemal ojcowskiego. Teraz rozumiem, dlaczego tak jej na nim zależy. Jest idealnym wcieleniem prawdziwego ojca, posiada coś, czego nigdy nie mógł jej zapewnić biedny, znękany Paul Selig.

Obok Judyty stoi jeszcze jeden mężczyzna. Przypuszczam, że to profesor Claude Guermantes.

Szybki sondaż jego mózgu potwierdza tę opinię. Ten umysł to żywe srebro, połyskujący, migotliwy źródło. Myśli w trzech lub czterech językach naraz. Jego niesamowita energia wyczerpuje mnie już przy pierwszym zetknięciu. Ma około czterdziestu lat, prawie sześć stóp wzrostu, jest muskularny, wysportowany. Eleganckie, piaskowe włosy nosi ułożone w mocno skręcone, barokowe fale.

Krótką, kozia bródka - nieskazitelnie przycięta. Ubrany jest tak stylowo, że brakuje mi słów, żeby to opisać, jako że sam nie nadążam za modą. Ma na sobie coś w rodzaju płaszcza z jaskrawego, złotozielonego materiału (płótno? muślin?), szkarłatny szaliczek, powiewne satynowe spodnie i średniowieczne ciżmy o wysoko podwiniętych noskach. Ten wygląd dandysa i specyficzna sylwetka mogłyby sugerować, że jest pedałem, ale otacza go silna aura heteroseksualizmu.

Analizując zachowanie Judyty i sposób, w jaki na niego patrzy, dochodzę do wniosku, że zapewne byli kiedyś kochankami. Może jeszcze są. Wstydzę się tego dochodzić. Moje wyprawy w prywatne życie Judyty są zbyt wrażliwym punktem naszego związku.

- Chciałabym, żebyś poznał mojego brata, Dawida - mówi Judyta. Twarz Silvestriego rozjaśnia się.

- Tak dużo o panu słyszałem, panie Selig.

- Naprawdę? - (Wiesz, Karl, mam brata potwora. Czy uwierzyłybyś, że on naprawdę czyta w myślach? Twoje myśli są dla niego tak samo słyszalne jak audycja radiowa.) Ciekawe, ile Judyta mu o mnie powiedziała? Spróbuję to wy badać.

- Proszę mówić mi po imieniu. Pan jest dr Silvestri, tak?

- Tak. Karl. Wolę, żebyś mówił do mnie Karl.

- Judyta sporo mi o tobie opowiadała - mówię. Żadnej możliwości sondażu. Mój obrzydliwy zanikający dar. Odbieram tylko pomieszane kawałki jakiejś całości, mgliste strzępki niezrozumiałych myśli. Jego umysł jest dla mnie niedostępny. Zaczyna boleć mnie głowa. -

Pokazała mi twoje dwie książki. Szkoda, że nic z tego nie mogę zrozumieć.

Wyniosły Silvestri uśmiecha się z zadowoleniem. Tymczasem Judyta przedstawia mnie Guermentesowi, który mamrocząc wyraża swoje ukontentowanie. Wydaje mi się, że zaraz pocałuje mnie w policzki, a może w rękę. Jego głos jest słodki i niski z wyczuwalnym akcentem, ale nie francuskim. To coś obcego, jakaś mieszanina, francusko-włoska, a może francusko-hiszpańska. Do niego przynajmniej mogę dotrzeć, nawet teraz. Nie wiadomo czemu, jego umysł, w przeciwieństwie do mózgu Silvestriego, jest dla mnie otwarty. Wymieniając grzeczności i frazesy na temat pogody i niedawnych wyborów, wślizguję się w jego myśli. O Boże! Casanova Redivivus! Ten facet śpi ze wszystkim, co się rusza, rodzaj męski, żeński i nijaki, włączając w to oczywiście moją łatwo dostępną siostrę, Judytę, z którą - jeśli zawierzyć powierzchniowej warstwie jego pamięci - kochał się zaledwie pięć godzin temu, w tym właśnie pokoju. Teraz krąży w niej jego nasienie. Jest zdenerwowany faktem, że nie osiągnęła z nim orgazmu - traktuje to jako porażkę, biorąc pod uwagę swoją bezbłędną technikę. W tej chwili spokojnie rozważa, jakby tu mnie przelecieć przed końcem przyjęcia. Nic z tego, profesorku. Nie powiększę twojej kolekcji Seligów. Uprzejmie pyta o moje wykształcenie, stopnie uniwersyteckie.

- Niewiele tego - mówię. - Zrobiłem magisterium w 1956. Myślałem o doktoracie z literatury angielskiej, ale nic z tego nie wyszło.

Guermentes zajmuje się Rimbaudem, Verlainem, Mallarmem, Baudelairem, Lautreamontem, całą tą zwariowaną ekipą. Identyfikuje się z nimi duchowo. Na jego wykłady przychodzi mnóstwo dziewcząt z College'u Barnarda, które chętnie rozwierają dla niego uda. Ale kiedy tylko nadarzy się ku temu sposobność, jego Rimbaudowskie zacięcie nie przeszkadza mu barszkować także z gorącymi chłopakami z uniwerku. Rozmawiając ze mną w protekcyjny, afektowany sposób, pieści ramię Judyty. Dr Silvestri niczego nie zauważa, a może po prostu nie dba o to.

- Twoja siostra - mruczy Guermentes - to cud, to oryginał, to coś wspaniałego, w z o r z e c,

M'sieu Selig, w z o r z e c. Komplement, choć trochę dwuznaczny. Jeszcze raz zaglądam do jego umysłu. Dowiaduję się, że pisze właśnie powieść o zgorzkniałej, zmysłowej rozwódce i francuskim intelektualistcie, który jest uosobieniem witalności. Ma nadzieję zarobić na tym miliony. Fascynuje mnie -tak napuszony, barwny, naiwny, a zarazem tak atrakcyjny pomimo wszystkich swoich, jakże oczywistych, wad. Oferuje mi koktajle, drinki, likiery, brandy, prochy, hasz, kokainę, wszystko, czego zapragnę. Czuję się zagrożony i z ulgą uciekam, by nalać sobie nieco rumu.

Przy barku podchodzi do mnie dziewczyna. To jedna ze studentek Guermentesa, ma nie więcej niż dwadzieścia lat. Niesforne, czarne włosy zwijają się w pierścionki, kluchowaty nos, bystre, przenikliwe oczy, pełne grube wargi. Nie jest piękna, ale na swój sposób interesująca.

Najwyraźniej moja osoba też przypadła jej do gustu, gdyż mówi z uśmiechem:

- Nie wzięłbyś mnie z sobą do domu?

- Dopiero co przyszedłem.

- Później. Później. Nie ma pośpiechu. Wyglądasz na takiego, z którym miło się pieprzyć.

- Mówisz to każdemu kogo poznasz?

- Myśmy się jeszcze nawet nie poznali - zauważa. - Nie, nie proponuję tego każdemu. Ale wielu.

Czy to coś złego? Dzisiaj dziewczynom wolno przejmować inicjatywę. Poza tym to rok przestępny.

Jesteś poetą?

- Raczej nie.

- Wyglądasz na kogoś takiego. Założę się, że jesteś wrażliwy i dużo cierpisz.

Moje intymne, odurzające wizje zmieniają się w rzeczywistość na moich oczach. J e j oczy toną w czerwonych obwódkach. Jest urznięta. Z czarnego swetra unosi się kwaśny zapach potu. Nogi ma zbyt krótkie w stosunku do tułowia, biodra zbyt szerokie, piersi za ciężkie. Prawdopodobnie ma trypra. Może mnie nabiera? "Założę się, że jesteś wrażliwy i dużo cierpisz. Jesteś poetą?" Próbuję odczytać jej myśli, ale to beznadziejne. Zmęczenie zaciemnia mój umysł, a zbiorowy wrzask

zbitego tłumu pochłania wszelkie, indywidualne głosy.

- Jak się nazywasz? - pyta.

- Dawid Selig.

- Lisa Holstein. Jestem seniorką w Barn...

- H o l s t e i n? - Dźwięk tego nazwiska poraża mnie jak prąd. Kitty, Kitty, Kitty! - Co ty powiedziałaś? Holstein?

- Tak, Holstein. I proszę, oszczędź mi takich durnych dowcipów.

- A masz może siostrę Kitty? To znaczy Katarzynę? Kitty Holstein. Mniej więcej trzydzieści pięć lat. Twoja siostra, może kuzynka...

- Nie. Nigdy o niej nie słyszałam. To twoja znajoma?

- Kiedyś tak - mówię. - Kitty Holstein.

Podnoszę drinka i odwracam się.

- Hej! - woła za mną dziewczyna. - Myślisz, że żartowałam? To w końcu zabierasz mnie dzisiaj do domu czy nie?

* * *

Nagle staję twarzą w twarz z czarnym kolorem. Gęsta aureola fryzury w stylu afro, przerażająca twarz z dżungli rodem. Jego ubiór to krzykliwy zestaw kontrastowych kolorów. On tutaj? O Boże.

Że też właśnie jego musiałem tu spotkać. Mam poczucie winy z powodu nie dokończonej rozprawki, która jak kulawy, garbaty potworek siedzi na moim biurku. Cóż on tutaj robi? W jaki sposób Claude Guermantes zdołał wciągnąć w swoją orbitę Yahyę Lumumbę? Może to czarna maskotka wieczoru? Albo delegat ze świata sportu wyczynowego, którego poproszono tutaj na dowód intelektualnej giętkości naszego gospodarza, wszechstronności jego temperamentu.

Lumumba stoi nade mną z groźnym wzrokiem. Chłodno ocenia mnie ze swoich niedosiężnych wyżyn jak jakiś hebanowy Zeus. Trzyma pod rękę okazałą czarnoskórą kobietę, boginię, tytanekę.

Dobrze ponad sześć stóp wzrostu, skóra jak polerowany onyks, oczy jak latarnie. Zapierająca dech para. Ich piękno zawstydza nas wszystkich. Wreszcie Lumumba mówi:

- Znam cię, człowieku. Skądś cię znam.
- Selig. Dawid Selig.
- Brzmi znajomo. Skąd my się znamy?
- Eurypides, Sofokles i Ajschylos.
- Co za cholerstwo? - Zbiłem go z tropu. Milczy. Potem krzywi się. - Jasne. Jasne, dziecinko. Ta pieprzona praca semestralna. Jak ci idzie, stary?
- Idzie.
- Będziesz to miał na środę? Termin mija w środę.
- Tak, panie Lumumba. - "Robię co mogę, massa."
- Radzę ci przyjść, chłopcze. Liczę na ciebie.

... Tom Nyquist...

Nazwisko wyskakuje nagle z białego, jednostajnego szumu rozmów. Przez chwilę wisi w zadymionym powietrzu jak martwy liść niesiony leniwym, październikowym wiatrem. Kto je wymówił? Kim był ten człowiek? Miły baryton, nie dalej niż dziesięć stóp ode mnie. Szukam przypuszczalnego właściciela głosu. Dookoła sami mężczyźni. Ty? Ty? Ty? Trudno zgadnąć. Chociaż nie. Istnieje taki sposób. Głośno wypowiedziane słowa z reguły wibrują jeszcze przez chwilę w umyśle mówiącego. (A także w umysłach jego rozmówców. Ale te drgania mają inną tonację.) Skupiam moje nadwątlone siły i wyteżając je wbijam igły receptorów w otaczające umysły, szukając tego echa. Wysilek jest morderczy. Czaszki, w które próbuję wejść, to mocne kostne konstrukcje o niewielu szczelinach. Tędy właśnie moje słabe, wiotkie czujniki muszą przedrzeć się do wnętrza. Udało się. Szukam właściwych drgań. T o m N y q u i s t? T o m N y q u i s t? Kto wymówił to nazwisko? Ty? Ty? Ach, jest. Echo prawie już zanikło, trwa tylko głuchy,

pusty odgłos gdzieś na dnie jaskini. Wysoki, pulchny mężczyzna z komiczną, pędzelkową blond-bródką.

- Przepraszam - mówię - nie miałem zamiaru podsłuchiwać, ale usłyszałem, jak wymienił pan nazwisko mego starego przyjaciela...

- Och?

- ...I nie mogłem się powstrzymać i nie zapytać o niego. Tom Nyquist. Kiedyś byliśmy bardzo zżyli. Jeśli wie pan, co się z nim teraz dzieje, gdzie przebywa...

- Tom Nyquist?

- Tak. Jestem pewien, że słyszałem, jak pan go wspominał.

Blady uśmiech.

- Obawiam się, że to pomyłka. Nie znam nikogo o tym nazwisku. Jim? Fred? Możecie pomóc?

- Ale ja nadal twierdzę, że słyszałem...

Echo. Bumm we wnętrzu jaskini. Czy naprawdę się pomyliłem? Stojąc tak blisko, pragnę wdrzeć się do jego głowy, zapolować w jego pamięci na jakąkolwiek informację dotyczącą Nyquista. Ale nie jestem już w stanie funkcjonować. Tamci poważnie naradzają się. Nyquist? Nyquist? Czy ktoś o nim mówił? Może ktoś go zna?

Nagle jeden z nich woła:

- John Leibnitz!

- Tak - mówi uszczęśliwiony tłścioch. - Może to pan usłyszał. Przed chwilą opowiadałem o Johnie Leibnitzu. To nasz wspólny przyjaciel. W tym harmidrze mógł pan łatwo pomylić jego nazwisko z Nyquistem.

Leibnitz, Nyquist, Leibnitz, Nyquist. Bumm. Bumm.

- Całkiem możliwe - przytakuję. - Rzeczywiście, chyba tak było. To głupio z mojej strony.

Przepraszam, że zawracałem wam głowę.

Guermantes kryguje się i tańczy trzymając mnie za łokieć. Zaprasza:

- Musisz przyjść na mój wykład w tym tygodniu. W środę po południu zaczynam Rimbauda i Verlaine'a. To będzie pierwszy z serii sześciu wykładów. Wpadnij. Przecież będziesz w środę na uniwersytecie?

Właśnie w środę muszę dostarczyć Yahyi Lumumbie pracę o greckich tragicznych. Tak, będę na uniwersytecie. "Lepiej żebym był." Ale skąd Guermantes o tym wie? Czy odbiera w jakiś sposób moje myśli? A co, jeśli on też włada mocą? I jestem dla niego szeroko otwarty, wie wszystko, zna mój żalony, patetyczny sekret, moją coraz większą niemoc. I oto jest przy mnie, pełen ojcowskich uczuć, ponieważ ja ginę, a jego moc jest równie wielka, jak kiedyś moja. A potem błysk paranoicznego strachu: on nie tylko posiada moc, ale jest czymś w rodzaju telepatycznego wampira, drażni mnie, wysysa moje siły prosto z mojego umysłu, karmi się nimi. Być może wyniszcza mnie już od 74 roku.

Odrzucam te bezużyteczne idiotyzmy.

- Przypuszczam, że będę w pobliżu uniwersytetu w środę. Może wpadnę.

Z całą pewnością nie wpadnę na wykłady Guermantesa poświęcone któremuś z francuskich symbolistów. Jeśli posiada jakąś moc, niech ją sobie wsadzi w fajkę i pociągnie!

- Byłbym zachwycony, gdybyś przyszedł - uśmiecha się. Przysuwa się do mnie. Jego gładki, androgenny, śródziemnomorski typ urody zezwala mu od czasu do czasu na przełamywanie dystansu charakterystycznego dla amerykańskich zasad, kierujących męsko-męskimi układami. Czuję zapach płynu do włosów, kremu do golenia, dezodorantów, wody kolońskiej. Małe błogosławieństwo - nie wszystkie zmysły wysiadają za jednym zamachem.

- Twoja siostra - mruczy. - Cudowna kobieta! Jak ja ją kocham! Często mówi o tobie.

- Czyżby?

- Z miłością. A także z poczuciem winy. Zdaje się, że przez wiele lat żyliście jak obcy sobie ludzie.

- To już minęło. Teraz stajemy się przyjaciółmi.

- Cieszę się ze względu na was oboje. - Gestykuje z nagłym błyskiem w oku. - Ten doktor. To nie jest odpowiednia dla niej osoba. Za stary, za spokojny. Po pięćdziesiątce większości mężczyzn już nie staje. W ciągu sześciu miesięcy zanudzi ją na śmierć.

- A może ona potrzebuje nudy - odpowiadam. - Wiodła ekscytujące życie. Nie dało jej to szczęścia.

- Nuda nikomu nie jest potrzebna - stwierdza Guermantes i puszcza do mnie oko.

* * *

- Dawidzie, Karl i ja bylibyśmy zachwyceni, gdybyś w przyszłym tygodniu przyszedł na obiad. Mamy tyle spraw do omówienia.

- Zastanowię się, Judytko. Trudno mi powiedzieć w tej chwili coś pewnego o przyszłym tygodniu. Zadzwoń.

Lisa Holstein. John Leibnitz. Myślę, że powinienem wypić jeszcze jednego drinka.

* * *

Niedziela. Na potwornym kacu. Hasz, rum, wino, prochy. Bóg wie, co jeszcze. I ktoś podtykający mi pod nos jakieś świństwo koło drugiej nad ranem. To ohydne, pieprzone przyjęcie.

Nie powinienem był tam iść. Moja głowa, moja głowa, moja głowa. Gdzie jest maszyna do pisania? Muszę trochę popracować. A więc ruszajmy:

Tak więc dostrzegamy różnicę w podejściu trzech dramaturgów do tego samego tematu.

Ajschylos zainteresowany jest przede wszystkim teologicznymi implikacjami zbrodni, nieugiętymi postanowieniami bogów - Orestes rozdarty pomiędzy nakazem Apolla żądającym śmierci matki, a

własnym łękiem przed matkobójstwem popada w obłąd. Eurypides opiera się na charakterystyce bohaterów i buduje mniej alegoryczną...

Cholera, to do niczego. Skończę później.

W moim umyśle panuje cisza. Czarna, pulsująca pustka. Dzisiaj nic do mnie nie dociera, zupełnie nic. Może wszystko ucichło już na dobre. Nie potrafię nawet uchwycić odgłosów zza sąsiednich drzwi. Listopad to najokrutniejszy miesiąc, w martwym mózgu pleni się chwast. Wiersz Eliota zmienia się w rzeczywistość. Stałem się słowami zapisanymi na kartce. Czy mam tak siedzieć uzalając się nad sobą. Nie. Nie. Nie. Nie. Będę walczył. Duchowe ćwiczenia zaprogramowane tak, by przywrócić mi moc. Na kolana, Selig. Pochyl głowę. Skoncentruj się. Zamień się w ostrą igłę myśli, cieniutki laserowy promień telepatii biegnący z tego pokoju aż do cudownej czerwonej gwiazdy Betelgeuse IX. Udało się? Dobrze. Ten ostry, czysty promień myśli przesywający wszechświat. Utrzymaj go. Trzymaj go mocno. Żadnych załamania światła, człowieku. Dobrze. Teraz wspinaj się. Wchodzimy po drabinie Jakuba. To będzie doświadczenie wyjścia poza własne ciało, Dawidku. W górę, w górę, dalej! Przejdź przez sufit, pokonaj dach, a potem przez atmosferę, jonosferę, stratosferę, przez wszystkie możliwe sfery. Na zewnątrz. W puste międzyplanetarne przestrzenie. O, ciemność, ciemność, ciemność. Zmysły stygną, zanika motyw działania. Nie, przestań! W tej podróży należy myśleć pozytywnie. Wyżej! Wyżej! W kierunku małych, zielonych ludzików gwiazdy Betelgeuse IX. Dotknij ich umysłów, Selig. Nawiąż kontakt. Nawiąż... kontakt. Wyżej, ty leniwy żydowski sukinsynie! Dlaczego się nie wspinasz? Wyżej! I co?

Nic. Nicziewo. Niente. Nothing. Nulla. Nicht.

Kołyszając się wracam na ziemię. Na mój cichy pogrzeb. W porządku, poddaj się, jeśli tego pragniesz. Niech będzie. Odpocznij przez chwilę. Odpocznij, a potem módl się, Selig. Módl.

* * *

Poniedziałek. Kac minął. Mózg znowu jest sprawny i chłonny. We wspomniałem wybuchu twórczego szału przepisuję "Motyw Elektry u Ajschylosa, Eurypidesa i Sofoklesa", zmieniając wszystko od stępki po maszt. Przesuwając całe partie, oczyszczając, podkreślając główne myśli. I w tym samym czasie zdołałem uchwycić idealny ton bezceremonialności charakterystycznej dla murzyńskiego slangu. Kiedy wystukuję ostatnie słowa, rozlega się dzwonek telefonu. Idealnie w sam raz. Mam ochotę z kimś porozmawiać. Kto mówi? Judyta? Nie. To Lisa Holstein.

- Obiecałeś zabrać mnie do domu po przyjęciu - mówi żałośnie, z wyrzutem. - Co do diabła zrobiłeś, wyslizgnałeś się?

- Jak zdobyłaś mój numer?

- Od Claude'a. Profesora Guermantesa.

Ten przylizany diabeł. Wie wszystko.

- Co teraz robisz?

- Marzę o prysznicu. Pracowałem całe rano i śmierdzę jak cap.

- Ale co robisz?

- Piszę "na murzyna" prace semestralne dla studentów.

Zastanawia się przez chwilę.

- Z ciebie to naprawdę czarodziej, człowieku. A ja naprawdę chcę wiedzieć, co robisz?

- Właśnie ci powiedziałem.

Dziewczyna namyśla się. Potem:

- O.K. Rozumiem. Piszesz "na murzyna" prace semestralne. Słuchaj, Dave, idź i weź prysznic.

Jak długo jedzie się metrem z rogu 110 Ulicy i Broadwayu do ciebie?

- Jak złapiesz coś od razu, to czterdzieści minut.

- Świetnie, będę za godzinę.

Klik. Wzruszam ramionami. Narwana tłusciocha. Mówi do mnie "Dave". Nikt mnie tak nie

nazywa. Rozbierając się, zmerzam w stronę prysznicza. Namydlałam się długo, z przyjemnością. Potem przeciągam się, korzystając z tak rzadkiej obecnie chwili relaksu. Dave Selig czyta ponownie napisaną rano rozprawkę, własne słowa sprawiają mu radość. Miejmy nadzieję, że Lumumbie też się to spodoba. Potem sięgam po książkę Updike'a. Zaczynam czwartą stronę, kiedy dzwoni telefon. Lisa. Jest na stacji przy 225 Ulicy i nie wie, jak dojść do mojego mieszkania. To już zakrawa na niezły żart. Czemu się tak uparła? Ale niech będzie, mogę zagrać w tę grę. Podaję jej wskazówki. Dziesięć minut później słyszę pukanie do drzwi. Lisa jest w tym samym czarnym, grubym, przepoconym swetrze, co na sobotnim przyjęciu, i w obcisłych niebieskich dżinsach. Nieśmiały uśmiech jakoś nie pasuje do jej charakteru.

- Cześć - mówi. Siada wygodnie. - Kiedy zobaczyłam cię pierwszy raz, miałam taki przeblysk intuicji: ten facet to ktoś wyjątkowy. Zrób to z nim. Nauczyłam się ufać swojej intuicji. Płynę z prądem, Dave, płynę z prądem.

Zdażyła już zdjąć sweter - jej piersi są ciężkie i krągłe z maleńkimi, ledwo widocznymi sutkami. Pomiędzy nimi, w głębokiej kotlinie leży gwiazda Dawida. Spaceruje po pokoju oglądając moje książki, płyty, fotografie.

- Więc powiedz mi - pyta - teraz, kiedy już tu jestem. Miałam rację? Jest w tobie coś wyjątkowego?

- Kiedyś było.

- Co?

- Ja to wiem, ale ty musisz odgadnąć - mówię zbierając siły. Pchnąłem umysł w jej kierunku. Jest to brutalny, frontalny atak, gwałt, prawdziwe pieprzenie umysłu. Oczywiście ona niczego nie czuje.

- Kiedyś miałem zupełnie niezwykły dar - opowiadam. Teraz jest już bardzo zużyty, ale od czasu do czasu jeszcze z niego korzystam i prawdę mówiąc, właśnie w tej chwili wypróbuję go na tobie.

- Za trudne - mówi i opuszcza dżinsy. Jest bez majtek. Mając trzydzieści lat będzie tłusta. Ma grube uda, wystający brzuch. Dziwacznie gęste i rozrośnięte włosy łonowe tworzą raczej romb niż trójkąt, czarny romb sięgający poprzez jej lędźwie prawie do ud. Pośladki pełne są głębokich dołeczków. Studiując ciało, jednocześnie brutalnie przetrząsam jej mózg, nie pozostawiając żadnych obszarów intymności, ciesząc się tą chwilą, póki trwa. Nie muszę być delikatny. Nie jestem nic winien tej dziewczynie. To ona wmusiła mi siebie. Na wstępie sprawdzam, czy kłamała mówiąc, że nie zna Kitty. To jednak prawda - Kitty nie jest jej krewną. Zwykła przypadkowa zbieżność nazwisk, nic więcej.

- Wiem, że jesteś poetą, Dave - szepce, gdy obejmując się padamy na nie posłane łóżko. - To też przebłysk intuicji. Nawet jeżeli teraz piszesz te prace semestralne, to twoim ulubionym zajęciem jest poezja, mam rację?

Moje ręce wędrują po jej brzuchu, piersiach. Cierpki zapach bije od jej skóry. Zapewne nie myła się trzy, może cztery dni. Nie szkodzi. W tajemniczy sposób uwypuklają się jej sutki. Małe, twarde, różowe koraliki. Lisa pręży się. W dalszym ciągu plądruję jej umysł jak Got pustoszący rzymskie Forum. Jest dla mnie całkowicie otwarta. Jakże rozkosznie odczuwam ten niespodziewany przyływ sił. Biografia Lisy rozwija się przed moimi oczami. Urodzona w Cambridge. Ukończyła dwadzieścia lat. Ojciec profesor. Matka też jest profesorem. Młodszy brat. Łobuzerskie dzieciństwo. Odra, ospa, szkarlatyna. Dojrzałość osiągnęła w jedenastym roku życia. Dziewictwo utraciła w dwunastym. Mając szesnaście lat przeszła skrobankę. Parę lesbijskich przygód. Namiętne zainteresowanie francuskimi poetami z okresu symbolizmu. Kwas, meskalina, psylocybina, kokaina, a nawet jej ekstrakt. Dostała to od Guermantesa. On też pięć czy sześć razy wziął ją do łóżka. To wspomnienie jest wyjątkowo wyraziste. Umysł Lisy przekazuje mi o Guermantesie informacje, których wolałbym nie znać. On naprawdę robi wrażenie. Lisa wyobraża sobie, że jest twardą, agresywną osobą, kapitanem własnej duszy, panią własnego losu i tak dalej.

Ale pod spodem wszystko jest na odwrót, boi się jak diabli. Niezły z niej dzieciak. Mam lekkie wyrzuty sumienia z powodu tej brutalnej napaści na jej umysł, bez jakiegokolwiek uszanowania intymności. Ale mam swoje potrzeby. Nie ustaję w moich badaniach. W tym czasie ona zniża się do mojego podbrzusza. Nie przypominam sobie, kiedy ktoś mi to robił. Ostatnio było tak źle, że ledwo pamiętam, kiedy się z kimś przespałem. Dziewczyna jest mistrzem fellatio. Chciałbym się jej zrewanżować, ale jakoś nie mogę się na to zdobyć - czasami jestem bardzo krytyczny, a ona nie należy do osób, które się często myją. Och, dobrze, zostawmy takie sprawy Guermentesom tego świata. Leżę tak, pogrążony w jej myślach, przyjmując dar jej ust. Czuję się młody, pełen wigoru, pewien swej męskości i, czemu nie, czerpię wrażenia z dwóch źródeł na raz - z głowy i krocza. Nie wyciągając czułek z jej mózgu wycofuję się wreszcie spomiędzy warg dziewczyny, odwracam się, rozsuwam nogi i wślizguję się głęboko w jej wąską, ciasną przystań. Selig-ogier. Selig-rwacz. Oooch! - jęczy Lisa zginając kolana. - Oooch. I zaczynamy bawić się w zwierzę o dwóch grzbietach. Ukradkiem sycę się także jej rozkoszą, podwajając w ten sposób moją własną przyjemność. Każdy ruch przynosi mi cudownie pomnożone, spotęgowane bodźce. A potem dzieje się coś dziwnego. Chociaż dziewczynie daleko jeszcze do orgazmu (który, jak wiem, rozerwie łączące nas więzi), nagle transmisja z jej mózgu staje się niewyraźna i mglista - to raczej hałas niż ciąg sygnałów. Obrazy załamują się i nieruchomieją. Dochodzi do mnie odległy i zamazany szum. Walczę, by utrzymać się w jej świadomości, ale daremnie, daremnie. Wymyka mi się, uchodzi coraz dalej i dalej, aż wreszcie nic już nas nie łączy. W chwili przerwania kontaktu mój członek nagle mięknie i wyslizguje się z jej wnętrza. Jest zaskoczona, zdziwiona.

- Dlaczego ci zmałał? - pyta. Nie umiem jej tego wytłumaczyć. Pamiętam, jak parę tygodni wcześniej Judyta pytała mnie, czy kiedykolwiek rozpatrywałem utratę moich sił umysłowych jako metaforę impotencji. Czasami tak, odpowiedziałem. I teraz po raz pierwszy przenośnia stała się rzeczywistością. Te dwie przegrane są z sobą sprzężone. Biedny Dawid. Jest impotentem i w

jednym, i w drugim.

- Chyba coś rozproszyło moją uwagę - wyjaśniam. Cóż, Lisa ma swoje sposoby. Pracuje nade mną przez pół godziny palce, wargi, język, włosy, piersi - i nic nie pomaga. Prawdę mówiąc, jej ponura usłużność jeszcze bardziej mnie zniechęca.

- Nie rozumiem tego - mówi. - Tak dobrze ci szło. Może to przeze mnie?

Zaprzeczam gorąco:

- Byłaś wspaniała, kochanie. Czasami tak się zdarza, nikt nie wie dlaczego. Odpocznijmy trochę, i może jakoś dojdę do siebie - proponuję. Odpoczywamy. Leżąc tuż przy niej machinalnie dotykam jej skóry i parę razy podejmuję wysiłki, by dostać się do jej umysłu. Grobowa cisza. Żadnego drgnienia w polu telepatii. Nic. Czy to już koniec, właśnie teraz, w tej chwili? Czy tak ma wyglądać? Teraz jestem taki sam, jak wy. Muszę radzić sobie przy pomocy zwykłych słów.

- Mam pomysł - mówi Lisa. - Weźmy razem prysznic. Czasami to rusza facetów.

Nie sprzeciwiam się, to rzeczywiście może zadziałać, a w każdym razie moja towarzyszka będzie lepiej pachnieć. Idziemy do łazienki. Strumienie orzeźwiającej, chłodnej wody.

Sukces. Zabiegi jej namydlonej dłoni przywracają mnie do życia. Wskakujemy do łóżka. Z twardym członkiem wchodzę na nią i zabieram się do rzeczy. Słysząc już tylko nasze szybkie oddechy. Telepatycznie niczego nie odbieram. Nagle Lisa doznaje krótkich zabawnych spazmów, intensywnych i gwałtownych. Wkrótce potem ja też przeżywam orgazm. Tyle na temat seksu.

Odczuwając jeszcze echo niedawnej rozkoszy, przytulamy się do siebie. Znowu próbuję ją wysondować. Zero. Zeero. Skończyło się? Myślę, że naprawdę się skończyło. Byłaś świadkiem historycznego wydarzenia, młoda damo. Utraty niezwykle pozazmysłowej mocy. Tutaj została już tylko martwa skorupa po mnie. Szkoda.

- Byłabym zachwycona, gdybyś pokazał mi trochę twoich wierszy, Dave.

* * *

Poniedziałek. Wieczór. Mniej więcej siódma trzydzieści. Lisa nareszcie sobie poszła. Idę do pobliskiej pizzerii na obiad. Jestem zupełnie spokojny. Nie pojąłem jeszcze znaczenia tego, co się stało. Zadziwia mnie moja zdolność akceptacji. Wiem jednak, że może to na mnie spaść w każdej chwili, zmiażdżyć mnie, zniszczyć. Będę płakać, wrzeszczeć, walić głową o ścianę. Ale teraz jestem zdumiewająco chłodny. Dziwaczne odczucia pogrobowca, tak jakbym przeżył samego siebie. A także ulga - napięcie minęło, proces dokonał się, śmierć stała się faktem, a ja przeżyłem. Oczywiście nie spodziewam się, żeby ten nastrój trwał długo. Utraciłem podstawę mojego istnienia i teraz czekam na cierpienie i żal, i rozpacz, które już niedługo muszą wybuchnąć. Coś mi się jednak wydaje, że muszę odłożyć moją żalobę na później. To, co uznałem za umarłe, jeszcze nie odeszło. Wchodzę do pizzerii, a sprzedawca obdarza mnie na powitanie zdawkowym, nowojorskim uśmiechem i nagle zza jego tłustej twarzy niespodziewanie popłynęły słowa: "Hej, ten żarłok zawsze prosi o dokładkę anchois".

Odczytałem go czysto. A więc moc jeszcze nie umarła. Przynajmniej nie całkiem! Potrzebowała jedynie chwili wytchnienia. Schronienia.

* * *

Wtorek. Przenikliwie zimno. Jeden z tych okropnych, późnojesiennych dni, kiedy powietrze można wykręcać jak mokrą ptachtę, a promienie słońca tną jak noże. Ukończyłem jeszcze dwie prace semestralne. Dostarczę je jutro. Czytam Updike'a. Po lunchu dzwoniła Judyta. Zwyczajowe zaproszenie na obiad. I moja, jak zwykle wymijająca, odpowiedź.

- Co sądzisz o Karlu? - pyta.

- Imponujący mężczyzna.

- Chce się ze mną ożenić.

- I co?

- To za wcześnie. Nie znam go tak naprawdę, Daw. Lubię go, ogromnie go podziwiam, ale nie

jestem pewna, czy to miłość.

- Więc nie działaj pochopnie - radzę. Jej wahania rodem z ckliwego serialu nudzą mnie. Swoją drogą nie rozumiem, jak ktoś wystarczająco dorosły, by znać życie, może pakować się w małżeństwo. Dlaczego miłość wymaga zalegalizowania? Po co zaraz leżać w łapy państwa i oddawać mu władzę nad sobą? Po co pozwalać, by pieprzeni prawnicy zarządzali twoimi dobrami? Małżeństwo jest dla niedojrzałych, niepewnych siebie, dla ignorantów. My, którzy przejrzelismy te instytucje na wylot, zadowolamy się wspólnym życiem bez papierka, co, Toni? Co?

- Poza tym jeśli za niego wyjdiesz, zapewne będzie żądał, żebyś zerwała z Guermentesem. Nie sądzę, by chciał to tolerować.

- Wiesz o mnie i o Claudzie?

- Oczywiście.

- Ty zawsze wszystko wiesz.

- To było widać, Judytko.

- Myślałam, że twoja moc zanika?

- Zanika, zanika, nawet szybciej niż zwykle. Ale mimo to wasz związek był oczywisty.

Widoczny gołym okiem.

- W porządku. Co myślisz o Guermentesie?

- Jest jak śmierć. To zabójca.

- Źle go oceniasz, Daw.

- Byłem w jego głowie. W i d z i a ł e m go, Judytko. To nie jest człowiek. Traktuje ludzi jak zabawki.

- Gdybyś mógł się teraz usłyszeć, Dawidzie. Ta nienawiść, ta otwarta zazdrość w twoim głosie.

- Z a z d r o ś ć? Posądzasz mnie o kazirodcze uczucia?

- Zawsze taki byłeś - mówi. - Ale dajmy temu spokój. Ja naprawdę myślałam, że Claude cię

zainteresował.

- Bo to prawda. On jest fascynujący. Myślę, że kobry też są fascynujące.

- Odpieprz się, Dawidku.

- Chcesz, żebym udawał, że go lubię?

- Nie potrzebuję, żebyś mi robił grzeczność. - Dawna, lodowata Judyta.

- A jak Karl reaguje na Guermentesa? Nie odpowiada. Wreszcie:

- Negatywnie. Karl jest bardzo konwencjonalny, jak ci wiadomo. Zresztą, ty jesteś taki sam.

- Ja?

- Och, jesteś taki bezceremonialny, Daw! Taki purytański! Przez całe życie robiłeś mi wykłady o moralności. Kiedy pierwszy raz się z kimś przespałam, ty natychmiast byłeś na miejscu, grożąc mi palcem.

- Dlaczego Karl go nie lubi?

- Nie wiem. Uważa, że Claude jest groźny. Że to wykorzystywacz. - Nagle jej głos robi się płaski i głuchy. - A może jest po prostu zazdrosny. Wie, że jeszcze sypiam z Claudem. O Boże, Daw, dlaczego ciągle się kłócimy? Czy nie możemy po prostu porozmawiać?

- Ja się nie kłócę. To nie ja podniosłem głos.

- Ale prowokujesz mnie. Zawsze tak robisz. Najpierw mnie śledzisz, a potem prowokujesz i próbujesz mnie pognać.

- Trudno przełamać stare nawyki, Judytko. Ale mówiąc poważnie, to nie jestem na ciebie zły.

- To brzmi tak nieszczerze!

- Nie jestem zły. To ty się wściekasz. Wściekasz się, bo zobaczyłaś, że Karl i ja mamy podobne opinie o twoim przyjacielu Guermentesie. Ludzie zawsze denerwują się, kiedy mówi się im rzeczy, których nie chcą słyszeć. Słuchaj, Judyto, rób, co chcesz. Jeżeli uważasz, że Guermentes jest dla ciebie ważny, to nie krępuj się.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. - Niespodziewana zmiana tonu. - Może rzeczywiście jest w naszym związku coś chorego.

Jej pewność siebie niespodziewanie znika. To właśnie jest w niej cudowne - co chwilę rozmawiasz z inną Judytą. Teraz zmiękła, odtajała, jej głos brzmi nieśmiało. A za chwilę skieruje swoje zainteresowania gdzie indziej, daleko od jej własnych problemów, najlepiej w moją stronę.

- Przyjdiesz do nas na obiad w przyszłym tygodniu? Naprawdę chcielibyśmy z tobą posiedzieć.

- Postaram się.

- Martwię się o ciebie, Dawidku. (A nie mówiłem?) Byłeś taki napięty w sobotę wieczorem.

- Mam teraz trudny okres. Ale dam sobie radę.

Nie mam ochoty mówić o sobie. Nie chcę jej litości. Jak tylko pozwolę jej uzalać się nade mną, to rozkleję się zupełnie.

- Słuchaj, zadzwonię w najbliższym czasie, dobra?

- Czy ciągle tak cierpisz, Daw?

- Przystosowuję się. Zaczynam akceptować całą tę sprawę. To znaczy dam sobie radę. Bądź ze mną w kontakcie, Judytko. Najlepsze pozdrowienia dla Karla.

I dla Claude'a, dodaję, odłożywszy słuchawkę.

* * *

Środa rano. Jadę do miasta dostarczyć ostatni zestaw moich arcydzieł. Jest jeszcze zimniej niż wczoraj. Powietrze oczyściło się. Dalekie słońce jaśniej dzisiaj świeci. Jakże suchy wydaje się świat. Poziom wilgotności wynosi chyba minus 16%. Przy takiej pogodzie z reguły odbieram wszystko z niesamowitą czystością. Ale tym razem, kiedy jadę metrem na uniwersytet, nie jestem w stanie uchwycić niczego, co miałoby jakiś sens, tylko ciche zamazane echa słów. Już nie mogę przewidywać, jaką mocą będę dysponować danego dnia. A dzisiaj jest widocznie zły dzień.

Nieobliczalny - taki właśnie jesteś, ty, co mieszkasz w mojej głowie nieobliczalny. Bezsensownie

miotasz się w śmiertelnych bólach.

Idę na swoje zwykłe miejsce i oczekuję klientów. Przychodzą, dostają ode mnie to, po co przyszli, kładą mi na rękę zielone papierki. Dawid Selig, dobroczyńca abiturientów. Dostrzegam Yahę Lumumbę, który jak czarna sekwoja zbliża się ku mnie od strony Biblioteki Butlem. Dlaczego drzę. W powietrzu czai się chłód, prawda? Technienie zimy, śmierć roku. Gwiazda koszykówki idąc rozdaje uśmiechy, łaskawe skinienia głową. Każdy go zna, każdy go pozdrawia. Czuję, jak pada na mnie blask jego chwały. Chyba pójdę obejrzeć go na boisku, jak tylko zacznie się sezon.

- Przyniosłeś pracę, człowieku?

- Proszę - wyciągam ją spomiędzy innych. - Ajschylos, Sofokles, Eurypides. Sześć stron. To wynosi dwadzieścia jeden dolarów minus pięć, które już mi dałeś. Czyli jesteś mi winien jeszcze szesnaście.

- Chwileczkę, stary. - Siada koło mnie na stopniach. Chyba najpierw muszę przeczytać te pierdoły, no nie? Skąd mam wiedzieć, że odwaliłeś dobrą robotę?

Obserwuję go, jak czyta. Nie wiem dlaczego, ale oczekuję, że będzie poruszał wargami, zatrzymując się dłużej nad trudniejszymi miejscami. Ale nic z tego. Jego oczy pędzą przez linijki. Krzywi się. Czyta coraz szybciej, niecierpliwie przewracając kartki. Kiedy skończył, spojrzał na mnie. W jego wzroku jest śmierć.

- To jest do dupy, stary - mówi. - Twierdzą, że to jest do dupy. Kogo ty chcesz nabrać?

- Gwarantuję, że dostaniesz cztery plus. Nie musisz mi płacić, zanim nie dostaniesz oceny.

Cokolwiek niższego niż cztery plus i...

- Nie, posłuchaj mnie. Kto mówi o stopniach? Ja tego w ogóle nie mogę oddać. Słuchaj, połowa napisana jest jakimś idiotycznym slangiem, a druga połowa zerznęta z książki. Pieprzone bzdury, ot co. Profesor, on weźmie to i przeczyta, i popatrzy na mnie, i powie: Lumumba, ty myślisz, że kto

ja jestem? Ty myślisz, że ja jestem głupek, co, Lumumba? Nie napisałeś tego śmiecia, tak mi powie. Nie wierzysz w ani jedno słowo z tych bzdur. - Wstaje z wściekłością. - Słuchaj, teraz przeczytam ci z tego kawałek. Sam zobaczysz, co mi dałeś. - Przerzuca strony, jęczy, spluwa, potrząsa głową. - Nie. Dlaczego, do diabła, miałbym to czytać? Wiesz, co chciałeś udowodnić, no nie, stary? Chciałeś mnie ośmieszyć, ot co. Chciałeś zabawić się z durnym czarnuchem, stary.

- Próbowałem napisać to w sposób, który sugerowałby, że to ty...

- Bzdury. Pieprzenie mózgu, stary. Wyprodukowałeś stertę śmierdzącego żydowskiego gówna na temat Europydesa i jeszcze sądzisz, że wpakuję się w kłopoty, i pchnę to jako mój własny kawałek?

- To kłamstwo. Wykonałem tę pracę najlepiej, jak się dało, i kosztowało mnie to sporo wysiłku. Kiedy wynajmiesz kogoś innego, żeby pisał ci twoje prace semestralne, musisz być przygotowany na...

- Ile ci to zajęło? Piętnaście minut?

- Osiem godzin, może dziesięć - oświadczam. - Wiesz, co o tym myślę, Lumumba? Że uprawiasz odwrotny rasizm. To żydowskie, tamto żydowskie - jeśli tak bardzo nie znosisz Żydów, to dlaczego nie znalazłeś sobie jakiegoś czarnego, żeby napisał ci tę pracę? Dlaczego sam jej nie napisałeś? Wykonałem dla ciebie uczciwą robotę i nie chcę więcej słyszeć, jak nazywasz to śmierdzącym żydowskim gównem. I zapewniam cię, że jeśli to oddasz, to zaliczysz semestr prawdopodobnie ,co najmniej na cztery plus.

- Obleję, ot co.

- Nie, nie. Może po prostu nie rozumiesz tego, co napisałem. Pozwól, że ci wyjaśnię. Gdybyś mi to dał na chwilę do ręki i pozwolił przeczytać parę fragmentów - może trochę rozjaśni ci się w głowie, jeśli...

Wstaję, wyciągam rękę po wypracowanie, ale on uśmiecha się i unosi je wysoko nad moją

głową. Musiałbym wejść na drabinę, żeby je dosięgnąć. Podskakiwanie nic tu nie pomoże.

- Co jest, do cholery, nie wygłupiaj się! Daj mi to!

Szybko wyciągam rękę, ale on wykonuje drobny ruch nadgarstkiem i sześć arkuszy papieru unosi się na wietrze, płynąc dostojnie na wschód wzdłuż Szkolnej Promenady. Patrząc bez ruchu, jak się oddalają. Zaciskam pięści. Eksploduje we mnie gniew. Chcę trzasnąć go w tę drwiącą gębę.

- Nie powinieneś tego robić - wykrztuszam. - Nie powinieneś tego wyrzucać.

- Jesteś mi winien pięć dolców, stary.

- Poczekaj no. Wykonałem pracę, do której mnie wynająłeś i...

- Powiedziałeś, że nie bierzesz zapłaty, jeżeli praca nie jest dobra. O.K., to było gówno. A więc bez zapłaty. Oddawaj mi piątaka.

- Nie grasz fair, Lumumba. Chcesz mnie oszukać.

- Kto tu chce kogo oszukać? Kto ustalał zasady zwrotu pieniędzy, co? Może ja? Ty. A co ja teraz zrobię z pracą semestralną? Nie zaliczę jej i to z twojej winy. Hm, hm? I co? Popatrz, człowieku. Na twój widok chce mi się rzygać. Dawaj piątaka.

Czy on mówi serio? Trudno powiedzieć. Sam pomysł zwrotu pieniędzy jest wstrętny, ale nie tylko o to chodzi. Chciałbym zajrzeć w jego myśli, lecz nie odbieram niczego. Jestem kompletnie zablokowany. Blefuję:

- Co to znaczy? Nowy rodzaj niewolnictwa? Wykonałem robotę. Nie wiem, co za idiotyczne powody wymyśliłeś, żeby ją odrzucić. Mam zamiar zatrzymać te pięć dolarów. Przynajmniej te pięć.

- Daj mi te pieniądze, człowieku.

- Idź do diabła.

Chcę się oddalić. Łapie mnie. Jego ramię wyciągnięte w moją stronę jest przynajmniej tak długie, jak moja noga. Przyciąga mnie do siebie. Zaczyna mną trząść. Zęby mi grzechoczą.

Uśmiecha się jeszcze szerzej niż zwykle, ale w oczach ma coś demonicznego. Macham pięściami w jego kierunku, lecz trzymany na odległość ramienia, nie jestem w stanie go dosięgnąć. Zaczynam krzyczeć. Wokół nas zbiera się tłum. Nagle pojawia się trzech lub czterech mężczyzn w kurtkach reprezentacji uniwersyteckiej. Czarni, gigantyczni, chociaż troszkę mniejsi od Lumumby. Jego kumple. Śmieją się, pokrzykują, wydziwiają. Bawią się mną.

- Hej, człowieku, naraził ci się? - woła jeden z nich.

- Pomóc ci, Yahya? - wrzeszczy inny.

- Co ci zrobił ten głupi sukinsyn? - wykrzywia się trzeci. Otaczają mnie, Lumumba wpycha mnie na faceta z lewej, ten łapie mnie i podaje dalej po okręgu. Zataczam się. Potykam, chwieję, ale nigdy nie pozwalają mi upaść. Dookoła, dookoła, dookoła. Ktoś trafił mnie łokciem w wargę. Czuję smak krwi. Ktoś daje mi kuksańca. Moja głowa odskakuje w tył. Czyjeś palce wbijają mi się między żebra. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że prawdopodobnie nieźle oberwę, te wielkoludy mają zamiar mnie obić. Jakiś głos, który z ledwością rozpoznaję jako mój własny, proponuje Lumumbie zwrot pieniędzy, ale nikt tego nie słyszy. W dalszym ciągu podają mnie z ręki do ręki. Już mnie nie poklepują, nie szczypią, ale tłuką pięściami. Gdzie jest policja uniwersytecka? Na pomoc! Na pomoc! Tu ginie człowiek! Ale nikt nie przychodzi. Tracę oddech. Chciałbym paść na kolana i tulić się do ziemi. Wrzeszczą na mnie, jakieś rasistowskie epitety, słowa, których nie rozumiem, murzyński żargon, prawdopodobnie wymyślony w zeszłym tygodniu. Nie wiem, co oznacza, ale z każdej sylaby bije ku mnie nienawiść. Na pomoc! Na pomoc! Świat wiruje w dzikim tempie. Teraz wiem, jak czułaby się piłka do koszykówki, gdyby oczywiście umiała odczuwać. Jednostajne uderzenia, nie kończący się ruch. Proszę, niech ktoś ich powstrzyma, proszę. Ból przeszywa moją klatkę piersiową, jakby ktoś wbił mi w mostek kawałek rozżarzonego do białości metalu. Już nic nie widzę, tylko czuję. Gdzie są moje stopy? Wreszcie padam. Spójrzcie, jak szybko mkną ku mnie schody. Zimny pocałunek kamienia rozgniata mój policzek. Być może

straciłem już przytomność, kto to wie? Jest w tym jednak coś pocieszającego. Niżej już nie upadnę.

. 22 .

Kiedy spotkał Kitty, gotów był się zakochać, przesycony wrażeniami, pełen chęci, by nawiązać z kimś kontakt emocjonalny. I może w tym był cały kłopot. Jego uczucie było nie tyle miłością, co poczuciem satysfakcji, płynącym z faktu, że jest zakochany. A może nie. Nigdy właściwie nie rozumiał swojego stosunku do Kitty. Ich romans miał miejsce latem 1963 roku. A o ile pamiętał, było to ostatnie lato nadziei i dobrego samopoczucia przed długą jesienią chaosu, entropii i filozoficznej rozpacz, która ogarniała zachodnie społeczeństwo. Jack Kennedy był u steru rządów i o ile nie szło mu zbyt dobrze w polityce, ciągle jeszcze sprawiał wrażenie, że potrafi to wszystko poskładać do kupy. Jeżeli nie od razu, to z pewnością w czasie swojej drugiej kadencji. Właśnie zakazano przeprowadzania atmosferycznych prób z bronią atomową. Moskwę i Waszyngton połączono gorącą linią. W sierpniu sekretarz stanu Rusk ogłosił, że rząd Południowego Wietnamu przejął kontrolę nad nowymi terenami. Liczba Amerykanów poległych w Wietnamie nie przekroczyła setki. Selig, wówczas dwudziestoosmioletni, właśnie przeprowadził się z Brooklyn Heights do małego mieszkania w West Seventies. Pracował wtedy jako makler giełdowy, co zupełnie do niego nie pasowało. Był to pomysł Toma Nyquista. Po sześciu latach Nyquist ciągle pozostawał jego najbliższym i praktycznie jedynym przyjacielem, chociaż w ciągu ostatniego roku lub dwóch ich przyjaźń wyraźnie się ochłodziła. Arogancka pewność siebie, jaka cechowała Nyquista, coraz bardziej denerwowała Seliga. Wreszcie uznał za pożądane stworzenie pomiędzy sobą a Nyquistem pewnego dystansu, zarówno psychologicznego, jak i geograficznego. Pewnego dnia Selig oświadczył z rozmarzeniem, że gdyby tylko zdołał uzbierać odpowiednią sumę pieniędzy, powiedzmy dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, to wyjechałby na odległą wyspę i spędził tam parę lat pisząc powieść. Miało to być fundamentalne dzieło o alienacji człowieka we współczesnym świecie, czy coś w tym rodzaju. Do tej pory nie napisał niczego poważnego i nie był

pewien, czy ma na to ochotę. Miał nadzieję, że Nyquist da mu te pieniądze. Gdyby zechciał, mógłby zdobyć dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w jedno popołudnie, a potem wręczyć mu je ze słowami: masz stary, idź i twórz. Ale Nyquist nie działał w ten sposób. Stwierdził, że najprostszy sposób szybkiego zarobienia pieniędzy przez kogoś bez kapitału to podjęcie pracy w firmie maklerskiej w dziale obsługi klienta. Dostaje się uczciwą prowizję, która wystarcza na utrzymanie i jeszcze można sporo zaoszczędzić. Jednak prawdziwą forszę robi się na szybkich posunięciach doświadczonych maklerów. Szybkie sprzedaże, zakupy nowych akcji, negocjacje finansowe. Jeżeli jesteś wystarczająco zapobiegliwy, możesz zarobić, ile tylko zechcesz. Selig protestował, tłumacząc, że nie ma pojęcia o Wall Street.

- Nauczę cię wszystkiego w trzy dni - obiecał Nyquist. W praktyce zajęło im to jeszcze mniej czasu. Selig wślizgnął się do mózgu Nyquista i przeszedł tam szybki kurs giełdowej terminologii. Nyquist miał świetnie przygotowane definicje: rachunków zwykłych i priorytetowych, krótko- i długoterminowych, kursów stelażowych, obligacji wymienialnych, zysków kapitałowych, sytuacji wyjątkowych, zamkniętych i otwartych lokat kapitału, ofert wtórnych. Dowiedział się, co to są specjaliści i ich zadania, listy zastawne, wskaźnik Dow-Jonesa, wolny rynek, rachunki przeciwstawne, tabele notowań i cała reszta.

Selig nauczył się tego wszystkiego na pamięć. Transfer informacji z mózgu Nyquista był niezwykle szybki i efektywny. Następnym krokiem było zapisanie się na kurs. Każda wielka firma maklerska: Merrill Lynch, Goodbody, Hayden Stone, Clark Dodge - a są ich dziesiątki - szuka nowych adeptów. Selig wybrał jedną na chybił trafił i złożył podanie. Na wstępie poddali go testowi terminów giełdowych. Znał większość odpowiedzi, a pozostałe znalazł w umysłach innych zdających - wielu z nich od dziecka interesowało się giełdą. Zaliczył z maksymalną liczbą punktów i został przyjęty. Po krótkim stażu zdał egzamin na licencję i nie minęło wiele czasu, jak został licencjonowanym przedstawicielem firmy w nowo otwartym biurze maklerskim na Brooklynie w

pobliżu 72 Ulicy. Oprócz niego pracowało tu jeszcze czterech maklerów, wszyscy młodzi. Klientelę stanowili przede wszystkim starszycy żydowskiego pochodzenia. Przychodziły tam siedemdziesięcioletnie wdowy z wielkich kamienic stojących przy 72 Ulicy, emerytowani producenci konfekcji, z cygarami w ustach, zamieszkali przy West End Avenue i Riverside Drive. Niektórzy byli całkiem zamożni i w możliwie najbardziej ostrożny sposób inwestowali swoje pieniądze. Wielu nie miało ani grosza, co nie przeszkadzało im nalegać na kupno czterech akcji Con Edison lub trzech akcji Telephone. Dawało im to złudzenie operatywności. Ponieważ sporo klientów, ludzi starszych, już nie pracowało, lwią część transakcji odbywała się nie przez telefon, lecz w biurze. Prawie zawsze pięciu lub dziesięciu podstarzałych obywateli warowało pod tablicą świetlną, a od czasu do czasu któryś z nich przypadał do biurka swojego ulubionego maklera i składał zamówienie. Podczas czwartego dnia pracy Seliga pewien czcigodny klient zasnął, śledząc wyniki dziewięciopunktowej zwyżki. Miał śmiertelny atak serca. Nikt nie był tym zdziwiony, nikogo nie wytrąciło to z równowagi, ani pracowników, ani przyjaciół ofiary. Potem okazało się, że klienci często umierali w biurze. Taki los. W pewnym wieku bierze się pod uwagę, że przyjaciele nagle umierają. Dawid szybko stał się ulubieńcem, szczególnie starszych pań. Lubily go, bo był miłym, żydowskim chłopcem. Niektóre ofiarowały się nawet przedstawić go swoim podrośniętym wnuczkom. Zawsze grzecznie odmawiał. Postawił sobie za punkt honoru uprzejmość i cierpliwość, odgrywał dobrego wnuka. Były to głównie ciemne, niewykształcone kobiety, które przez całe życie pozostawały w stanie całkowitej życiowej niewinności z winy swoich zaharowanych, żądnych zysku, cholerycznych mężów. Dziedziczyły więcej pieniędzy, niż były w stanie wydać, a nie miały pojęcia, jak je ulokować, polegając w zupełności na miłym, młodym maklerze. Badając ich mózgi prawie zawsze odkrywał, że są mdłe i żałośnie nieufarmowane. Jak mogły dożyć siedemdziesięciu pięciu lat bez żadnych przemyśleń? Chociaż parę bardziej żywotnych dam wykazywało namiętą i wesołą chłopską pazerność. Było to na swój sposób czarujące. Mężczyźni nie byli tak przyjemni

naładowani forszą i ciągle żądni nowych zysków. Ich wulgarna, żarłoczna ambicja odstręczała go i tylko z obowiązku zaglądał w ich umysły, by lepiej poznać ich zamiary i obsłużyć ich tak, jak tego pragnęli. Miesiąc wśród takich ludzi nawet Rockefellera zmieniliby w socjalistę.

Interes szedł dobrze, ale nie przynosił kokosów. Kiedy Dawid zdobył już sobie stałą klientelę, jego prowizja urosła do stu sześćdziesięciu dolarów na tydzień, co stanowiło największą sumę, jaką kiedykolwiek udało mu się zarobić, ale nie odpowiadało jego wcześniejszym wyobrażeniom o bajecznych zyskach maklerów.

- Masz szczęście, że przyszedłeś do nas wiosną - powiedział mu jeden z kolegów. - Zimą wszyscy klienci lecą na Florydę i można się udławić z nudy, zanim ktokolwiek tu się pojawi.

Tak jak przewidywał Nyquist, Dawid dorabiał trochę na boku, inwestując na własny rachunek.

W biurze zawsze zawierano jakieś drobne umowy, bywały też hojne napiwki oznaczające konkretne zyski. Rozpoczął mając trzysta pięćdziesiąt dolarów i szybko powiększył swoje oszczędności do ogromnej czterocyfrowej sumy. Zarabiał na akcjach Chryslera, Control Data, RCA, Sunray DX Oil, sprawnie obracał akcjami sugerując się pogłoskami o fuzjach i rozłamach przedsiębiorstw, lub błyskawicznych zyskach. Ale po jakimś czasie odkrył, że Wall Street działa w dwóch kierunkach i większość jego wygranej stopniała w źle wycelowanych operacjach w takich firmach, jak Brunswick, Beckman Instruments i Martin Marietta. Zrozumiał, że nigdy nie uskłada tyle, by wyjechać i napisać powieść. A zresztą... Czy świat potrzebował następnego powieściopisarza amatora? Zastanawiał się, co robić dalej. Po trzech miesiącach pracy miał trochę pieniędzy w banku (niezbyt dużo) i był kompletnie znudzony.

Szczęście przyniosło mu w darze Kitty. Pojawiła się pewnego parnego lipcowego poranka o wpół do dziesiątej. Giełda jeszcze nie ruszyła, większość klientów wyjechała na letnisko do Catskills, a w biurze był tylko szef Martinson, Selig i jeden z jego kolegów maklerów. Martinson sumował swoje rachunki, Nadel wisiał na telefonie, próbując wspólnie z kimś z centrum opracować

skomplikowany fortel z akcjami American Photocopy, a Dawid, beczynny, marzył o miłości jakiejś przepięknej wnuczki. Nagle otworzyły się drzwi i weszła piękna wnuczka. Może nie piękna, ale z pewnością atrakcyjna: dziewczyna koło dwudziestki, szczupła i świetnie zbudowana, mniej więcej pięć stóp cztery cale wzrostu, z falującymi jasnobrązowymi włosami, niebieskozielonymi oczyma i o miłych rysach twarzy. Miała wiele wdzięku. Wydawała się inteligentna, nieśmiała, w jakiś sposób niewinna, dziwna mieszanina wykształcenia i naiwności. Miała na sobie białą jedwabną bluzeczkę - na małych piersiach leżał złoty łańcuszek - i brązową spódnicę sięgającą kostki, która sugerowała nieskazitelną budowę nóg. Nie, nie była to piękna dziewczyna, ale z pewnością bardzo ładna. Aż miło było patrzeć. Selig zastanawiał się, czego ona, do diabła, szuka w tej świątyni Mamony w tak młodym wieku. Przyszła tu o pięćdziesiąt lat za wcześnie. Kiedy zbliżała się ku niemu, zdziwienie skłoniło go do wysłania receptorów w kierunku jej umysłu. Szukał jedynie powierzchniowych informacji imię, wiek, stan cywilny, adres, numer telefonu, cel wizyty - co jeszcze? Nie znalazł nic.

Doznał szoku. To było niepojęte. Jedyne w swoim rodzaju. Sięgnąć w kierunku mózgu i odkryć, że jest absolutnie nieosiągalny, zamknięty, schowany za nieprzeniknionym murem. Nigdy wcześniej mu się to nie przydarzyło. Nie odbierał nawet ogólnej aury. Równie dobrze dziewczyna mogła być gipsowym manekinem w sklepowej witrynie lub bezmózgim robotem z innej planety. Siedział oszołomiony, próbując wytłumaczyć tę porażkę. Był tak zaskoczony tą całkowitą niedostępnością, że nie zwrócił uwagi na jej słowa i musiał prosić, by je powtórzyła.

- Mówiłam, że chcę otworzyć konto giełdowe. Czy pan jest maklerem?

Zachowywał się jak zakłopotany osioł, porażony nagle chłopięcą niezgrabnością. Podał jej odpowiednie formularze. Do tej pory wróciło już paru innych maklerów, ale za późno. Według panujących tu reguł dziewczyna była jego klientką. Podczas gdy ona mówiła mu o swoich problemach, studiował elegancką zwięzającą się ku górze konstrukcję jej garbatego noska i toczył

beznadziejną walkę z jej kłopotliwym, tajemniczym, niedostępnym mózgiem. Mimo to, a może właśnie dlatego, poczuł, że nieodwołalnie ulega miłości.

Miała dwadzieścia dwa lata, rok temu skończyła Radcliffe, pochodziła z Long Island, wraz z dwiema koleżankami dzieliła mieszkanie przy West End Avenue. Niezameżna - była tam jakaś nieudana historia miłosna zakończona nie tak dawno zerwaniem zaręczyn. Wszystko to odkrył później. (Jakże dziwne było dla niego, że nie dowiedział się tego od razu, jak to zwykle bywało.)

Miała wykształcenie techniczne, pracowała jako programistka komputerów. Termin ten, w 1963 roku, niewiele mu mówił. Nie był pewien, czy projektowała komputery, pracowała na nich, czy też je naprawiała. Ostatnio odziedziczyła sześć tysięcy pięćset dolarów po ciotce z Arizony, a jej rodzice, najwyraźniej surowi i groźni zwolennicy metody "radź sobie sam", kazali jej zainwestować pieniądze samodzielnie. Miało to nauczyć ją odpowiedzialności. Więc, jak owieczka na strzyżenie, poszła do najbliższego biura maklerskiego, aby ulokować swój kapitał.

- Co pani wybiera? - spytał Selig. - Możemy złożyć to bezpiecznie w niebieskiej kasetce w sejfie albo troszkę podzielać, dać szansę szczęściu i mieć zysk z tego kapitału.

- Nie wiem. Nie wiem nawet najprostszych rzeczy na temat giełdy. Nie chciałabym zrobić głupstwa.

Inny urzędnik, na przykład Nadel, palnąłby jej mowę pod tytułem: "Nic nie ryzykujesz, nic nie zyskujesz" i radząc jej, by zapomniała o takich przeżytkach, jak dywidendy, skierowałby ją ku zestawowi akcji: Texas Instruments, Collins Radio, Polaroid i tym podobne. Potem co parę miesięcy zmieniałby coś w ich układzie - Polaroid na Xerox, Texas Instruments na Fairchild Camera, Collins na American Motors, a potem American Motors z powrotem na Polaroid - bez przerwy odliczając sobie wymyślne prowizje, czasami zarabiając dla niej trochę pieniędzy, a czasem odwrotnie, tracąc. Seligowi nie starczało cierpliwości na takie posunięcia.

- To brzmi skomplikowanie - rzekł - ale będziemy grać jak najbezpieczniej. Polecam pani parę

uczciwych zagrywek, które, co prawda, nie przyniosą specjalnego zysku, ale z drugiej strony nie stanowią też żadnego zagrożenia. Będzie mogła pani odłożyć całą sprawę na bok i tylko patrzeć jak pieniążki rosną. Nie trzeba będzie sprawdzać codziennie notowań giełdowych ani dokonywać pośpiesznych sprzedaży. Bo chyba nie ma pani ochoty zaprzętać sobie głowy fluktuacjami krótkoterminowych akcji, prawda?

Było to całkowicie niezgodne z instrukcjami Martinsona dotyczącymi nowych klientów. Ale do diabła z tym. Kupił jej trochę Jersey Standard, trochę Telephone, parę akcji IBM, dwa dobre prywatne przedsiębiorstwa elektryczne i trzydzieści udziałów Lehman Corporation, które posiadało wiele starszych klientów. Nie zadawała żadnych pytań.

- Proszę - powiedział. - Oto pani portfolio. Teraz jest pani kapitalistką.

Uśmiechnęła się. Był to nieśmiały, na pół wymuszony uśmiech, ale zdawało mu się, że dostrzega w jej oczach cień zalotności. To niesłychane - nie móc odczytać jej myśli, polegać wyłącznie na zewnętrznych sygnałach. Ale podjął wyzwanie.

- Co pani robi dzisiaj wieczorem? Wychodzę stąd o czwartej.

Miała dzisiaj czas, ale pracowała od jedenastej do szóstej po południu. Umówił się, że podjedzie pod jej dom o siódmej. Kiedy opuszczała biuro, trudno byłoby nie zauważyć ciepła w jej uśmiechu.

- Ty pieprzony szczęściarzu - rzekł Nadel. - Coś ty zrobił, umówiłeś się z nią? To sprzeczne z zasadami bezpieczeństwa - maklerzy nie mogą spotykać się ze swoimi klientami.

Selig tylko się roześmiał. Dwadzieścia minut po otwarciu giełdy sprzedał bez pokrycia dwieście akcji Molibdenum na konto Amex i pokrył tę sprzedaż półtora punktu niżej jeszcze przed lunchem.

Osądził, że powinno to z nadwyżką wystarczyć na solidny obiad. To Nyquist dał mu wczoraj cynk

- Molly to pewna sprawa, jestem przekonany, że spadnie z łóżka. Podczas popołudniowej sjesty zadowolony z siebie zadzwonił do Nyquista, by poinformować go o tej zagrywce.

- Zbyt szybko to spłaciłeś - Nyquist natychmiast go zbeształ. - Ona z pewnością spadnie jeszcze

pięć lub sześć punktów niżej w tym tygodniu. Będzie z tego niezła forsa.

- Nie jestem taki chciwy. Chciałem tylko zapłacić bieżące rachunki.

- To nie jest sposób, by zostać bogatym.

- Myślę, że nie mam instynktu hazardzisty - powiedział Selig. Zawahał się. Prawdę mówiąc nie po to dzwonił do Nyquista, by opowiedzieć mu o sprzedaży akcji. Spotkałem dziewczynę, chciał opowiedzieć, i mam teraz pewien mały problem. Spotkałem dziewczynę, spotkałem dziewczynę. Powstrzymał go nagły przypływ strachu. Milcząca obecność Nyquista po drugiej stronie telefonu miała w sobie coś niepokojącego. Będzie się ze mnie śmiał, myślał Selig. Zawsze podśmiewa się ze mnie po cichu, myśląc, że tego nie widzę. Ale to przecież głupstwo.

- Tom - zaczął - wydarzyło się dzisiaj coś dziwnego. Do biura przysła dziewczyna. Bardzo atrakcyjna. Umówiłem się z nią.

- Gratulacje.

- Poczekaj. Problem polega na tym, że nie jestem w stanie jej odczytać. To znaczy, nawet nie odbieram jej nastroju. Pustka, kompletna pustka. Pierwszy raz coś takiego mi się przytrafiło. A tobie?

- Nie przypominam sobie.

- Zupełnie nic, nie mogę tego zrozumieć. Co może dawać jej tak silną osłonę?

- Może jesteś dziś zmęczony - sugerował Nyquist.

- Nie, nie. Każdego odbieram tak jak zawsze. Tylko nie ją.

- Czy to cię denerwuje?

- Oczywiście.

- Dlaczego oczywiście?

Dla Seliga było jasne, że Nyquist podpuszczał go - cichy, spokojny, obojętny głos. Gra. Sposób zabijania czasu. Żałował, że zadzwonił. W tym momencie coś ważnego pojawiło się na tablicy

światłej i zapłonęła lampka drugiego telefonu. Nadel, łapiąc za słuchawkę, rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- Chłopie, zostaw to, robota czeka! Selig rzucił szybko:

- Jestem... no cóż, bardzo nią zainteresowany. I denerwuje mnie, że nie mogę zobaczyć jej naprawdę.

- Chcesz powiedzieć, że denerwujesz się, bo nie możesz jej szpiegować.

- Nie lubię tego sformułowania.

- A czyje to są słowa? Nie moje. Tak przecież określasz to, co robimy. Jako szpiegowanie.

Czujesz się winny, bo szpiegujesz ludzi, prawda? Ale zdaje się, że wściekasz się też wtedy, kiedy nie możesz szpiegować.

- Przypuszczam - nadmienił ponuro Selig - że tak właśnie jest.

- Ta dziewczyna zmusza cię; byś skorzystał z tej samej, męczącej techniki zgadywania, na jaką skazana jest reszta ludzkości, jeżeli chce się z kimś porozumieć. I to ci się nie podoba. Mam rację?

- W twoim wykonaniu brzmi to obrzydliwie.

- I co chcesz zrobić? - powiedział.

- Nic nie musisz mówić. Po prostu informuję cię, że jest taka dziewczyna, której nie potrafię odczytać, i że nigdy wcześniej nie stanąłem przed takim problemem. I jestem ciekaw, czy masz jakąś teorię, która wyjaśniałaby, dlaczego jest tak, a nie inaczej.

- Nie wiem - odrzekł Nyquist. - Nie wymyślę nic na poczekaniu.

- Trudno. Ja...

Ale Nyquist jeszcze nie skończył:

- Zdajesz sobie sprawę, że nie jestem w stanie stwierdzić, czy ona jest niedostępna dla komunikacji telepatycznej w ogóle, czy tylko dla ciebie, Dawidzie.

Przed chwilą Seligowi też zaświtała ta możliwość. Bardzo go to zdenerwowało. Nyquist

kontynuował łagodnym głosem:

- Powinieneś przyprowadzić ją któregoś dnia, żebyśmy mogli się jej przyjrzeć. Może w ten sposób dowiem się o niej czegoś ciekawego.

- Zrobię tak - powiedział Selig bez entuzjazmu. Wiedział, że takie spotkanie jest konieczne i nieodwołalne, ale pomysł narażenia Kitty na spotkanie z Nyquistem wywoływał w nim niepokój. Nie rozumiał jednak, dlaczego tak się dzieje.

- Wpadnę w najbliższym czasie - oznajmił. - Słuchaj, świecą się wszystkie telefony. Odezwę się.

- Pozdrów ją ode mnie - powiedział Nyquist.

. 23 .

Dawid Selig

Studia Seligowskie 101

Prof. Selig

10 listopada 1976

Działanie entropii w życiu codziennym

W fizyce entropię definiuje się jako matematyczne wyrażenie stopnia utraty energii w układzie termodynamicznym (energia ta nie może ulec przemianie na pracę). W bardziej ogólnym metaforycznym ujęciu entropia może być traktowana jako nieodwracalna tendencja dowolnego układu, włączając w to wszechświat, do zmierzania w kierunku chaosu i bezwładu. Innymi słowy wszystko pogarsza swoją jakość, aż wreszcie będzie już tak źle, że zabraknie nawet możliwości stwierdzenia, jak wielki jest stopień upadku.

Pierwszym, który zastosował drugie prawo termodynamiki (definiujące wzrastające nieuporządkowanie energii poruszającej się w układzie zamkniętym) w chemii, był wielki amerykański fizyk Josiah Willard Gibbs (1839-1903). To właśnie on twardo stał na stanowisku, że wraz ze starzeniem się wszechświata rośnie jego nieuporządkowanie. Wśród tych, którzy przenieśli

poglądy Gibbsa w dziedzinę filozofii, był błyskotliwy matematyk Norbert Wiener (1894-1964), który w swojej książce "Jak traktować istoty ludzkie" stwierdził: "W miarę jak wzrasta entropia, wszechświat i wszystkie systemy zamknięte wewnątrz niego w naturalny sposób zmierzają ku deterioracji, tracą swoją zróżnicowaną strukturę, przechodząc z najmniej do najbardziej prawdopodobnego stanu - ze stanu zorganizowania i zróżnicowania, gdzie istnieją formy i odrębności, w stan chaosu i jednorodności. We wszechświecie Gibbsa porządek jest najmniej prawdopodobny, a chaos najbardziej. Ale jeśli wszechświat jako całość - o ile naprawdę istnieje on jako całość - ma tendencję do rozpadu, to są jednak pewne lokalne enklawy ukierunkowane odwrotnie do reszty wszechświata. Mamy tam do czynienia z czasową i ograniczoną tendencją do wzrostu zorganizowania. W takich enklawach powstaje życie".

Tak więc Wiener oddaje hołd życiu jako takiemu i istotom ludzkim jako bohaterom wojny przeciwko entropii, którą w innym miejscu utożsamia z wojną przeciwko złu: "Ten obcy element, tę organiczną niedoskonałość (to znaczy fundamentalny element przypadku wpisany w strukturę wszechświata) możemy, bez obawy, że nadużyjemy znaczenia słów, nazwać złem".

Istoty ludzkie, powiada Wiener, prowadzą działalność skierowaną przeciwko entropii. Mamy receptory zmysłowe. Porozumiewamy się ze sobą. Czynimy użytek z wiadomości, jakie nawzajem sobie przekazujemy. Dzięki temu jesteśmy czymś więcej niż tylko pasywnymi ofiarami spontanicznego postępu wszechogarniającego chaosu. "My, jako istoty ludzkie, nie jesteśmy układami izolowanymi. Pobieramy z zewnątrz żywność, która generuje energię i w rezultacie jesteśmy częścią świata, który zawiera źródła naszej witalności. Ale jeszcze bardziej znaczący jest fakt, że poprzez zmysły pobieramy informacje i działamy na ich podstawie." Innymi słowy istnieje tu sprzężenie zwrotne. Dzięki porozumiewaniu się możemy kontrolować nasze otoczenie i jak mówi Wiener: "Poprzez kontrolę i porozumiewanie się zwalczamy tendencję natury do degradowania tego, co zorganizowane, niszczenia tego, co posiada znaczenie, tendencję (...) do

wzrostu entropii". W ostatecznym rozrachunku i tak nas ona dopadnie, ale na krótki dystans możemy z nią wygrywać. "Nie jesteśmy jeszcze świadkami ostatnich stadiów śmierci świata." Ale co się dzieje, jeśli istota ludzka zmienia się - nieświadomie lub przez własny wybór - w układ izolowany?

Na przykład pustelnik. Żyje w ciemnej jaskini, gdzie nie dociera żadna informacja. Zjada grzyby. Dostarczają mu energii pozwalającej na przeżycie, ale brak mu innych bodźców. Zmuszony jest zwrócić się ku swoim własnym duchowym i umysłowym zasobom, które w końcu wyczerpuje. Stopniowo rozszerza się w nim chaos, stopniowo siły entropii zaczynają władać jego ośrodkiem nerwowym. Przyjmuje coraz to mniejszą ilość danych zmysłowych, aż wreszcie całkowicie poddaje się entropii. Przestaje się poruszać, rosnąć, oddychać, funkcjonować w jakikolwiek sposób. Ten stan nazywamy śmiercią.

Ukrywanie się w jaskini nie jest konieczne. Można dokonać wewnętrznej emigracji, odgradzając się od życiodajnych źródeł energii. Często się to zdarza, ponieważ źródła energii bywają traktowane jako zagrożenia dla stabilności jaźni. Rzeczywiście, bodźce mogą być takim zagrożeniem każdy ruch zakłóca równowagę. Jednakże, zwykle przeoczamy fakt, że sama równowaga także stanowi niebezpieczeństwo. Wiele małżeństw walczy o uzyskanie równowagi. Zapieczętowują drzwi swojego domu, przylegają ściśle jedno do drugiego, zamykają się przed resztą wszechświata, budują w ten sposób zamknięty, dwuosobowy układ, z którego wszelka witalność zostaje nieodwołalnie wyrugowana przez śmiertelną równowagę, którą stworzyli. Dwie osoby mogą przepaść równie łatwo, jak jedna, jeżeli tylko zdołają dokładnie odgrodzić się od otaczającego świata. Nazywam to błędem monogamiczności. Moja siostra Judyta mówiła, że opuściła swojego męża, ponieważ - będąc z nim - czuła, że dzień po dniu wszystko w niej zamiera. Oczywiście Judyta to niezłe ziółko.

Taki zanik działalności zmysłów nie zawsze jest zaprogramowanym wydarzeniem. Czasami

zdarza się bez względu na nasze pragnienia czy chęci. Zostajemy zamknięci w pudełku, mimo że nie próbowaliśmy do niego wchodzić. O tym właśnie myślałem, mówiąc, że entropia i tak nas dopadnie w ostatecznym rozrachunku. Nie ma znaczenia, jak bardzo jesteśmy żywotni, pełni wigoru, żądni wrażeń. Wraz z upływem czasu bodźce słabną. Wzrok, słuch, dotyk, węch, wszystko zanika i jak mówił stary Wills S.: na koniec jesteśmy bez zębów, bez oczu, bez smaku, bez czegokolwiek. Bez czegokolwiek. Albo, jak to ujął ten dzielny człowiek, z godziny na godzinę coraz bardziej dojrzewamy, po to by później z godziny na godzinę coraz bardziej gnić. I na tym opiera się cała opowieść.

Ja sam mogę służyć jako najlepszy przykład. Co udowadnia smutna historia tego człowieka? Niewytłumaczalne zanikanie tak niegdyś znacznych mocy. Malejące impulsy. Pewien rodzaj śmierci, lecz ofiara ciągle jeszcze żyje.-Czy nie jestem jednym z poległych w wojnie z entropią? Czy nie przechodzę w stan ciszy i bezruchu na waszych oczach? Czy moje cierpienie nie jest oczywiste i przejmujące? Kim będę, kiedy przestanę już być sobą? Umieram walcząc. Samorzutny rozpad. Niweczy mnie przypadkowy zbieg okoliczności. I staję się nicością. Staję się żuzłem i popiołem. Tu będę czekał, aby mnie wymieciono.

* * *

To bardzo błyskotliwe, Selig. Dostałeś piątkę. Twoja praca jest przejrzysta, pełna siły, i wykazujesz świetną znajomość problemów filozoficznych, leżących u jej podłoża. Możesz zostać prymusem. Czy teraz czujesz się lepiej?

. 24 .

To był zwariowany pomysł, Kitty. Byłem głupim fantastą. To się nie mogło udać. Żądałem od ciebie rzeczy niemożliwych. Tak naprawdę, rezultat mógł być tylko jeden: że znudzona mną i moim ustawicznym dokuczaniem, odejdziesz ode mnie. Cóż, to wina Toma Nyquista. Pomysł był jego. Nie, to mnie należy winić. Nie musiałem słuchać jego zwariowanych rad, prawda? To mnie

należy winić. Mnie.

Aksjomat: Grzechem przeciw miłości jest próbować zmienić duszę ukochanej, nawet jeśli sądzisz, że kiedy już ją zmienisz, bardziej ją pokochasz.

- A może - powiedział Nyquist - ona też czyta w myślach i blokada jest rezultatem interferencji, zderzenia dwóch sygnałów, które powoduje zniesienie przepływu fal w jednym albo nawet w obydwu kierunkach. Tak więc nie ma transmisji sygnałów z jej mózgu do twojego i prawdopodobnie odwrotnie też.

- Bardzo w to wątpię - powiedziałem mu. Był to sierpień 1963 roku, dwa lub trzy tygodnie po naszym spotkaniu. Nie mieszkaliśmy jeszcze razem, ale byliśmy już kilka razy w łóżku. U niej nie ma nawet śladu telepatycznych zdolności - upierałem się. - Jest całkowicie normalna. I to w tym wszystkim najważniejsze. To zupełnie przeciętna dziewczyna.

- Nie bądź taki pewny - odpowiedział Nyquist.

Jeszcze cię wtedy nie spotkał. Bardzo tego pragnął, ale ja nadal niczego nie ustaliłem. Ty nawet o nim nie słyszałaś.

Mówiłem:

- Jeżeli coś o niej wiem, to właśnie to, że jest zdrową na ciele i umyśle, zrównoważoną, całkowicie zwyczajną dziewczyną, a więc nie jest telepatką.

- Ponieważ telepaci są szaleni, schorowani i niezrównoważeni, tak jak ty i ja. Quod errat demonstrandum, nie sądzisz? Mów za siebie, człowieku.

- Dar upośledza ducha - oświadczyłem. - Pograża duszę w mroku.

- Być może twoją. Moją nie.

Miał rację. Telepatia nie okaleczyła go. A może ja borykałbym się ze swoimi problemami nawet wtedy, gdybym przyszedł na świat bez mojego daru? Nie mogę spychać odpowiedzialności za moje nieprzystosowanie na tę jedną niezwykłą umiejętność, prawda? Bóg jeden wie, ilu jest wokół

neurotyków, którzy nigdy w życiu nie czytali w czyichś mózgach.

Sylogizm:

Niektórzy telepaci nie są neurotyczni.

Niektórzy neurotycy nie są telepatami.

A więc telepatia i neuroza nie są ze sobą nieodwołalnie związane.

Wniosek:

Możesz wydawać się zdrowy jak rydz i mimo to posiadać moc.

Pozostałem jednak sceptykiem w tym względzie. Zgadzałem się z Nyquistem co do tego, że

gdybyś miała moc, prawdopodobnie zdradziłabyś się przede mną pewnymi świadomymi

nawykami, które każdy telepata łatwo rozpozna. A ja nie odkryłem niczego podobnego. Nyquist

sugerował, że możesz być utajoną telepatką, że twój dar pozostaje ukryty w głębi twego mózgu.

Nierozwinięty, nieaktywny, tworzy jednak ekran ochronny, który broni cię przed penetracją. To

tylko hipoteza, twierdził. I złapałem się na to jak ryba na haczyk.

- Załóżmy, że posiada tę utajoną moc - zastanawiałem się. - Jak sądzisz, czy można by ją obudzić?

- Czemu nie - odparł Nyquist.

Pragnąłem w to wierzyć. Przed oczami miałem wizję ciebie posiadającej pełną zdolność odbioru, potrafiącej wyłapywać sygnały tak łatwo i czysto, jak Nyquist albo ja. Jakże intensywna byłaby nasza miłość. Bylibyśmy całkowicie otwarci jedno dla drugiego. Oczyszczeni z wszystkich małych gier, które nawet najdoskonalszym kochankom uniemożliwiają komunie dusz. Posmakowałem już takiego rodzaju bliskości, co prawda w ograniczonej formie, ponieważ, rzecz jasna, nie kochałem Toma Nyquista. Nawet go nie lubiłem, więc to, że nasze umysły mogły pozostawać w tak intymnym związku, było marnotrawstwem, brutalną ironią losu. Ale ty? Gdybym tylko mógł obudzić w tobie moc! Dlaczego nie, Kitty! Spytałem Nyquista, czy uważa, że to możliwe. Spróbuj,

to się dowiesz. Eksperymentuj, powiedział. Trzymajcie się za ręce, siedźcie razem w ciemności. Włóż trochę energii w tę próbę przedostania się do jej wnętrza. Warto, prawda? Tak, odparłem. Z pewnością warto.

Wydawałaś się uśpiona na tyle różnych sposobów, Kitty. Byłaś raczej potencjalną niż rzeczywistą istotą ludzką. Otaczała cię atmosfera okresu dojrzewania. Wydawałaś się znacznie młodsza niż byłaś. Gdybym nie wiedział, że ukończyłaś już college, dałbym ci osiemnaście, dziewiętnaście lat. Niewiele czytałaś rzeczy wykraczających poza twoje zainteresowania zawodowe - matematykę, komputery, technikę - a ponieważ ja się tym nie zajmowałem, myślałem o tobie jako o kimś, kto w ogóle nic nie czyta. Nie podróżowałaś. Granice twego świata określał Atlantyk z jednej, Missisipi z drugiej strony. Największą podróżą twego życia były letnie wakacje w Illinois. Nie miałaś nawet zbyt wielu doświadczeń seksualnych. Zaledwie trzech mężczyzn w wieku dwudziestu dwóch lat, a w tym tylko jedna przygoda miłosna. Widziałem więc w tobie surowy, nieukształtowany materiał czekający na dłoń rzeźbiarza. Pragnąłem zostać twoim Pigmalionem.

Wprowadziłaś się do mnie we wrześniu 1963 roku. Spędzałaś u mnie tak wiele czasu, że sama uznałaś, że te wszystkie wyjścia i powroty nie mają sensu. Czułem się jak stary żonkoś. Mokre pończochy zwisające z obudowy prysznic, dodatkowa szczoteczka do zębów na półce, długie brązowe włosy w umywalce. I każdej nocy ciepło twego ciała tuż przy mnie. Mój brzuch wsparty o twój gładki, chłodny pośladek, yang i yin. Dawałem ci książki do czytania: powieści, poezję, eseje. Jakże chciwie je pochłaniałaś! Jadąc autobusem do pracy czytałaś Trillinga, w ciche popołudniowe godziny połykałaś Conrada, a w niedzielne ranki (ja wtedy biegałem po kioskach polując na "Timesa") Yeatsa. Ale tak naprawdę to nic w tobie nie zostawało. Nie miałaś naturalnych skłonności ku literaturze. Myślę, że miałybyś kłopoty z odróżnieniem Lorda Jima od Lucky Jima, Malcolma Lowry'ego od Malcohna Cowleya, a Jamesa Joyce'a od Joyce Kilmer. Twój ścisły

umysł, zdolny tak szybko opanować języki COBOL czy FORTRAN, nie był w stanie odcyfrować języka poezji. Zakłopotana spoglądała na mnie znad "Jałowej ziemi", zadając naiwne pytania na poziomie szkoły średniej, co wytrącało mnie z równowagi na długie godziny. Beznadziejny przypadek, myślałem czasami. Jednak pewnego dnia, kiedy giełda nie działała, zabrałaś mnie do centrum komputerowego, w którym pracowałaś. Twoje wyjaśnienia dotyczące sprzętu i funkcji, jakie wykonywałaś, brzmiały dla mnie tak niezrozumiale, że równie dobrze mogłabyś mówić sanskrytem. Różne światy, różne typy umysłowości. Niemniej zawsze ufałem, że uda mi się przerzucić między nami most.

W strategicznie wybranych momentach zacząłem nawiązywać do tematyki zjawisk pozazmysłowych.

Udawałem, że to moje hobby, chłodne, beznamiętne badania. Mówiłem, że jestem zafascynowany możliwością uzyskania prawdziwego kontaktu telepatycznego między ludźmi.

Uważałem, by nie zachowywać się jak fanatyk i nie przereklamować całej sprawy. Ukrywałem swoją desperację. A ponieważ rzeczywiście nie byłem w stanie cię odczytać, z łatwością udawałem obiektywność naukowca. A musiałem udawać. Moja strategia nie dopuszczała żadnych wyznań. Nie chciałem cię przestraszyć, Kitty. Nie chciałem dawać ci powodów do odejścia, sugerując, że jestem jakimś monstrum. Prawdopodobnie tak byś mnie właśnie oceniła - jako szaleńca. Więc hobby. Po prostu hobby.

Nie mogłaś zdobyć się na to, by uwierzyć w PPZ. Nie może istnieć - twierdziłaś - coś, czego nie da się zmierzyć woltomierzem ani zanotować encefalografem. Bądź tolerancyjna, prosiłem. Są takie rzeczy jak zdolności telepatyczne. Wiem, że są. (Uważaj, Dawidku!) Nie mogłem zacytować wyników EEG. Nigdy nawet nie zbliżyłem się do tego urządzenia i nie miałem pojęcia, czy moja moc zostałaby przez nie zarejestrowana. Stłumiłem w sobie pomysł pokonania twego sceptycyzmu przez zaproszenie kogoś z zewnątrz i zabawienie się w odczytywanie myśli. Ale mogłem posłużyć

się innymi argumentami. Spójrz na wyniki Rhine'a, spójrz na serię prawidłowych odczytań kart Zenera. Jak inaczej mogłabyś je wytłumaczyć, jeżeli nie przez PPZ? A dowody na telekinezę, teleportację, jasnowidzenie...

Pozostawałaś sceptyczna. Chłodno rozprawiałaś się z większością cytowanych przeze mnie przykładów. Twoje rozumowanie było jasne i ścisłe. Nie miałaś żadnych problemów, poruszając się po swoim terytorium, oceniając jakość naukowych metod. Rhine, dowodziłaś, fałszuje wyniki, testując heterogeniczne grupy, a potem wybierając do dalszych testów tylko te osoby, którym udaje się znacznie lepiej odgadywać, natomiast reszta nie bierze już udziału w badaniach. A potem publikuje jedynie te wyniki, które potwierdzają jego hipotezę. Upierałaś się, że prawidłowe odczytania kart Zenera to efekt anomalii statystycznych, a nie zdolności pozazmysłowej percepcji. Oprócz tego uczoney szuka przede wszystkim potwierdzenia swoich sądów na temat PPZ, a to z całą pewnością prowadzi do różnych nieświadomych błędów proceduralnych, drobnych niezamierzonych odchyłeń, które nieodwracalnie zmieniają rezultat całego doświadczenia.

Ostrożnie zasugerowałem ci próbę niektórych eksperymentów na mojej osobie, pozwalając, abyś sama ustaliła odpowiednią procedurę. Zgodziłaś się, chyba głównie dlatego, że mogliśmy robić to we dwójkę. Był to początek października i świadomie szukaliśmy obszarów wspólnych nam obojgu, zwłaszcza że twoja edukacja literacka okazała się niewypałem.

Postanowiliśmy - jakże subtelnie udało mi się wmówić tobie, że to twój własny pomysł - skoncentrować się na przesyłaniu obrazów i myśli. I zaraz na początku odnieśliśmy okrutnie oszukańczy sukces. Zebraliśmy w pakiety trochę obrazków i próbowaliśmy je odgadywać. Ciągle mam jeszcze w archiwach nasze notatki z tych eksperymentów: Obrazki, które oglądam:

1. łódź wiosłowa
2. pole nagietków
3. kangur

4. bliźniaczki
5. Empire State Building
6. ośnieżona góra
7. profil starca
8. gracz w baseball w akcji
9. słoń
10. lokomotywa

Twoje sugestie:

1. dęby
2. bukiet róż
3. prezydent Kennedy
4. pomnik
5. Pentagon
6. ? obraz niewyraźny
7. para nożyczek
8. nóż
9. traktor
10. Samolot

Nie miałaś dokładnych trafień. Ale cztery odpowiedzi z dziesięciu można było potraktować jako bliskie znaczeniowo: nagietki i róże, Empire State Building i Pentagon, słoń i traktor, lokomotywa i samolot (kwiaty, budynki, ciężki sprzęt, środki transportu). To wystarczyło, by obudzić w nas fałszywą nadzieję na autentyczną transmisję. A potem druga część:

Obrazki, które ty oglądasz:

1. motyl

2. ośmiornica
3. scena na plaży w tropikach
4. młody Murzyn
5. mapa Ameryki Południowej
6. most Washingtona
7. misa z jabłkami i bananami
8. "Toledo" El Greca
9. autostrada w godzinie szczytu
10. pocisk raketowy

Moje sugestie:

1. pociąg
2. góry
3. krajobraz, jasne słońce
4. automobil
5. winogrona
6. pomnik Washingtona
7. cytaty z giełdy
8. półka z książkami
9. ul
10. Cary Grant

Ja też nie miałem żadnych dokładnych trafień. Za to są tu trzy wyraźne podobieństwa, trzy na dziesięć. Plaża w tropikach i słoneczny krajobraz, most Washingtona i pomnik Washingtona, autostrada w godzinach szczytu i ul. Wspólnymi punktami były: światło słoneczne, George Washington i intensywna aktywność skupiona na małej przestrzeni. Przynajmniej mogliśmy się

oszukiwać, że są to związki znaczeń, a nie po prostu zbieg okoliczności. Muszę przyznać się, że za każdym razem uderzałem w ciemno, zgadując raczej niż odbierając cokolwiek, nie miałem więc dużego zaufania do jakości naszych odpowiedzi. Niemniej te zapewne przypadkowe zbieżności obrazów wzbudziły twoją ciekawość. Może jednak coś w tym jest, rzekłaś. Więc kontynuowaliśmy eksperymenty.

Zmieniliśmy warunki transmitowania myśli. Próbowaliśmy robić to w osobnych pokojach, w całkowitej ciemności. Próbowaliśmy przy zapalonym świetle, trzymając się za ręce. Robiliśmy to w trakcie kochania. Wchodziłem w ciebie i trzymając cię w ramionach starałem się z całej siły przesłać ci moje myśli, podczas gdy ty wysyłałaś ku mnie swoje. Robiliśmy to po pijanemu. Próbowaliśmy pościć. Umyślnie pozbywaliśmy się snu przez całą dobę, łudząc się, że zmęczenie umożliwi umysłom przełamanie dzielących nas barier i będziemy zdolni wytworzyć odpowiednie impulsy. Z pewnością wypróbowałibyśmy działanie kwasu lub prochów, ale w 1963 roku nikomu się jeszcze o tym nie śniło. Staraliśmy się otworzyć ten telepatyczny tunel na dziesiątki różnych sposobów. Być może przypominasz sobie jeszcze jakieś szczegóły. Z mojej pamięci wygnał je wstyd. Zmagaliśmy się tak na próżno, noc po nocy, przez ponad miesiąc. Twoje zainteresowanie rosło, osiągało szczyty, a potem spadało. Przechodziłaś przez wszystkie stadia: najpierw sceptycyzm, chłodna życzliwość, potem fascynacja, entuzjazm, wreszcie świadomość nieodwołalnej klęski, poczucie niemożności i zmęczenie, nuda, irytacja. Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Sądziłem, że byłaś tak samo zaangażowana, jak ja. Ale to nie był już ani eksperyment, ani gra, lecz obsesja. W listopadzie parę razy prosiłaś, żebyśmy zrezygnowali. Całe to czytanie w myślach, mówiłaś, przyprawia cię o straszne bóle głowy. Ale ja nie mogłem się poddać, Kitty. Nie zwracałem uwagi na twoje obiekcje, nalegałem, by nie przerywać badań. Byłem szalony, opętany, bezlitośnie przymuszałem cię do współpracy, tyranizowałem w imię miłości, widząc już tylko idealną Kitty-telepatkę, którą miałem stworzyć. Mniej więcej co dziesięć dni jakaś złudna nadzieja

na kontakt podsycala mój idiotyczny optymizm. N a p e w n o wygramy, n a p e w n o osiągniemy bezpośredni związek umysłów. Jakże mógłbym się teraz wycofać, kiedy jesteśmy tak blisko celu? Ale nigdy nie byliśmy blisko.

Na początku listopada Nyquist wydawał jedno ze swoich przyjęć. Potrawy donoszono z jego ulubionej chińskiej restauracji. Te przyjęcia zawsze były wyjątkowo udane i absurdem byłoby odrzucić zaproszenie. Tak więc nadeszła chwila, kiedy miałem cię mu przedstawić. Przez ponad trzy miesiące broniłem się przed tym mniej lub bardziej świadomie, oddalając moment konfrontacji, powodowany tchórzostwem, które nie w pełni rozumiałem. Przyszliśmy późno, przygotowania do wyjścia zabrały tobie wiele czasu. Przyjęcie zdążyło się już rozkręcić. Było piętnaście, może osiemnaście osób, w tym wiele znakomitości, chociaż nie dla ciebie. Co ty wiedziałaś o poetach, kompozytorach, pisarzach? Przedstawiłem cię Nyquistowi. Uśmiechnął się, wymruczał zdawkowy komplement, musnął twój policzek lekkim, bezosobowym pocałunkiem. Wyglądałaś na zawstydzoną, tak jakbyś obawiała się jego pewności siebie i ogłady. Po krótkiej wymianie uprzejmości odwrócił się na pięcie i pobiegł otworzyć drzwi następnym gościom. Później, kiedy wręczono nam już pierwsze drinki, przygotowałem dla niego myśl:

- I co? Co o niej myślisz?

Ale on był zbyt zajęty, aby mnie sondować, i nie odebrał mojego pytania. Musiałem poszukać odpowiedzi w jego czaszce. Przygotowałem się (rzucił mi przez pokój uważne spojrzenie, wiedząc, co chcę zrobić) i zacząłem przeszukiwać jego umysł. Na powierzchni leżały całe pokłady trywialnej gościnności: podawał drinki, sterując jednocześnie konwersacją, sygnalizował kuchni, że zabrakło maślanych bułeczek i przeglądał listę gości, by sprawdzić, kogo jeszcze brakuje. Gładko prześlizgnąłem się przez tę warstwę i w sekundzie odnalazłem jego wizję Kitty. Natychmiast uzyskałem wiedzę, której zarazem pragnąłem i obawiałem się. On potrafił czytać w twoich myślach. Tak, dla niego byłaś przejrzysta jak wszyscy pozostali. Tylko ja nie mogłem do ciebie

dotrzeć i żadne z nas nie znało przyczyny tego stanu rzeczy. Nyquist spenetrował cię, posiadał cię, wyrobił sobie opinię na twój temat i przygotował ją dla mnie. Wedhgz niego byłaś niedojrzała, niezręczna, naiwna, ale także atrakcyjna i pełna uroku. (Naprawdę tak cię oceniał. Nie próbuję dla jakichś własnych powodów pokazać go jako człowieka bardziej krytycznego, niż był w rzeczywistości. Byłaś bardzo młoda, niewykształcona i on to dostrzegł.) To odkrycie ogłuszyło mnie. Owładnęła mną zazdrość. To ja musiałem wysilać się przez tyle tygodni, próbując cię dosięgnąć, a on wszedł w twoje myśli jak nóż w masło! Kitty! Stałem się podejrzliwy. A może była to jedna z złośliwych zagrywek Nyquista? Potrafił cię odczytać? Jak mogłem być pewien, że nie przygotował dla mnie jakiejś zmyślonej historyjki? Odnalazł tę myśl.

- Nie ufasz mi? Ależ ja naprawdę ją odbieram.

- Może tak, może nie.

- Chcesz, żebym ci to udowodnił?

- Jak?

- Obserwuj.

Nie, porzucając nawet na chwilę swojej roli gospodarza, wszedł w twój umysł, podczas gdy ja obserwowałem jego myśli. I tak, poprzez niego, po raz pierwszy i zarazem ostatni zajrzałem w twoją psychikę, Kitty. Zobaczyłem ją oczami Toma Nyquista. Och! Nie tego pragnąłem. Przy pomocy jego umysłu ujrzałem siebie twoimi oczami. Fizycznie wyglądałem z pewnością lepiej, niż mógłbym przypuszczać. Moje ramiona były szersze niż w rzeczywistości, twarz bardziej pociągła, rysy bardziej regularne. Bez wątpienia reagowałaś na moje ciało. Ale nasze związki emocjonalne! Widziałaś we mnie surowego ojca, ponurego pedagoga, zrządzającego tyrana. Przeczytaj to, czytaj tamto, kształć swój umysł, dziewczyno! Ucz się, ile tylko możesz! Wtedy będziesz mnie warta! Och! Och! I płonący rdzeń urazy z powodu naszych eksperymentów z PPZ. Były dla ciebie co najmniej bezużyteczne. Nic prócz śmiertelnej nudy, bezsensowne wyprawy w obłąd, mozolny

wysiłek. Noc po nocy być wykańczaną przez takiego monomaniaka jak ja. Nawet nasz seks został zdominowany przez głupie szukanie bezpośredniego kontaktu umysłów. Jakże miałaś mnie dość, Kitty! Jak potwornie nudne był dla ciebie moje towarzystwo!

Oszłomiła mnie nagość tego odkrycia. Zaskoczony wycofałem się, odsunąłem od Nyquista swoje receptory. Pamiętam, że przyglądałaś mi się w zamyśleniu, tak jakbyś podświadomie zdawała sobie sprawę z błysków energii umysłowej, które rozświetlały pokój, odsłaniając intymne zakamarki twej duszy. Zamrugałaś, poczerwieniały ci policzki, dużymi łykami, prawie do dna wychyliłaś swojego drinka. Nyquist posłał mi sardoniczny uśmiech. Nie mogłem wytrzymać jego wzroku. Ale nawet wtedy nie chciałem uwierzyć w to, co mi pokazał. Czy już wcześniej nie zdarzały się dziwne, mylące efekty w takich relacjach? A może Nyquist przesadzał, koloryzował? Czy powinienem uwierzyć w dokładność tego, co przekazał mi jako mój obraz widziany twoimi oczami? Czy nie wprowadził drobnych zakłóceń proporcji i przerysowań? Czy naprawdę aż tak cię maltretowałem, Kitty? Czy on czasem dla głupiej zabawy nie zamienił lekkiego rozdrażnienia w przemożną niechęć? Postanowiłem nie przyjmować tego do wiadomości. Chętnie widzimy rzeczy i wydarzenia w sposób, który nam odpowiada. Mimo to ślubowałem sobie, że w przyszłości będę dla ciebie bardziej wyrozumiały.

Potem, kiedy już zjedliśmy, widziałem, jak żywo rozmawiałaś z Nyquistem w odległym kącie pokoju. Byłaś nieśmiała i zalotna jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkałem cię w biurze.

Wyobrażałem sobie, że rozmawiacie na mój temat, a ty nie wyrażasz się o mnie pochlebnie.

Chciałem podsłuchać konwersację poprzez umysł Nyquista, ale on przy pierwszej próbie spojrzał na mnie:

- Wynos się z mojej głowy, dobrze?

Posłuchałem. Dochodził do mnie twój zbyt głośny śmiech, górujący ponad szumem rozmów.

Odszedłem, by porozmawiać z małą smukłą Japoneczką, rzeźbiarką, której płaski, opalony tułów

wynurzał się, niestety niezbyt kusząco, z głęboko wyciętej obcisłej czarnej sukni. Myślała po francusku, więc mogłem dowiedzieć się, że ma zamiar prosić mnie, bym pojechał z nią do domu. Ale ja wracałem z tobą, Kitty. Poważny i bez wdzięku siedziałem przy tobie w pustym wagonie metra. Kiedy spytałem, o czym rozmawiałaś z Nyquistem, odparłaś:

- Och, po prostu żartowaliśmy. Tak dla zabawy.

* * *

Mniej więcej dwa tygodnie później, w rześkie i jasne jesienne popołudnie w Dallas zastrzelono prezydenta Kennedy'ego. Tego dnia po katastrofalnym spadku notowań giełdę zamknięto wcześniej. Martinson wyprosił mnie, oszołomionego, na ulicę. Nie mogłem pogodzić się z przebiegiem wypadków. "Ktoś strzelał do prezydenta... Ktoś strzelił do prezydenta... Ktoś postrzelił prezydenta w głowę... Prezydent jest w stanie krytycznym... Prezydent został przewieziony do Szpitala Parkland... Prezydent otrzymał ostatnie namaszczenie... Prezydent nie żyje." Nigdy nie interesowałem się specjalnie polityką, ale ta nagła zapaść demokracji złamała mnie. Kennedy był jedynym zwycięskim kandydatem, na jakiego głosowałem, a teraz oni go zabili. Historia mego życia streszczona w jednym krwawym wydarzeniu. Nastaną czasy prezydenta Johnsona. Czy zdołam się zaadaptować? Zawsze ceniłem sobie stabilność. Kiedy miałem dziesięć lat i umarł Roosevelt, który był prezydentem przez całe moje życie, długo obracałem na języku nieznaną sylaby - prezydent Truman. Odrzuciłem je, mówiąc sobie, że i tak będę go nazywał prezydentem Rooseveltem, ponieważ tak właśnie przywykłem nazywać prezydenta. Kiedy w to listopadowe popołudnie zmierzałem przestraszony w stronę domu, ze wszystkich stron docierały do mnie emanacje lęku. Dookoła zapanował paranoiczny strach. Ludzie ostrożnie przemykali się bokiem, pod murami budynków, gotowi zareagować na każdy sygnał. Z okien wysokich bloków mieszkalnych, pomiędzy zasłon blade twarze kobiet spoglądały na ulice. Na skrzyżowaniach kierowcy rozglądali się we wszystkich kierunkach, jakby się spodziewali, że Broadwayem przejadą

czołgi brygady szturmowej. (O tej porze dnia powszechnie wierzone, że zamach był częścią puczu prawicy.) Nikt nie spacerował po otwartych przestrzeniach, ludzie kryli się po domach. Wszystko mogło się wydarzyć. Z Riverside Drive mogły nagle wypaść watahy wilków. Obląkani patrioci mogli doprowadzić do pogromu. Z mojego mieszkania - drzwi i okna pozamykane - próbowałem dodzwonić się do ciebie, do centrum komputerowego, myśląc, że mogłaś jeszcze nie słyszeć dzisiejszych wiadomości. A może chciałem jedynie usłyszeć twój głos w tej bolesnej chwili. Linie telefoniczne były zablokowane. Po dwudziestu minutach zrezygnowałem. Potem wędrując bez celu z sypialni do pokoju i z powrotem, włączając radio, kręcąc gałką w poszukiwaniu jakiejś stacji, która nadałaby wiadomość, że prezydent żyje, doznałem wreszcie do kuchni. Na stole leżał twój list. Pisałaś, że odchodzisz, że nie możesz już ze mną być. W liście podałaś godzinę 10.30, a więc jeszcze przed zamachem, w innej epoce. Pobiegłem do szafy w sypialni i zobaczyłem to, czego wcześniej nie dostrzegłem. Twoje rzeczy zniknęły. Kiedy kobiety opuszczają mnie, Kitty, robią to nagle i po kryjomu, bez uprzedzenia.

Przed wieczorem zadzwoniłem do Nyquista. O tej porze telefony już działały.

- Jest tam Kitty? - zapytałem.

- Tak - odparł. - Poczekaj chwilę.

Podał ci słuchawkę. Wyjaśniłaś, że póki się nie pozbierasz, będziesz przez jakiś czas mieszkała u Nyquista. Był bardzo pomocny. Nie, nie żywiłaś do mnie żadnych wrogich uczuć. Nie, żadnego rozgoryczenia. Po prostu ja byłem jakiś, powiedzmy, nieuczuciowy, podczas gdy on, on posiadał intuicyjne, instynktowne wyczucie twoich emocjonalnych potrzeb, potrafił towarzyszyć twojej psychice, a ja tego nie umiałem. Więc zwróciłaś się do niego po pocieszenie i miłość. Żegnaj, powiedziałaś, podziękowałaś za wszystko. Ja też wymamrotałem słowa pożegnania i odłożyłem słuchawkę. W nocy pogoda zmieniła się, więc J. F. K. został złożony do grobu podczas deszczowego weekendu i pod czarnym niebem. Płakałem nad wszystkim: trumną umieszczoną w

rotundzie, dzielną wdową, wspañałymi dziećmi, nad morderstwem Oswalda, procesją pogrzebową, nad całą tą żywą historią. W sobotę i niedzielę spałem do późna, piłem na umór, przeczytałem sześć książek nie przyswajając sobie ani słowa. W poniedziałek, w dzień żałoby narodowej, napisałem do ciebie ten nieskładny list, wyjaśniając wiele rzeczy, tłumacząc ci, w co chciałem cię zmienić i dlaczego, wyjawiając swoją moc i opisując jej wpływ na moje życie. Ostrzegałem cię przed Nyquistem. Mówiłem, że on też posiada moc, że czyta w tobie i nie masz przed nim sekretów. Prosiłem, żebyś nie uważała go za prawdziwą ludzką istotę. Mówiłem, że to maszyna, która zaprogramowała siebie na maksymalną samorealizację. Pisałem, że moc uczyniła Nyquista zimnym i okrutnie silnym, podczas gdy ja stałem się słaby i chwiejny. Wyjaśniałem, że w gruncie rzeczy jest on równie chory, jak ja - człowiek niezdolny do ofiarowania miłości, który manipuluje ludźmi, potrafi ich jedynie używać. Ostrzegałem, że jeśli odsłonisz przed nim swoje słabe punkty, skrzywdzi cię. Nie odpowiedziałaś. Nigdy nie miałem już o tobie żadnej wiadomości, nigdy cię więcej nie zobaczyłem. Nyquist także zniknął z mojego życia. Trzydzieści lat. Nie mam pojęcia, co się z wami stało. I prawdopodobnie nigdy się nie dowiem. Ale posłuchaj. Posłuchaj. Kochałem cię, pani, na mój zagmatwany sposób. Nadal cię kocham. I straciłem cię na zawsze.

. 25 .

Budzi się sztywny, obolały, ogłuszony w zimnym, ponurym pomieszczeniu. Z pewnością jest to Szpital Św. Łukasza, chyba oddział pomocy doraźnej. Jego dolna warga spuchła, lewe oko otwiera się z oporami, a nos podczas oddychania wydaje dziwne, świszczące dźwięki. Czyżby przyniesiono go tu na noszach, po tym jak koszykarze zostawili go już w spokoju? Spędził w szpitalach stosunkowo niewiele czasu. Zastanawia się, czy jego ubranie pokryte jest zaschlą krwią, ale kiedy udaje mu się spojrzeć w dół jego szyja nadspodziewanie sztywna nie jest mu posłuszna-widzi tylko szpitalną biel. Gdy wciąga powietrze, za każdym razem wydaje mu się, że czuje, jak trą o siebie ostre krawędzie połamanych żeber. Wsuwając rękę pod koszulę dotyka swojej nagiej klatki

piersiowej. Nie jest obandażowana. Nie wie, czy ma się cieszyć, czy niepokoić z tego powodu. Ostrożnie siada. Uderza w niego nawał wrażeń. Pokój jest zatłoczony, pełen hałasu, łóżka zsunięte blisko siebie. Wszystkie mają zasłonki, ale żadna nie jest zaciągnięta. Większość pacjentów to czarni, wielu w ciężkim stanie. Tych otaczają kokony sprzętu. Pocięci nożami? Poranieni szybami samochodów? Przyjaciele, krewni stłoczeni wokół każdego z łóżek gestykują, kłócą się, wymyślają sobie. Przeróżny krzyk jest tu najczęściej spotykanym tonem głosu. Obojętne pielęgniarki krążą po pokoju, wykazując wobec pacjentów tę samą chłodną obowiązkowość, co strażnicy w muzeum wobec wystawionych w gablotach mumii. Na Seliga nie zwraca uwagi nikt prócz Seliga, więc może on powrócić do badania swego ciała. Jego palce obmacują policzki. Bez lustra trudno powiedzieć, jak mocno ma zmasakrowaną twarz, ale wiele miejsc jest bardzo wrażliwych. Jego lewy obojczyk boli go jak po lekkim, muskającym ciosie karate. Z prawego kolana promieniują szarpiące bóle i strzykania, tak jakby zwichnął je padając. Ale i tak czuje mniejszy ból, niż się spodziewał. Być może dali mu jakiś zastrzyk. Umysł ma zamglony. Odbiera jakieś mentalne sygnały od osób zgromadzonych na oddziale, ale wszystko zamazane, niczego nie słychać wyraźnie, odbiera tylko aurę, lecz brak czytelnych werbalizacji. Próbuje ustalić sytuację, trzy razy pyta siostry o godzinę (jego zegarek zniknął). Ale one przechodzą mimo, zupełnie go ignorując. Wreszcie zwalista, uśmiechnięta Murzynka w powiewnej różowej sukni spogląda ku niemu.

- Za kwadrans czwarta, kochanieńki.

Rano? Wieczorem? Zapewne po południu, decyduje. W przeciwległym kącie pomieszczenia dwie siostry zaczynają wznosić coś, co zapewne jest kroplówką. Plastikowa rura wślizguje się w nozdrza ogromnego, nieprzytomnego, owiniętego bandażami Murzyna. Żołądek Seliga nie wysyła żadnych sygnałów głodu. Zapach szpitalnych chemikaliów usypia go - ledwie może przełknąć ślinę. Czy nakarmią go wieczorem? Jak długo będą go tu trzymać? Kto zapłaci? Czy powinien

poprosić, by powiadomili Judytę? Jak ciężkie są jego obrażenia?

Na oddział wchodzi lekarz, niski ciemny mężczyzna o zwartej proporcjonalnej budowie ciała - wygląda na Pakistańczyka. Porusza się z taneczną precyzją. Pomięta, brudna chusteczka wystająca z kieszonki psuje schludny elegancki wygląd jego obcisłego białego kitla. Co dziwniejsze, podchodzi prosto do Seliga.

- Zdjęcia rentgenowskie nie wykazują żadnych złamań mówi bez żadnych wstępów mocnym, głuchym głosem. - A więc pańskie urazy to tylko niewielkie obtarcia, siniaki, nacięcia i niezbyt poważny wstrząs nerwowy. Jesteśmy gotowi podpisać pańskie zwolnienie. Proszę wstać.

- Proszę poczekać - powiedział słabym głosem Selig. Dopiero odzyskałem przytomność. Nie wiem, co się stało. Kto mnie tu przyniósł? Jak długo byłem nieprzytomny? Co...

- Nic nie wiem na ten temat. Pański wypis został już przygotowany, a szpital potrzebuje tego łóżka. Proszę. A teraz wstajemy. Mam jeszcze dużo innych spraw.

- Szok nerwowy? Czy po czymś takim nie powinienem tutaj spędzić przynajmniej jednej nocy? A może s p e d z i ł e m tutaj noc? Którego dzisiaj mamy?

- Przyniesiono pana mniej więcej dzisiaj w południe mówi lekarz coraz bardziej poirytowany. - Przebadano pana po pobiciu na stopniach biblioteki uniwersyteckiej i opatrzono na oddziale pomocy doraźnej.

Jeszcze raz pada komenda do wstania, tym razem bez słów, tylko przy pomocy władczego spojrzenia i gestu palca. Selig sonduje umysł lekarza (udaje mu się dostać do wewnątrz), ale nie ma w nim nic szczególnego prócz irytacji i zniecierpliwienia. Powoli i z namysłem Selig wstaje z łóżka. Czuje się tak, jakby jego ciało tylko jakiś tajemniczy drut chronił przed całkowitym rozpadem. Jego kości trzeszczą i skrzypią. Ciągle wydaje mu się, że w klatce piersiowej klekocą mu połamane żebra - czyżby zdjęcia rentgenowskie nie mówiły prawdy? Próbuje zapytać, ale jest za późno. Lekarz kontynuując swój obchód odszedł już do następnego łóżka.

Przynoszą mu ubranie. Zaciąga zasłonki wokół łóżka i ubiera się. Tak, na koszuli i na spodniach pełno zaschłej krwi. Właśnie tego się obawiał. Obrzydliwość. Sprawdza swoje rzeczy. Wszystko się znalazło, portfel, zegarek, grzebień. I co teraz? Ma tak po prostu wyjść? Nie ma niczego do podpisania? Selig niepewnie zmierza w kierunku drzwi. Nie zatrzymywany przez nikogo dociera do korytarza. W tym momencie jak żywa ektoplazma materializuje się lekarz, wskazuje na pokój na drugim końcu holu i mówi:

- Tam pan poczeka, aż przyjdzie człowiek z ochrony. Człowiek z ochrony? J a k i e j ochrony?

Są też, zgodnie z jego obawami, papiery do podpisania przed wyjściem ze szpitala. Właśnie kończy pisać, kiedy do pokoju wchodzi pulchny mężczyzna koło sześćdziesiątki, o szarej twarzy, w mundurze straży uniwersyteckiej i sapiąc lekko, pyta:

- Ty jesteś Selig? - Selig potwierdza. - Dziekan chce się z tobą widzieć. Czy możesz iść sam, czy załatwić ci wózek?

- Pójdę sam - mówi Selig.

Razem wychodzą ze szpitala, idą w górę Amsterdam Avenue aż do bramy kampusu przy 115 Ulicy. Strażnik trzyma się blisko niego, nie mówiąc ani słowa. Wkrótce Selig znajduje się przed dziekanatem Columbia College. Czeka. Ochroniarz czeka razem z nim. Ręce spokojnie założone, obronny kokon obojętności. Selig zaczął czuć się tak, jakby został aresztowany. Dlaczego? Dziwaczne skojarzenia. Czego miałby się obawiać ze strony dziekana? Zagląda do mózgu strażnika, ale wewnątrz nie znajduje niczego poza kosmatą, dryfującą masą mgły. Zastanawia się, kto teraz jest dziekanem. Całkiem nieźle pamięta jeszcze dawnych dziekanów. Lawrence Chamberlain, zawsze w muszce i zawsze miło uśmiechnięty, był dziekanem administracyjnym. I drugi dziekan, MacKnight, Nicolas McD. MacKnight, entuzjastyczny zwolennik bractw (Sigma Chi?), formalista o dystygnowanych, dziewiętnastowiecznych manierach był dziekanem do spraw studenckich, ale to było dwadzieścia lat temu. Chamberlain i MacKnight z pewnością mieli już

paru następców, lecz Selig nic o nich nie wie. Nigdy nie czytywał "Wiadomości Absolwentów".

Głos ze środka mówi:

- Dziekan Cushing zaraz go przyjmie.

- Proszę wejść - rzuca ochroniarz.

Cushing? Dobre nazwisko dla dziekana. Kto to jest? Selig wtacza się do środka. Obolałe kolano przeszkadza mu, a pokiereszowane ciało utrudnia ruchy. Zza lśniącego pustego biurka spogląda na niego mężczyzna o młodzieńczym wyglądzie, szeroki w ramionach, o gładkich policzkach - modelowy członek rady studenckiej, przyodziany w tradycyjny ciemny garnitur. Pierwszą myślą Seliga jest zaduma nad zmianami, jakie niesie z sobą upływający czas. Dawniej zwykł widzieć dziekanów jako wyniosłe symbole władzy. Koniecznie powinni być w starszym, co najwyżej w średnim wieku. A tutaj siedzi przed nim dziekan do spraw administracyjnych, który najwyraźniej jest w jego wieku. A potem zdaje sobie sprawę, że to nie tylko anonimowy rówieśnik, ale autentyczny kolega szkolny, Ted Cushing, rocznik 1956, osobistość znana na kampusie i o sławnej przeszłości. Gwiazda futbolu, przewodniczący roku, świetny student, którego Selig znał przynajmniej z widzenia. Zawsze zaskakuje go fakt, że nie jest już młody, że dożył wieku, w którym jego pokolenie objęło kontrolę nad mechanizmami władzy.

- Ted? - wybucha. - Jesteś teraz dziekanem, Ted? Boże, nigdy bym na to nie wpadł. Kiedy...

- Siadaj, Dave - Cushing mówi grzecznie, ale bez śladu sympatii. - Czy bardzo cię poturbowali?

- W szpitalu mówią, że nic nie jest złamane. Ale ja czuję się prawie jak ruina. - Z ulgą osuwając się na krzesło wskazuje na plamy krwi na ubraniu, siniaki na twarzy. Mówienie to duży wysiłek, szczęki wyskakują mu ze stawów. - Hej, Ted, ile to już czasu? Od naszego ostatniego spotkania minęło chyba dwadzieścia lat. Pamiętałeś moje nazwisko, czy zidentyfikowali mnie na podstawie portfela?

- Pokryjemy koszty hospitalizacji - mówi Cushing, jak gdyby nie słyszał słów Seliga. - Jeżeli

będą jeszcze jakieś dalsze wydatki, to też się nimi zajmujemy. Możesz to dostać na piśmie, jeśli chcesz.

- Wystarczy ustne zapewnienie. Ale jeśli się martwisz, że postawię jakieś zarzuty lub zaskarżę uniwersytet, cóż, nie mam zamiaru robić niczego podobnego. Chłopcy jak to chłopcy, nie panują zbyt nad swoimi uczuciami, ale...

- Nie martwimy się specjalnie o twoje zarzuty, Dave mówi cicho Cushing. - Należy raczej postawić pytanie, czy my mamy zamiar zaskarżyć c i e b i e?

- Mnie? Za co? Za to, że pobili mnie twoi koszykarze? A może zniszczyli sobie swoje drogocenne rączki na mojej twarzy? - Zdobywa się na bolesny uśmiech. Twarz Cushinga pozostaje ponura. Następuje chwila ciszy. Selig stara się zinterpretować jakoś żart Cushinga. Nie znajdując jednak żadnego racjonalnego uzasadnienia, próbuje zaglądnąć do jego umysłu. Ale napotyka mur. I nagle brakuje mu odwagi, by uderzyć silniej, boi się, że nie zdoła wejść do środka.

- Nie rozumiem, co masz na myśli - mówi wreszcie. Zaskarżyć o co?

- O to, Dave.

I dopiero teraz Selig zauważa stertę maszynopisów na boku biurka. Cushing przesuwa je w jego kierunku. - Rozpoznajesz je? Proszę, przyjrzyj się.

Nieszczęśliwy Selig przewraca kartki. To prace semestralne, wszystkie jego autorstwa.

"Odyseusz jako symbol społeczeństwa", "Powieści Kafki", "Ajschylos i arystotelesowska koncepcja tragedii", "Pojęcia rezygnacji i zgody w filozofii Montaigne'a", "Wergiliusz jako nauczyciel Dantego". Niektóre zostały już ocenione: - 5, +4, - 5, 5, a na marginesach dopisano komentarze, głównie pochlebne. Niektóre są czyste prócz smug i namoknięć - te miał dostarczyć w chwili, gdy spotkał Lumumbę. Z przesadną troską Selig oczyszcza kartki, układa równo strony i popycha je z powrotem ku Cushingowi.

- W porządku - mówi. - Przyłapałeś mnie.

- Ty jesteś autorem?

- Tak.

- Za opłatą?

- Tak.

- To smutne, Dave. To bardzo smutne.

- Musiałem zarobić na życie. Nie dają stypendiów absolwentom.

- Ile dostawałeś za coś takiego?

- Trzy albo cztery dolary za stronę maszynopisu. Cushing potrząsa głową.

- Byłeś dobry, możesz być tego pewien. W twojej branży pracuje jeszcze dziewięciu, dziesięciu facetów, ale ty jesteś najlepszy.

- Dziękuję.

- Ale miałeś co najmniej jednego niezadowolonego klienta. Zapytaliśmy Lumumbę, dlaczego cię pobił. Odparł, że wynajął cię do napisania pracy semestralnej, ale ty źle wykonałeś robotę, wywołałeś kłótnię, a potem nie chciałeś zwrócić mu pieniędzy. Dobrze, mamy swoje sposoby, żeby się z nim rozprawić, ale z tobą też musimy się porachować. Szukamy cię już od dawna, Dave.

- Naprawdę?

- Rozprowadziliśmy kserokopie twoich prac na dziesięciu wydziałach. Już przez parę semestrów ostrzegamy ludzi, prosząc, by zwracali uwagę na twoją maszynę do pisania i styl. Ale trudno kogoś namówić do współpracy. Wielu wykładowców nie dba o to, czy prace semestralne są sfałszowane. Ale nas to interesuje, i to bardzo, Dave.

Cushing pochyła się. Jego oczy, przerażająco szczere, szukają wzroku Dawida. Selig patrzy w bok. Nie może znieść tego palącego spojrzenia.

- Parę tygodni temu zaczęliśmy zamykać okrążenie - kontynuuje Cushing. - Znaleźliśmy paru twoich klientów, przycisnęliśmy ich, zagrozili wyrzuceniem. Podali twoje nazwisko, ale nie

wiedzieli, gdzie mieszkasz, i nie mogliśmy cię odszukać. Czekaliśmy. Wiedzieliśmy, że musisz znowu się pokazać, żeby oddać prace i wziąć nowe zamówienia. Potem dotarła do nas wiadomość o tym zamieszaniu na stopniach biblioteki. Podobno koszykarze kogoś pobili. I znaleźliśmy ciebie z naręczem nie dostarczonych prac. To tyle. Wyleciałeś z interesu, Dave.

- Powinienem poprosić o adwokata - mówi Selig. - Już nic więcej nie powinienem mówić.

Mogłem od razu zaprzeczyć wszystkiemu, jak tylko pokazałeś mi te maszynopisy.

- Nie ma potrzeby, abyś był aż tak drobiazgowy względem twoich praw.

- Będę musiał tak postępować, jeśli zaciągniecie mnie do sądu, Ted.

- Nie - uśmiecha się Cushing. - Nie mamy zamiaru zaskarżyć cię, przynajmniej do chwili kiedy złapiemy cię z nowymi pracami dla naszych studentów. Nie mamy żadnego interesu w posyłaniu cię za kratki, a poza tym nie jestem pewien, czy to, co robisz, podpada pod jakiś paragraf. Tak naprawdę, to chcemy ci pomóc. Jesteś chory, Dave. Żeby człowiek o twojej inteligencji, twoich możliwościach upadł tak nisko, skończył pisząc prace dla dzieciaków z college'u. To smutne, Dave, potwornie smutne. Dyskutowaliśmy tutaj nad twoją sprawą, dziekan Bellini, dziekan Tompkins i ja, i wymyśliliśmy plan twojej rehabilitacji. Znajdziemy ci pracę w obrębie uniwersytetu. Możesz zostać sekretarzem jakiegoś doktoranta. Zawsze znajdują się tacy, którzy potrzebują sekretarzy, a my posiadamy małe fundusze, do którego można sięgnąć, by zapewnić ci stałą pensję. Nic wielkiego, ale z pewnością nie mniej niż zarabiasz na tych oszustwach. I skierujemy cię do naszej poradni psychologicznej. Nie została, co prawda, stworzona dla absolwentów, ale nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy tego zmienić, Dave. Jeśli mam być szczery, to muszę powiedzieć, że boli mnie, gdy ktoś z rocznika 1956 jest w takich tarapatach, jak ty. Będąc lojalny wobec naszej klasy, chcę zrobić wszystko, co możliwe, żeby pomóc ci pozbierać się do kupy. Przecież byłeś tak obiecującym studentem, że mógłbyś...

Cushing brnie dalej, upiększając i wciąż na nowo formułując temat, oferując miłosierdzie bez

granic, obiecując pomoc dla cierpiącego kolegi. Puszczając to wszystko mimo uszu, Selig odkrywa nagle, że umysł Cushinga zaczyna się przed nim otwierać. Mur, który wcześniej oddzielał ich świadomości (prawdopodobnie efekt zmęczenia i strachu), zaczyna się kruszyć i Selig potrafi już odebrać ogólny obraz świadomości dziekana. Jego umysł jest silny, zdolny, pełen energii, ale także ograniczony i konwencjonalny. Jest to umysłowość solidnego republikanina, prozaiczny mózg członka Ivy League. Najsilniejsze jest nie jego współczucie dla Seliga, ale raczej spokojne zadowolenie z siebie samego. Najjaśniej świeci świadomość własnej, uprzywilejowanej pozycji w życiu, przyozdobiona wizją podmiejskiej rezydencji, wysportowanej blondynki w roli żony, trójki udanych dzieci, kosmatego psa, lśniącego nowego Lincolna Continentala. Wchodząc głębiej, Selig widzi, że współczucie Cushinga nie jest szczere. Za uczciwymi oczami, serdecznym, sympatycznym uśmiechem kryje się zdecydowane potępienie. Cushing pogardza nim. Uważa, że jest skorumpowanym, bezużytecznym, bezwartościowym człowiekiem, obrazą dla ludzkości, a szczególnie dla rocznika '56 z Columbia College. Według Cushinga Selig jest fizycznie i moralnie odrażający, z pewnością niedomyty i śmierdzący, możliwe, że chory na syfilis. Cushing podejrzewa, że Selig jest homoseksualistą, pogardza nim jak rotarianin narkomanem. Człowiekowi takiemu, jak Cushing, trudno zrozumieć, że ktoś, kogo spotkało dobrodziejstwo uczęszczania do Columbia College, może upaść tak nisko jak Selig. Selig kurczy się pod ciężarem tego potępienia. Czy naprawdę jestem taki odstręczający, zastanawia się, czy jestem takim śmieciem? Selig czuje, że coraz silniej i głębiej penetruje umysł Cushinga. Przestaje go martwić jego pogarda. Porywa go nurt abstrakcyjnych rozmyślań i już nie identyfikuje się z żalonym oberwańcem, którego widzi Cushing. Cóż ten Cushing wie? Czy potrafi wejść w czyjeś myśli? Czy może przeżyć ekstazę prawdziwego kontaktu z drugą istotą ludzką? Bo to jest ekstaza. Podobny bogom jedzie Selig w siodle osobowości Cushinga, nurkuje coraz głębiej poprzez zewnętrzne bariery ochronne, przez małe snobizmy, okruchy pychy, przez gładkie strefy zarozumiałego

zadowolenia z siebie, w dziedzinę wartości absolutnych, w królestwa autentycznej jaźni. Kontakt! Ekstaza! Ten obojętny, pragmatyczny Cushing to tylko zewnętrzna skorupa. A tutaj jest Cushing, którego sam Cushing nie zna. Nie zna go nikt prócz Seliga.

Od lat nie był tak szczęśliwy. Jego duszę zalewa złociste, spokojne światło. Ogarnia go niepohamowana fala radości. Biegnie o świcie poprzez zamglony zagajnik, czując, jak jego łydki omiatają delikatne, wilgotne, młode liście zielonych paproci. Słońce prześwituje przez baldachim koron wysokich drzew, a kropelki rosy lśnią chłodnym wewnętrznym ogniem. Budzą się ptaki. Ich pieśń jest słodka i delikatna - odległy świergot, senny i miękki. Biegnie przez las i nie jest sam, w jego dłoni tkwi inna dłoń. Wie, że nigdy nie był i nigdy nie będzie samotny. Pod jego bosą stopą uginają się grząskie, gąbczaste mchy. Biegnie. Biegnie. Niewidzialny chór uderza w harmonijny akord i wytrzymuje go, wytrzymuje, rozwija w idealne czescendo. Kiedy wychodzi już z lasu, pędzi przez zalaną słońcem łąkę, a ten potężny ton napełnia kosmos, zwielokrotnia swoją magiczną pełnię. Rzuca się twarzą do ziemi, obejmując ją, wije się po pachnącym zielonym kobiercu, przymierza ręce do krzywizny planety, świadom jest wewnętrznego pulsu świata. To jest ekstaza! To jest pełne zjednoczenie! Inne umysły otaczają go. Gdziekolwiek by poszedł, czuje ich obecność. Witają go, podtrzymują, zbliżają się ku niemu. Chodź, mówią, przyłącz się do nas, przyłącz się, bądź jednym z nas, porzuć te poszarpane okruchy jaźni, porzuć wszystko, co cię od nas dzieli. Tak, odpowiada Selig. Tak, chwałę radość życia. Wielbię radość zjednoczenia. Oddaję wam siebie. Dotykają go. On ich dotyka. Teraz wie - to dlatego otrzymałem mój dar, moje błogosławieństwo, moją moc. Dla tej jednej chwili afirmacji i spełnienia. Połącz się z nami. Połącz się z nami. Tak! Ptaki! Niewidzialny chór! Rosa! Łąka! Słońce! Śmieje się, wstaje i zaczyna ekstatycznie tańczyć. Odrzuca głowę w tył i śpiewa, on, który nigdy w życiu nie ośmielił się śpiewać, a tony, które płyną z jego gardła, są bogate i pełne, i czyste, idealnie trafiają we właściwą nutę. Tak! Och, zjednoczenie, przenikanie, pełnia! Nie jest już dłużej Dawidem Seligiem. Jest częścią Ich, a Oni są

jego częścią i w tym radosnym przenikaniu zatracą swoją jaźń, porzuca wszystko, co w nim zużyte, zgorzkniałe, zmęczone, oddala lęk i niepewność, odrzuca wszystko, co przez tak wiele lat dzieliło go od siebie samego. Jest wolny. Jest zupełnie otwarty, i potężny sygnał wszechświata swobodnie do niego dociera. Potrafi przyjmować. Potrafi dawać. Pochłania. Promieniuje. Tak. Tak. Tak. Tak. Wie, że to uniesienie będzie trwało wiecznie.

Ale w tej samej chwili czuje, jak to wszystko zaczyna się oddalać. Radosny śpiew chóru cichnie. Słońce zapada nad horyzontem. Odległe morze uchodząc wsiąka w piasek. Walczy, by utrzymać tę radość, ale im bardziej się broni, tym bardziej przegrywa. Powstrzymać odpływ? Jak? Opóźnić zmierzch? Jak? Jak? Pieśń ptaków gaśnie. Powietrzem zawładnął chłód. Wszystko od niego odchodzi. Stoi samotny w gęstniejącym mroku, rozpamiętując tamto uniesienie, przywołując je, przeżywając na nowo - ono już odeszło i można je wskrzesić tylko świadomym aktem woli.

Odeszło. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Słyszy jeszcze ostatni dźwięk. Jakiś strunowy instrument w niezmiernie dalekiej dali, chyba wiolonczela, ktoś gra pizzicato, przepiękny melancholijny dźwięk. B a n g. Fałszywy akord. B i n g. Zerwana struna. B o n g. Nie nastrojona lira. Bang. Bing. Bong. I nic więcej. Otula go cisza. Ostateczna cisza, która huczy wewnątrz jego czaszki, cisza, która następuje, kiedy pękają już struny wiolonczeli, cisza, która przychodzi ze śmiercią muzyki. Nie słyszy już nic. Nic nie czuje. Jest sam. Jest sam.

Jest sam.

- Jak cicho - mamrocze. - Jak zacisznie. Jak tu zacisznie.

- Selig? - pyta głęboki głos. - Co się z tobą dzieje, Selig?

- Nic mi nie jest - mruczy Selig. Próbuje wstać, ale nie może znaleźć trwałego oparcia. Spada poprzez biurko Cushinga, poprzez podłogę biura, leci przez wnętrze planety i nigdzie nie znajduje stałego gruntu.

- Tak cicho. Cisza, Ted, cisza!

Podnosi go umięśnione ramię. Czuje, że krząta się wokół niego parę osób. Ktoś wzywa lekarza.

Selig potrząsa głową, protestuje, mówi, że nic mu nie jest, zupełnie nic prócz ciszy w głowie, prócz ciszy, prócz ciszy.

Prócz tej ciszy.

. 26 .

Nadeszła zima. Niebo i chodnik tworzą jednolitą nieubłaganą taflę szarości. Niedługo spadnie śnieg. Z niewiadomego powodu od trzech lub czterech dni w tej okolicy nie wywożono śmieci i pękające w szwach plastikowe torby sterczą przed każdą bramą. Mimo to nie czuć zapachu śmieci. Żaden odór nie może przetrwać w tej temperaturze, zimno wysysa każdy ślad organicznej materii. Triumfują tylko rzeczy nieożywione. Króluje cisza. W alejkach jak własne pomniki patrzą przed siebie wychudłe, czarne i szare koty. Ruch jest niewielki. Idąc szybko ulicami ze stacji metra do mieszkania Judyty, odwracam wzrok od twarzy kilku napotkanych przechodniów. Czuję się wśród nich jakiś zawstydzony, świadomy własnej ułomności jak weteran wojenny właśnie zwolniony z centrum rehabilitacyjnego. - Niestety nie mogę powiedzieć, o czym myślą. Ich umysły są przede mną zakryte. Przechodzą obok mnie osłonięci tarczą z nieprzeniknionego lodu. I, jak na ironię, wydaje mi się, że oni czytają we mnie. Mogą przejrzeć mnie na wskroś i zobaczyć, czym się stałem. To Dawid Selig, myślą zapewne. Jakże był niedbały. Co za beznadziejny strażnik swego daru! Wszystko zepsuł, pozwolił, by moc wymknęła mu się z rąk, głupek. Mam wyrzuty sumienia, będąc powodem ich rozczarowania. Ale nie czuję się aż tak winny, jak się spodziewałem. Prawdę mówiąc, nie dałbym za to złamanego centa. Taki właśnie jestem, tłumaczę sobie. Taki już teraz będę. A jeśli wam się nie podoba, trudno. Spróbujcie mnie zaakceptować. A jeśli nie potraficie, ignorujcie mnie.

* * *

"Tak jak najlepsza społeczność ociera się o samotność, tak najwspanialsze mowy pochłania w

końcu cisza. Cisza jest obecna dla wszystkich ludzi, w każdym czasie i w każdym miejscu." Są to słowa Thoreau z 1849 roku, pochodzą z "Tygodnia nad rzekami Concord i Merimack".

Oczywiście, Thoreau był nieprzystosowanym outsiderem z bardzo poważnymi problemami neurotycznymi. Kiedy był młodym człowiekiem, tuż po skończeniu szkoły średniej, zakochał się w dziewczynie, która nazywała się Ellen Sewall, ale ona odrzuciła go, więc nigdy się nie ożenił.

Zastanawiam się, czy kiedykolwiek z kimś to robił. Prawdopodobnie nie. Nie mogę sobie wyobrazić, jak Thoreau kogoś dmucha, a wy? Och, może nie umarł jako dziewica, ale mogę się założyć, że jego życie seksualne było w opłakanym stanie. Może się nawet nie onanizował. Czy widzicie go, jak siedzi nad tym stawem i miętosi swego fiuta. Cisza jest wszędzie, Henry.

* * *

Zbliżając się do mieszkania Judyty, wyobrażam sobie, że spotykam na ulicy Toni. Wydaje mi się, że widzę wysoką postać idącą ku mnie po Riverside Drive, bez kapelusza, zakutaną w obszerny, pomarańczowy płaszcz. Kiedy jest już parę metrów ode mnie, rozpoznaję ją. Dziwne, nie czuję ani podniecenia, ani strachu z powodu tego nieoczekiwanego spotkania. Jestem całkiem spokojny, nieporuszony. Kiedy indziej, aby uniknąć tak denerwującego incydentu, przeszedłbym na drugą stronę ulicy, ale nie teraz. Spokojnie staję jej na drodze, uśmiecham się, podnoszę ręce w powitalnym geście.

- Toni? - mówię. - Nie poznajesz mnie?

Patrzy na mnie badawczo, marszczy brwi, robi zaskoczoną minę. Ale tylko przez chwilę.

- Dawid. Cześć.

Jej twarz jest szczuplejsza, a kości policzkowe wyższe i ostrzej zarysowane. We włosach pojawiły się pasma siwizny. Kiedy ją znałem, miała jeden bardzo niezwykły, siwy loczek na głowie. Teraz szarość tu i ówdzie prześwituje poprzez czerń. Cóż, w końcu jest już dobrze po trzydziestce. Właściwie to już nie dziewczyna. Jest w tym wieku, co ja, kiedy ją poznałem. Ale

prawdę mówiąc widzę, że niewiele się zmieniła, jest tylko trochę bardziej dojrzała. Wygląda równie pięknie jak dawniej. Mimo to pożądanie opuściło mnie. Namiętności odeszły, Selig. Roztrwoniłeś je. Ona też w tajemniczy sposób uwolniła się od niepokoju. Pamiętam nasze ostatnie spotkanie, ból na jej twarzy, stertę niedopałków po obsesyjnie palonych papierosach. Teraz zachowuje się miło i obojętnie. Oboje przeszliśmy przez królestwo burz.

- Dobrze wyglądasz - mówię. - Ile to już lat minęło, osiem, dziewięć?

Znam właściwą odpowiedź. Po prostu sprawdzam ją, a ona zdaje egzamin, mówiąc:

- Lato 1968.

Czuję ulgę, widząc, że nie zapomniała. A więc ciągle jeszcze stanowią jeden z rozdziałów jej autobiografii.

- Jak ci się wiedzie, Dawidzie?

- Nieźle - grzecznościowe frazesy. - Co teraz robisz?

- Pracuję dla Random House. A ty?

- Jestem wolnym strzelcem - odparłem. - Raz tu, raz tam.

Czy jest zamężna? Jej dłonie, ukryte w rękawiczkach, nie dają żadnej odpowiedzi. Nie śmiem pytać. Nie potrafię już zajrzeć do jej umysłu. Uśmiecham się z przymusem i przenoszę ciężar ciała z nogi na nogę. Nagle wydaje mi się, że cisza, która nas dzieli, jest nieprzenikniona. Czy tak szybko wykorzystaliśmy wszystkie możliwe tematy? I nie pozostały już żadne poza otwieraniem starych ran?

- Zmieniłeś się - zauważa Toni.

- Jestem starszy, bardziej zmęczony, bardziej łyсы.

- Nie o to chodzi. Zmieniłeś się gdzieś w środku.

- Myślę, że to prawda.

- Zawsze źle się przy tobie czułam. Miałam takie dziwne wrażenie. Teraz to minęło.

- To znaczy, po naszym "odjeździe"?

- I przed, i po - potrząsa głową.

- Zawsze źle się przy mnie czułaś?

- Tak. Nie wiem dlaczego. Nawet kiedy byliśmy sobie naprawdę bliscy, czułam się... nie wiem...

jakby ktoś mnie obserwował, jakbym utraciła równowagę. Przy tobie nigdy nie byłam spokojna. A

teraz to odeszło. Całkowicie zniknęło. Ciekawe dlaczego?

- Czas leczy wszystkie rany - stwierdzam. Biblijna mądrość.

- Myślę, że masz rację. Boże, ale zimno! Myślisz, że spadnie śnieg?

- Z pewnością i to już niedługo.

- Nienawidzę takiej pogody.

Otula się płaszczem. Nie znałem jej zimą. Wiosna, lato, a potem żegnaj, odejdz, żegnaj, żegnaj.

To dziwne, jak mało do niej teraz czuję. Gdyby zaprosiła mnie na górę do swojego mieszkania, prawdopodobnie odrzekłbym: nie, dziękuję, idę do mojej siostry. Oczywiście Toni istnieje tylko w mojej wyobraźni, może to dlatego. A poza tym nie płynie od niej zupełnie nic. Ona nic nie wysyła lub raczej ja nic nie odbieram. Jest tylko obrazem siebie samej, podobnie jak koty w alejkach. Czy teraz, kiedy nie jestem już zdolny czytać w ludziach, nie będę już potrafił obdarzyć ich uczuciem?

Toni mówi:

- Miło było cię zobaczyć, Dawidzie. Może wybierzemy się gdzieś razem?

- Na pewno. Zamówimy drinka i pogadamy o starych czasach.

- Dobry pomysł.

- Też tak myślę. Cieszę się.

- Uważaj na siebie, Dawidzie.

- Ty też, Toni.

Uśmiechamy się. Pożegnałem ją udawanym salutem. Rozstajemy się. Ja dalej idę na zachód, ona

biegnie omiatana wiatrem ulicą w kierunku Broadwayu. Po tym spotkaniu trochę mi cieplej. Pomiedzy nami wszystko wyziębło, zostało trochę obojętnej życzliwości. Wszystko umarło. Namietności odeszły. Miło było cię zobaczyć, Dawid. Może wyszlibyśmy gdzieś razem? Kiedy mijam róg, przypominam sobie, że zapomniałem zapytać o jej numer telefonu. Toni? Toni? Ale ona zniknęła już z pola widzenia. Jak gdyby nigdy jej tam nie było.

* * *

Jest w głębi lutni maleńka szczelina,
Gdzie pierwsza niema nuta się zatrzyma,
I rosnąc z wolna wszystko w ciszę zmienia.

To Tennyson, "Merlin i Vivien". Słyszeliście już wcześniej te słowa o pierwszej małej szczelince, pierwszej chmurce na bezchmurnym niebie, prawda? Ale nie wiedzieliście, że napisał to Tennyson. Ja też nie wiedziałem. Maja lutnia pękła. Bang. Bing. Bong.

A oto inny literacki klejnocik:

"Każdy dźwięk kończy się ciszą, ale cisza nie umiera nigdy."

Napisał to Samuel Miller Hageman w 1876 roku w wierszu zatytułowanym "Cisza". Czy kiedykolwiek wcześniej słyszeliście o Samuelu Millerze Hagemanie? Bo ja nie. Kimkolwiek byłeś, Sam, był z ciebie stary mądry kocur.

* * *

Latem, kiedy miałem osiem lub dziewięć lat - w każdym razie zanim adoptowaliśmy Judytę - pojechałem z rodzicami na parę tygodni na letnisko do Catskills. Zorganizowano tam półkolonie dla dzieci i mogliśmy uczyć się pływania, tenisa, gry w softball, rękodzieła i wielu innych rzeczy, zostawiając w ten sposób starszym czas na popijanie dżinu, rumu i inne twórcze zajęcia. Pewnego popołudnia odbywały się mecze bokserskie. Nigdy wcześniej nie miałem na sobie rękawic bokserskich i uznałem, że nie jestem kompetentnym zawodnikiem. Nie wykazywałem więc

entuzjazmu. Z niesmakiem przyglądałem się pierwszym pięciu meczom. Te wszystkie ciosy! Ta krew spływająca z rozbitych nosów!

Nadeszła moja kolej. Moim przeciwnikiem był chłopiec o imieniu Jimmy, młodszy ode mnie o parę miesięcy, ale znacznie wyższy, cięższy i lepiej zbudowany. Myślę, że organizatorzy rozmyślnie tak nas dobrali, mając nadzieję; że Jimmy mnie zatłucze. Nie byłem ich ulubieńcem. Trząsałem się, jeszcze zanim mi włożono rękawice.

- Pierwsza runda! - wrzasnął sędzia i ruszyliśmy ku sobie. Wyraźnie usłyszałem, jak Jimmy planuje uderzenie mnie w podbródek i kiedy jego rękawica leciała ku mojej twarzy, schyliłem się i walnąłem go w brzuch. To go rozwścieczyło. Teraz postanowił trzasnąć mnie w tył głowy, ale ja i to przechwyciłem, odskoczyłem w bok i uderzyłem go w szyję, tuż przy jabłku Adama. Zasłonił się rękawicą, a potem odwrócił się ze łzami w oczach. Po chwili wrócił do walki, ale ja w dalszym ciągu przewidywałem jego ruchy i nie był w stanie mnie dosięgnąć. Po raz pierwszy w życiu czułem się twardy, wyćwiczony, agresywny. Tłukąc go, spojrzałem poza zaimprovizowany ring i zobaczyłem ojca pęczniejącego z dumy. Obok niego siedział wściekły i zaskoczony ojciec Jimmy'ego. Koniec pierwszej rundy. Spływałem potem, tańczyłem, uśmiechałem się.

Druga runda. Jimmy wrócił zdecydowany rozszarpać mnie na kawałki, podskakiwał dziko i nerwowo, usiłując trafić mnie w głowę. Ale ja trzymałem ją poza jego zasięgiem, tanecznym ruchem obszedłem go z boku i znów walnąłem w brzuch, tym razem bardzo mocno, a kiedy zgiął się wpół, przywaliłem mu jeszcze w nos. Wtedy upadł. Płakał. Sędzia szybko odliczył do dziesięciu i podniósł moją dłoń.

- Hej, Joe Louis! - wrzeszczał mój ojciec. - Hej, Willie Pep!

Sędzia powiedział, żebym podszedł do Jimmy'ego, pomógł mu wstać i uściśnął jego rękę. Kiedy chłopak stanął już na nogi, wyraźnie odczytałem jego decyzję, żeby uderzyć mnie głową w zęby.

Udawałem, że nie zwracam na niego uwagi, ale kiedy zaatakował, spokojnie cofnąłem się o krok i

z całej siły opuściłem pięści na jego pochylony kark. To go załamało.

- Dawid oszukuje! - jęczał. - Dawid o s z u k u j e.

Jak oni wszyscy nienawidzili mnie za moją sprawność! To znaczy za to, co uważali za sprawność. Za to, że dzięki moim chytrym sztuczkom zawsze wiedziałem, co ma się wydarzyć. Cóż, teraz nie byłoby tego problemu. Teraz wszyscy mogą mnie kochać. I kochając mnie, mogą mnie obić na kwaśne jabłko.

* * *

Judyta otwiera drzwi. Ma na sobie stary, szary sweter i niebieskie dżinsy z dziurą na kolanie.

Otwiera szeroko ramiona, a ja serdecznie ją obejmuję. Trwamy w uścisku chyba z pół minuty. Z mieszkania dobiega muzyka - chyba "Idylla Zygryda". Słodka, przyjemna, miła muzyka.

- Czy już pada śnieg? - pyta.

- Jeszcze nie. Jest tylko szaro i zimno.

- Idź do pokoju. Zaraz przygotuję ci drinka.

Podchodzę do okna. Za szybą przelatuje parę śnieżnych płatków. Pojawia się mój siostrzeniec i badawczo przygląda mi się z odległości trzydziestu stóp. Ku mojemu zaskoczeniu uśmiecha się.

- Cześć, wujku Dawidzie! - mówi ciepło.

Judyta musiała go tak nastawić. Zapewne kazała mu, żeby był miły dla wujka Dawida. On teraz źle się czuje, mówiła, ma ostatnio dużo kłopotów. I dzieciak stoi teraz koło mnie i jest miły dla wujka Dawida. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek wcześniej się do mnie uśmiechnął. Nawet nie gaworzył do mnie, kiedy jeszcze leżał w kołysce. Cześć, wujku Dawidzie. W porządku, mały.

Mogę to zrozumieć.

Mogę to zrozumieć.

- Cześć, Pawełku. Co u ciebie?

- Fajnie - mówi. I to wyczerpuje jego towarzyskie zapasy. Nie dopytuje się w zamian o stan

mojego zdrowia, ale sięga po jedną ze swoich zabawek i oddaje się badaniu jej sekretów. Mimo to

jego wielkie, ciemne, błyszczące oczy spoglądają na mnie co chwila i w jego wzroku nie ma nienawiści.

Wagner kończy się. Grzebię wśród płyt na półce, wybieram jedną, kładę na talerz. Schoenberg, "Verklaerte Nacht". Muzyka, w której po szaleństwie cierpienia następuje cisza i rezygnacja. A więc znów temat pogodzenia się z losem. Pięknie. Pięknie. Wpadam w objęcia wibrujących strun.

Bogate soczyste akordy. Wraca Judyta, niosąc dla mnie szklanek rumu. Dla siebie ma coś łagodniejszego, sherry albo wermut. Wygląda na lekko zmęczoną, ale mimo to jest otwarta, przyjacielska.

- Na zdrowie - mówi.

- Na zdrowie.

- Nastawiłeś dobrą muzykę. Wielu ludzi nie wierzy, że Schoenberg może być zmysłowy i delikatny. Oczywiście, to jest wczesny Schoenberg.

- Tak - kiwam głową. - W późniejszym wieku romantyczne porywy zaczynają zanikać. Co robiłaś ostatnio, Judytko?

- Nic wielkiego. Prawie to samo co zawsze.

- A jak tam Karl?

- Już nie widuję się z Karlem.

- Och.

- Nie mówiłam ci?

- Nie - odpowiadam. - Pierwsze słyszę.

- Nie jestem przyzwyczajona do tego, żeby ci cokolwiek mówić, Daw.

- Lepiej zacznij się przyzwyczajać. Ty i Karl...

- Zaczął bardzo nalegać, żebyśmy się pobrali. Mówiłam mu, że to za wcześnie, że nie znam go wystarczająco dobrze, że boję się układać sobie życie w sposób, który by mi później nie pasował.

Był urażony. Zaczął pouczać mnie o szkodliwości takiego wycofywania się ze swoich zobowiązań i powinności, o samodestrukcji i różnych takich rzeczach. Spojrzałam na niego w tym momencie i zobaczyłam w nim postać ojca - wiesz, wielki, pompatyczny i poważny, nie kochanek, ale mentor, nauczyciel - a tego chciałam uniknąć. I zaczęłam myśleć, jaki będzie za dziesięć lub dwanaście lat. Przekroczy sześćdziesiątkę, a ja ciągle jeszcze będę młoda. Zdałam sobie sprawę, że nie ma dla nas i przyszłości. Powiedziałam mu to tak delikatnie, jak tylko mogłam. Nie dzwoni już od dziesięciu dni. Przypuszczam, że więcej nie zadzwoni.

- Przykro mi.

- Nie ma potrzeby, Dawidzie. Dobrze postąpiłam. Jestem tego pewna. Karl był dla mnie dobry, ale to nie mogło trwać wiecznie. Rozdział z Karlem jest skończony. Był to bardzo dobry okres.

Problem polega na tym, by nie przeciągać sprawy, kiedy już wiadomo, że się naprawdę skończyła.

- Tak - mówię. - Z pewnością.

- Chcesz więcej rumu?

- Za chwilę.

- A co z tobą? - pyta. - Opowiedz mi. Jak sobie radzisz teraz... teraz kiedy...

- Teraz kiedy przestałem być supermanem?

- Tak - potwierdza. - To się naprawdę skończyło, co?

- Naprawdę. Wszystko skończone. Nie ma żadnych wątpliwości.

- I co dalej, Daw? Jak się czujesz teraz?

* * *

Sprawiedliwość. Dużo się słyszy o sprawiedliwości, sprawiedliwości Boga. On nagradza sprawiedliwych, karze bezbożnych. Sprawiedliwość? Gdzie jest sprawiedliwość? Gdzie jest Bóg w rzeczy samej? Czy On naprawdę umarł, czy wyjechał na urlop, czy jest tylko roztargniony? Spójrzcie na Jego sprawiedliwość. Zsyła powódź na Pakistan. Trach, i milion ludzi nie żyje -

zarówno cudzołożnicy i dziewice. Sprawiedliwość? Być może. Może pozornie niewinne ofiary nie były wcale aż tak niewinne. Trach, i ofiarna zakonnica w leprozorium zaraża się trądem i w ciągu nocy odpadają jej wargi. Sprawiedliwość. Trach, i katedra budowana przez dwieście lat obraca się w stertę gruzów podczas trzęsienia ziemi, i to na dzień przed Wielkanocą. Trach. Trach. Bóg śmieje się nam w twarz. Czy to jest sprawiedliwość? Gdzie? Jak? Na przykład rozważcie mój przypadek. Nie chcę wyciskać z was łez litości. Jestem całkiem obiektywny. Posłuchajcie, nie prosiłem o to, by zostać supermanem. Zostało mu to dane w momencie poczęcia. Niezrozumiały kaprys Boga. Kaprys, który mnie określił, ukształtował, zdeformował, zwichnął moją psychikę, a ja o to nie prosiłem, nie pragnąłem tego, niczym na to nie zasłużyłem. Chyba, że potraktujecie moje genetyczne dziedzictwo jako rezultat złej karmy i innych bzdur. To był przypadek. Bóg oświadczył: Niech to dziecko zostanie supermanem. I słuchajcie! Młody Selig został supermanem, w ograniczonym sensie tego słowa. I tylko na jakiś czas. Bóg przygotował dla mnie wszystko, co mnie spotkało: odosobnienie, cierpienie, samotność, nawet uzalanie się nad sobą. Sprawiedliwość? .laka? Bóg daje - któż, u diabła, wie dlaczego - Bóg odbiera. Co właśnie zrobił. Moja moc odeszła. Jestem zwykłym ludzikiem, takim jak ty i ty, i ty. Nie zrozumcie mnie źle. Pogodziłem się z moim losem, akceptuję go, nie proszę was o litość. Po prostu chcę doszukać się w tym jakiegoś sensu. Teraz, kiedy moc odeszła, kimże jestem? Jak mam się określić? Utraciłem mój wyjątkowy dar, moją moc, moją ranę, źródło mojej odrębności. Wszystko, co mi pozostało, to pamięć, że kiedyś byłem inny. I bliźny. Co mam teraz robić? Jak mam się ustosunkować wobec ludzkości, teraz, kiedy moja odrębność zniknęła, a ja pozostałem? To umarło. Ja żyję dalej. Jakże dziwne rzeczy uczyniłeś mi, Boże. Rozumiesz chyba, że nie protestuję. Po prostu pytam cichym, opanowanym głosem. Chcę poznać naturę Boskiej sprawiedliwości. Myślę, że stary harfista Boecjusza właściwie cię oceniał, Boże. Powołujesz nas do życia, pozwalasz, by biedny człowiek popadł w grzech, a potem zostawiasz go jego nędzy. Ponieważ każda wina ma swoją karę na ziemi. To rozsądne

oskarżenie. Masz władzę absolutną, Boże, ale nie chcesz brać na siebie absolutnej odpowiedzialności. Czy to jest w porządku? Uważam, że ja też mogę wnieść uzasadnioną skargę. Jeśli naprawdę istnieje sprawiedliwość, dlaczego tak wiele rzeczy wydaje się niesprawiedliwe? Jeśli naprawdę jesteś po naszej stronie, Boże, to dlaczego gotujesz nam życie pełne bólu? Jaka jest sprawiedliwość dla dziecka, które rodzi się bez oczu? Albo dla dziecka, które przychodzi na świat z dwiema głowami? Albo takiego, które posiada moc, jakiej ludzie nie powinni mieć? Ja tylko pytam, Boże. Uwierz mi, akceptuję Twój wyrok. Uginam się przed Twoją wolą, ponieważ mógłbym tak samo... Zresztą, jaki mam wybór. Ale ciągle jeszcze mam prawo pytać. Prawda? Hej, Boże? Boże? Czy mnie słuchasz, Boże?

Wydaje mi się, że nie. Myślę, że nic Cię to nie obchodzi. Boże, uważam, że masz mnie gdzieś.

* * *

Dee-da-de-doo-da-dee-da. Muzyka zamiera. Niebiańska harmonia nappełnia pokój. Wszystko staje się jednością. Płatki śniegu wirują za szybą w rytmie Schoenberga. Schoenberg, ty to rozumiałeś, przynajmniej, kiedy byłeś młody. Dostrzegłeś prawdę i przelałeś ją na papier. Słyszę, co mówisz, stary. Nie zadawaj pytań, mówisz. Pogódź się. Pogódź się. To jest to. Akceptacja. Akceptacja. Cokolwiek by cię spotkało, przyjmij to.

Judyta mówi:

- Claude Guermentes zaprosił mnie do Szwajcarii na narty na okres świąt. Mogę zostawić dziecko u przyjaciółki w Connecticut. Ale jeśli mnie potrzebujesz, to nie pojedę, Daw. Dobrze się czujesz? Dasz sobie radę?
- Pewnie, że tak. Nie jestem sparaliżowany, Judytko. Nie utraciłem wzroku. Jeśli chcesz, jedź do Szwajcarii.
- Nie będzie mnie tylko przez osiem dni.
- Przeżyję.

- Kiedy wrócę, mam nadzieję, że wyprowadzisz się z tamtej dzielnicy. Powinieneś mieszkać w centrum, bliżej mnie. Chciałabym częściej cię widywać.

- Może masz rację.

- Jeśliby cię to interesowało, mogę przedstawić ci parę moich przyjaciółek.

- Wspaniale, Judytko.

- Nie wydajesz się tym zachwycony.

- Nie przejmuj się mną - tłumaczę jej. - Nie zrzucaj mnie tysiącem pomysłów naraz. Potrzebuję czasu, żeby wszystko sobie ułożyć.

- Dobrze. To tak, jakbyś zaczynał nowe życie, Daw?

- Nowe życie? Tak. Masz rację, to po prostu nowe życie, Judytko.

* * *

Zamieć przybiera na sile. Samochody znikają pod pierwszymi warstwami bieli. Po południu radio podało prognozę pogody, obwieszczając, że do rana spadnie od ośmiu do dziesięciu cali śniegu. Judyta zasugerowała, bym został u niej na noc. Mógłbym spać w służbówce. Cóż, dlaczego nie? Czemu właśnie teraz miałbym ją odtrącać. Zostanę. Rano weźmiemy Pawełka na sanki do parku. Ucieszy się śniegiem. Teraz już naprawdę sypie. Śnieg jest tak piękny. Pokrywa wszystko, wszystko oczyszcza, na chwilę przydaje znamion niewinności temu wyniszczonemu miastu, zmęczonym, wyniszczonym ludziom. Nie mogę oderwać oczu od tego widoku. Przysuwam twarz do szyby. Zapomniałem, że w ręce trzymam lampkę koniaku. To śnieg rzucił na mnie hipnotyczny urok.

- Buuu! - ktoś krzyczy tuż za mną.

Podskakuję tak nagle, że brandy wylewa się ze szklanki i chlapie na szybę. Obracam się przerażony, kuląc się ze strachu, a jednak gotów do obrony. Potem instynktowny strach ustępuje i zaczynam się śmiać. Judyta też się śmieje.

- Po raz pierwszy udało mi się ciebie zaskoczyć - mówi. Po raz pierwszy od trzydziestu jeden lat.

- Dałaś mi bobu.

- Stałam tu od trzech albo czterech minut, m y ś I ą c różne rzeczy dla ciebie. Chciałam, żebyś jakoś zareagował, ale nie, nie, nic takiego się nie stało, w dalszym ciągu wpatrywałeś się w śnieg.

Więc cicho podeszłam i wrzasnęłam ci w ucho. Byłeś naprawdę zaskoczony, Daw, wcale nie udawałeś.

- Naprawdę myślisz, że okłamywałam cię, mówiąc, co mi się wydarzyło?

- Nie, oczywiście, że nie.

- To dlaczego sądziłaś, że mogę udawać?

- Nie wiem. Myślę, że troszeczkę jednak w to wątpiłam. Ale teraz już nie. Och, Daw, Daw, tak mi ciebie żal!

- Przestań - mówię. - Proszę, Judytko.

Łzy spływają jej po twarzy. Dziwnie jest patrzeć, jak Judyta płacze. Z miłości do mnie, tylko dlatego. Z miłości do mnie.

* * *

Teraz jest tu bardzo cicho.

Świat jest biały na zewnątrz i szary wewnątrz mnie. Przyjmuję to. Myślę, że życie będzie teraz spokojniejsze. Cisza stanie się moim ojczystym językiem. Przyjdą odkrycia i olśnienia, ale nie będzie już podniebnych wzlotów. Być może później trochę barw znów rozweseli mój świat. Być może.

Cierpimy żyjąc. Umierając żyjemy. Będę o tym pamiętał. Postaram się zachować pogodny nastrój. Bang. Bing. Bong. Póki znów nie zacznę umierać. Do zobaczenia, do zobaczenia, do zobaczenia.

K O N I E C